

Klasyka literatury



e-tekst.pl
twoja czytelnia

GWIAZDA POŁUDNIA

Juliusz Verne

ROZDZIAŁ I

„ACH, CI FRANCUZI!”

— Proszę, słucham pana!

— Mam zaszczyt prosić pana o rękę panny Watkins, pańskiej córki.

— O rękę Alicji?

— Tak, proszę pana. Widzę, że moja prośba pana dziwi. Niech mi pan jednak wybaczy, jeśli wyznam, że trudno mi zrozumieć, dlaczego wydaje się ona panu tak niezwykła. Mam lat dwadzieścia sześć. Nazywam się Cyprian Méré. Jestem inżynierem górnikiem, a politechnikę skończyłem z drugą lokatą. Rodzina moja cieszy się zasłużonym szacunkiem, choć nie jest bogata. Konsul nasz w Capetown może to wszystko potwierdzić, jeśli tylko pan sobie życzy; opinię o mnie wydać także może mój przyjaciel Pharamond Barthes, słynny myśliwy, którego zna pan dobrze, podobnie jak wszyscy mieszkańcy Griqualandu. Zostałem tu wydelegowany przez Akademię Nauk i przez rząd francuski. W roku ubiegłym otrzymałem w Instytucie nagrodę imienia Houdarta za pracę o chemicznym składzie skał pochodzenia wulkanicznego w Owernii. Sądzę, że moje sprawozdanie o kopalniach diamentów w dolinie rzeki Vaal, będące już na ukończeniu, również może liczyć na życzliwe przyjęcie ze strony świata nauki. Po powrocie z mej obecnej misji będę mianowany profesorem Akademii Górniczej w Paryżu; wynająłem już nawet mieszkanie w domu przy ulicy Uniwersyteckiej 104, na trzecim piętrze. Pensja moja zwiększy się od nowego roku do czterech tysięcy ośmiuset franków. Nie są to, oczywiście, bająnskie sumy, ale gdy się doda do tego moje poboczne zarobki — ekspertyzy, nagrody, artykuły do pism naukowych — ogólny mój dochód wyniesie prawie dwa razy tyle. Dodam jeszcze, że wymagania mam bardzo skromne, tak że nie potrzeba mi nic więcej, żeby się czuć zupełnie szczęśliwym. Panie Watkins, mam zaszczyt prosić o rękę pańskiej córki.

Wystarczyło usłyszeć pewny, zdecydowany ton tego małego przemówienia, aby zdać sobie sprawę, że Cyprian Méré ma zwyczaj iść zawsze prosto do celu i wyrażać się bez ogródek.

Twarz jego potwierdzała wrażenie, jakie wywoływał jego sposób mówienia. Była to twarz młodzieńca zajętego zasadniczo poważnymi problemami naukowymi i nie poświęcającego drobiazgom towarzyskiego życia ani chwili ponad to, czego wymagała konieczność.

Włosy miał kasztanowate, przycięte na jeża, i niemal przy skórze ostrzyżoną, jasną brodę; nosił skromne, podrózne ubranie z popielatego płótna; tani słomkowy kapelusz położył grzecznie na krześle wchodząc do pokoju, mimo że jego gospodarz miał głowę nakrytą z charakterystyczną dla rasy anglosaskiej bezceremonialnością. Wszystko w Cyprianie Méré świadczyło o umyśle poważnym, a jego jasne spojrzenie mówiło, że miał serce czyste i prawy charakter.

Trzeba dodać ponadto, że ten młody Francuz mówił tak znakomicie po angielsku, jakby długi czas mieszkał w rdzennie brytyjskich hrabstwach Zjednoczonego Królestwa.

Pan Watkins słuchał go paląc długą fajkę, rozparty w drewnianym fotelu, z nogą złożoną na trzcinowym stołeczku, z łokciem na prostym kuchennym stole, na którym stał dzbanek z dżynem i szklanka do połowy napełniona tym mocnym napojem.

Osobnik ten miał na sobie białe spodnie, kurtkę z grubego, granatowego płótna i żółtawą flanelową koszulę; był bez krawata i bez kamizelki. Pod olbrzymim filcowym kapeluszem, który zdawał się przyśrubowany na stałe do jego siwej głowy, widniała okrągła twarz tak obrzękła i czerwona, jak gdyby pod skórę wstrzyknięto porcję porzeczkowej galarety. W tej niezbyt miłej

fizjonomii, porośniętej z rzadka kępami sztywnych włosów, tkwiły małe, szare oczka, z których nie wyglądało nic, co przypominałoby dobroć czy wyrozumiałość.

Trzeba jednak od razu powiedzieć na usprawiedliwienie pana Watkinsa, że cierpiał okropnie na podagrę, co zmuszało go do trzymania nogi wyciągniętej i poowijanej w szmaty, a wiadomo, że podagra — tak w Afryce południowej, jak i w innych krajach — nie przyczynia się do złagodzenia charakteru ludzi, w których stawy wpija się swymi kłami.

Scena ta rozgrywała się w parterowym pokoju na farmie pana Watkinsa, w okolicach 29 stopnia szerokości geograficznej na południe od równika i koło 22 stopnia długości, na wschód od Południka Paryskiego, na granicy zachodniej Wolnego Państwa Oranie, na północ od brytyjskiej Kolonii Przylądkowej, w centrum południowej, anglo-holenderskiej Afryki. Obszar ten, którego granicę stanowi prawy brzeg rzeki Oranie, na południowym krańcu wielkiej pustyni Kalahari, od kilkunastu lat nazwany został — i nie bez powodu — „Polami Diamentowymi”.

Pokój, w którym odbywała się wyżej przytoczona dyplomatyczna rozmowa, odznaczał się z jednej strony przesadnym zbytkiem niektórych mebli, z drugiej — rażącym ubóstwem innych szczegółów urządzenia. Podłogę na przykład stanowiło klepisko z ubitej ziemi, ale w paru miejscach było ono przykryte puszystymi dywanami i kosztownymi skórami. Na nie otapetowanych ścianach wisiała cenna broń wszelkiego rodzaju, wspaniały ze gar z kunsztownie cyzelowanego brązu, pięknie oprawione angielskie sztychy. Kanapa kryta aksamitem stała koło stołu z surowego drzewa, nadającego się co najwyżej do potrzeb kuchennych. Fotele sprowadzone z Europy daremnie wyciągały ramiona do pana Watkinsa, który wolał stary, drewniany zydeł niegdyś własnoręcznie sklecony. W całości jednak nagromadzenie kosztownych przedmiotów — a szczególnie wielka ilość porozrzucanych na wszystkich meblach skór panter, lampartów i żyraf — wywierało wrażenie jakiegoś barbarzyńskiego przepychu.

Widać było zresztą z samego ukształtowania sufitu, że nie było nad nim piętra i że na dom składał się tylko parter. Jak wszystkie miejscowe domy zbudowano go częściowo z desek, częściowo z gliny, a lekki szkielet dachu przykryto arkuszami karbowanej blachy cynkowej.

Widoczne było również, że dom ten niedawno został ukończony. Wystarczyło bowiem wychylić się przez okno, żeby zobaczyć po prawej i po lewej stronie pięć czy sześć porzuconych budowli w tym samym rodzaju, różniących się między sobą jedynie wiekiem i stopniem zrujnowania. Były to wszystko domy, które pan Watkins kolejno budował, zamieszkiwał i opuszczał, stosownie do zmian zachodzących w jego stanie posiadania; każdy z nich oznaczał niejako kolejny szczebel jego fortuny.

Najdalej położona siedziba była po prostu sklecona z darni i zasługiwała najwyżej na nazwę budy. Następna była z gliny, trzecia — z gliny i desek, czwarta — z gliny i cynku; widzimy, jaką to gamę coraz wyższych tonów pozwoliły przejść panu Watkinsowi przypadki jego kariery.

Wszystkie te budynki, mniej lub więcej zniszczone, wznosiły się na niewielkim wzgórzu położonym przy zbiegu rzek Vaal i Modder, dwóch głównych dopływów rzeki Oranie w tej części Afryki południowej. Wokoło, jak okiem sięgnąć, rozciągała się na południowy zachód i na północ naga i smutna równina. W krainie Veld — jak nazywają tę okolicę jej mieszkańcy — ziemia jest czerwonawa, sucha, niepłodna, pokryta pyłem, zaledwie miejscami usiana rzadką trawą i kępami krzaków.

Tutaj właśnie znajdują się pokłady obfitujące w diamenty; główne tereny eksploatacji nazywają się: Du Toit's Pan, NewRush i najbogatszy może ze wszystkich — Vandergaart-Kopje. Te kopalnie odkrywkowe, znajdujące się niemal pod samą powierzchnią ziemi, objęte ogólną nazwą „dry-diggings”, czyli „kopalni suchych”, dostarczyły od roku 1870 kamieni o wartości ogólnej mniej więcej czterystu milionów. Pola te skupione są wewnątrz kręgu, którego promień nie wynosi więcej jak dwa

do trzech kilometrów. Widać je było doskonale przez lornetkę 2 okien farmy pana Watkinsa, oddalonej od nich o jakie cztery mile angielskie .

Słowo „farma” nie było zresztą właściwą nazwą dla posiadłości pana Watkinsa: wokoło nikt by nie dostrzegł najmniejszego śladu jakichkolwiek uprawnych pól. Jak prawie wszyscy tak zwani farmerzy w tych okolicach południowej Afryki pan Watkins był raczej pasterzem na wielką skalę, właścicielem stad wołów, kóz i owiec niż zarządzającym gospodarstwem rolnym.

Jednakże pan Watkins nie odpowiedział jeszcze na prośbę tak grzecznie, ale i jasno wyrażoną przez Cypriana Méré. Po namyśle trwającym co najmniej trzy minuty zdecydował się wreszcie wyjąć fajkę z kącika ust i wypowiedzieć zdanie mające niewątpliwie bardzo odległy związek z omawianą sprawą.

— Myślę, że pogoda się zmieni, drogi panie. Nigdy chyba moja podagra tak mi nie dokuczała jak dziś od samego rana!

Młody inżynier zmarszczył brwi i na chwilę odwrócił głowę, by się opanować i nie okazać głębokiego zawodu.

— Może lepiej by było, gdyby pan przestał pić dżyn, panie Watkins — odpowiedział dość sucho, wskazując na kamienny dzbanek szybko opróżniany przez gospodarza.

— Przestać pić dżyn?! Na Jowisza! Dobrze sobie! — wykrzyknął farmer. — Czy to kiedy dżyn zaszkodził porządnemu człowiekowi? Tak, wiem, co pan ma na myśli! Chce mi pan powiedzieć o tej recepcie, którą dał jakiś lekarz pewnemu lordowi majorowi cierpiącemu na podagrę! Zaraz, jak ten lekarz się nazywał?... Abernethy, zdaje się. „Chce pan być zdrow? — pytał swego pacjenta. — To niech pan żyje za szylinga dziennie i niech pan tego szylinga zarobi pracą własnych rąk!” To wszystko bardzo pięknie, ale — na naszą starą Anglię! — po cóż by człowiek dorabiał się majątku, żeby potem żyć za szylinga dziennie? To są głupstwa niegodne tak mądrego człowieka jak pan, panie Méré! Więc, proszę bardzo, niech mi pan już o tym nie wspomina. Widzi pan, jeśli o mnie chodzi, to wolałbym raczej od razu położyć się do grobu. Dobrze zjeść, wypić sobie, wypalić dobrą fajkę, ile razy przyjdzie mi ochota — to jedyne moje radości w życiu. A pan by chciał, żebym się tego wyrzekł.

— Och, wcale mi na tym nie zależy — odpowiedział szczerze Cyprian. — Przypominam panu tylko pewne wskazanie higieny, które wydaje mi się słuszne. Ale dajmy spokój temu tematowi i wróćmy, jeśli pan pozwoli, do właściwego celu mojej wizyty.

Pan Watkins, przed chwilą tak wielomówny, pograżył się znów w milczeniu, wypuszczając z fajki lekkie kłęby dymu.

W tej chwili otworzyły się drzwi i weszła młoda dziewczyna niosąc tacę ze szklanką. Śliczna ta osobka wyglądała uroczo w dużym czepcu, jaki noszą farmerki w tych okolicach; ubrana była w skromną płócienną suknię w kwiaty. Mogła mieć dziewiętnaście lub dwadzieścia lat; jej bardzo biała cera, miękkie jasnoblond włosy, duże, niebieskie oczy, twarz nacechowana słodyczą i wesołością — stanowiły prawdziwy obraz zdrowia, wdzięku i pogody.

— Dzień dobry panu, panie Méré! — rzekła po francusku, z lekkim jednak angielskim akcentem.

— Dzień dobry, panno Alicjo! — odpowiedział Cyprian Méré powstawszy na widok dziewczyny i skłoniwszy się przed nią.

— Widziałam, jak pan wchodził — ciągnęła panna Watkins, odsłoniwszy w uśmiechu śliczne, białe zęby — a ponieważ wiem, że pan nie lubi tego paskudnego dżynu mojego ojczulka, przynoszę panu świeżej oranżady. Myślę, że będzie panu smakowała.

— To naprawdę za wiele uprzejmości z pani strony, panno Alicjo!

— Ale, ale, nigdy pan nie odgadnie, co mój struś Dada połknął dziś z rana — podjęła ze swobodą. — Moją kulę do cerowania pończoch! Tak, kulę z kości słoniowej! Jest przecież dosyć

duża, pan ją widział nieraz, panie Méré; odziedziczyłam ją w spadku po bilardzie w New-Rush!. No i mówię panu, ten łakomczuch Dada połknął ją, jakby to była pigułka! Naprawdę, czuję, że kiedyś umrę ze zmartwienia przez to nieznośne ptaszysko!

W niebieskich oczach panny Watkins, kiedy tak mówiła, czaiło się tyle wesołych iskierek, że ten ponury prognostyk nie wydawał się prawdopodobny nawet w odległej przyszłości. Nagle jednak, dzięki intuicji właściwej kobietom, uderzyło ją milczenie ojca i młodego inżyniera; doznała wrażenia, że obaj są skrępowani jej obecnością.

— Zdaje się, że panom przeszkadzam — rzekła. — Jeżeli macie ze sobą jakieś sekrety, których nie mogę usłyszeć, to sobie idę. Zresztą, naprawdę nie mam czasu. Muszę jeszcze popracować nad moją sonatą, zanim zajmę się obiadem. Rzeczywiście, nie jesteście dziś rozmowni, moi panowie! Zostawiam was z waszymi ciemnymi knowaniami.

Skierowała się do drzwi, ale zawróciła jeszcze i dodała z wdziękiem, jakkolwiek temat był nader poważny:

— Panie Méré, kiedy będzie pan chciał przepytać mnie z tego, czego nauczyłem się o tlenie, jestem do pańskiej dyspozycji. Już trzy razy przeczytałam rozdział z chemii, który mi pan zadał, i ten „gaz bezbarwny i nie posiadający smaku” nie ma dla mnie żadnych tajemnic.

Powiedziawszy to panna-Watkins wykonała piękny dyg i zniknęła. W chwilę potem dźwięki doskonałego fortepianu, dolatujące z jednego z najdalszych pokoi, oznajmiły, że dziewczyna oddaje się z zapalem ćwiczeniom muzycznym.

— A więc, panie Watkins — rzekł Cyprian, któremu to urocze zjawisko byłoby przypomniało o jego prośbie, gdyby w ogóle był w stanie o niej zapomnieć — czy będzie pan łaskaw odpowiedzieć mi na to, o co miałem zaszczyt pytać przed chwilą?

Pan Watkins wyjął z ust fajkę, splunął uroczyście na ziemię, następnie gwałtownie podniósł głowę i kierując na młodego człowieka badawcze spojrzenie, rzekł:

— Czy pan może już mówił z nią o tym wszystkim, panie Méré?

— O czym? Z kim?

— O tym, co mi pan teraz powiedział... z moją córką...

— Za kogo pan mnie bierze, panie Watkins? — oburzył się młody inżynier tak gorąco, że nie można było wątpić w jego szczerość. — Jestem Francuzem, proszę pana! Niech pan o tym nie zapomina. To znaczy, że nie ośmieliłbym się nigdy mówić

o małżeństwie z córką pana bez pańskiego upoważnienia. Wyraz oczu pana Watkinsa złagodniał i od razu język mu się rozwiązał.

— No, to doskonale! Porządny z pana chłopak! Muszę powiedzieć, że spodziewałem się po panu takiej właśnie dyskrecji w stosunku do Alicji — powiedział tonem nieomal przyjaznym. — No więc, skoro można mieć do pana zaufanie, musi mi pan teraz dać słowo, że również i w przyszłości nic pan jej o tym wszystkim nie powie!

— A to dlaczego, proszę pana?

— Bo to małżeństwo jest niemożliwe i najlepiej będzie, jeśli pan to sobie od razu wybije z głowy — odpowiedział pan Watkins. — Panie Méré, pan jest uczciwym młodym człowiekiem, prawdziwym dżentelmenem, świetnym chemikiem, doskonałym profesorem, ma pan nawet przed sobą wielką przyszłość — nie wątpię o tym. — ale nie dostanie pan mojej córki, ponieważ mam co do niej inne plany.

— Jednakże, panie Watkins...

— Niech pan nie nalega. To nic nie pomoże! — odparł farmer. — Gdyby pan był nawet księciem

i parem Anglii, to

i tak nie dogadzałby mi pan! A pan nawet nie jest obywatelem angielskim! I w dodatku oświadczył mi pan z całą szczerością, że nie posiada pan żadnego majątku! No, niech się pan sam zastanowi, czy mógłby pan na serio uwierzyć, że po to tak wychowałem Alicję, po to wystarałem się dla niej o najlepszych profesorów z Victorii i z Bloemfontein, aby potem, kiedy skończy dwadzieścia lat, pozwolić jej jechać do Paryża, mieszkać gdzieś przy ulicy Uniwersyteckiej, na trzecim piętrze, z jakimś panem, którego języka nawet nie rozumiem! Niech pan tylko pomyśli o tym, panie Méré, i niech się pan postawi na moim miejscu. Niech pan sobie wyobrazi, że jest pan farmerem Johnem Watkinsem, właścicielem kopalni Vandergaart-Kopje, a ja panem Cyprianem Méré, młodym uczonym wysłanym z misją naukową do południowej Afryki! Niech pan sobie wyobrazi siebie w tym domu, siedzącego tu, w tym fotelu, przy szklance dzynu, palącego fajkę napchaną hamburskim tytoniem; czy pogodziłby się pan choćby przez jedną minutę z myślą oddania mi swojej córki za żonę?

— Oczywiście, panie Watkins — odpowiedział Cyprian bez wahania — gdybym tylko widział w panu zalety mogące zapewnić jej szczęście.

— No, to byłby pan w błędzie, drogi panie, w grubym błędzie! — odparł pan Watkins. — Postąpiłby pan jak człowiek, który nie byłby godzien posiadać kopalni Vandergaart-Kopje, a raczej nigdy by jej w ogóle nie mógł posiadać! Bo, ostatecznie, cóż pan sobie myśli? Czy mnie ta kopalnia sama spadła z nieba? Czy pan myśli, że nie trzeba było dużo rozumu i dużo energii, żeby ją wynaleźć, a zwłaszcza żeby zapewnić sobie jej posiadanie? Otóż widzi pan, panie Méré, tym właśnie rozumem, którego dowiodłem w pamiętnych i decydujących okolicznościach, kiedy chodziło o kopalnię, kieruję się we wszystkich sprawach mojego życia, a szczególnie tam, gdzie chodzi o moją córkę. I dlatego powtarzam panu: niech pan to sobie wybije z głowy. Alicja nie dla pana!

Po tej tryumfalnej konkluzji pan Watkins chwycił za szklankę i wychylił ją jednym haustem. Młody inżynier, zdruzgotany, nie wiedział, co ma odpowiedzieć. Widząc to pan Watkins zaczął go dalej pograżać.

— Ach, ci Francuzi! Wy jesteście nadzwyczajni! — mówił. — W nic nie wątpicie, słowo daję! Jak to może być? Zjawia się pan tu trzy miesiące temu, w samym środku Griqualandu, jakby pan spadł z księżyca, przychodzi pan do spokojnego człowieka, który, jak żyje, nigdy o panu nie słyszał, który przez te trzy miesiące nie widział pana więcej niż dziesięć razy, i mówi mu pan: „Panie Johnie Stapleton Watkins, ma pan uroczą córkę, idealnie wychowaną, uznaną za perłę w całym kraju, a w dodatku — co nie pogarsza chyba sprawy — jedyną spadkobierczynią najbogatszej kopalni diamentów na obu półkulach! Ja jestem panem Cyprianem Méré z Paryża, inżynierem, i mam cztery tysiące osiemset franków pensji. Bardzo proszę, żeby pan dał mi tę panienkę za żonę, abym ją zawiózł na koniec świata i aby ojciec nic już o niej nie słyszał, chyba czasami za pośrednictwem poczty czy telegrafu!” I pan *uważa* to za zupełnie naturalne? Ja to uważam za coś niesłychanego!

Cyprian wstał. Był bardzo blady. Wziął kapelusz do ręki i zamierzał wyjść z pokoju.

— Tak, to coś niesłychanego! — powtórzył farmer. — Ja nie owijam niczego w bawełnę, jestem Anglikiem starej daty, proszę pana! Tak jak mnie pan widzi, byłem biedniejszy od pana, tak, znacznie biedniejszy! Czego ja nie robiłem! Byłem majtkiem na statku handlowym, polowałem na bizona w stanie Dakota, byłem górnikiem w Arizonie, pasalem stada owiec w Transwalu... Poznałem i upał, i zimno, i głód, i najcięższą mordęgę! Przez dwadzieścia lat pracowałem w pocie czoła na ten suchar, co zastępował mi obiad. Kiedy się ożeniłem z nieboszczką panią Watkins, matką Alicji, która była córką Boera — Francuza z pochodzenia jak pan, mówiąc nawiasem — to we dwoje nie mieliśmy nawet na to, żeby wyżywić kozę. Ale pracowałem! Nie traciłem nadziei! Teraz jestem bogaty i chcę używać owoców swojej pracy. A nade wszystko pragnę zatrzymać córkę przy sobie żeby mnie

pielegnowala w chorobie i zeby mi grała wie czorami na fortepianie, kiedy mi się nudzi. Jeśli wyjdzie za mąż, to tutaj, na miejscu, za jakiegoś chłopca stąd, tak bogatego jak i ona, za farmera albo górnika takiego jak my, za takiego, co nie będzie mi gadał, że zabierze ją nie wiedzieć dokąd, żeby biedę klepała gdzieś na trzecim piętrze, w jakimś kraju, gdzie nigdy noga moja nie postanie! Ona wyjdzie za Jamesa Hiltona na przykład albo za jakiegoś innego zucha w tym guście. Pretendentów jej nie brak, zapewniam pana! Wyjdzie za porządnego Anglika, który się nie boi wypić szklanki dzynu i który dotrzyma mi towarzystwa, jak sobie palę fajeczkę!

Cyprian trzymał już rękę na klamce. Chciał wyjść z tego pokoju, w którym zaczynał się dusić.

— No, tylko bez urazy! — zawołał za nim pan Watkins. — Ja wcale nie mam do pana pretensji, panie Méré, i zawsze będę pana chętnie widział jako lokatora i jako przyjaciela! O, właśnie dziś wieczór mamy parę osób na obiedzie. Może pan zechce przyjść?

— Nie, dziękuję panu — odpowiedział zimno Cyprian. — Mam dużo korespondencji do załatwienia przed jutrzejszą pocztą.

I wyszedł.

— Ach, ci Francuzi! To niesłychane! — powtarzał pan Watkins zapalając na nowo fajkę od żarzącego się smołowanego sznurka, który miał zawsze pod ręką.

I nalał sobie następną, pełną szklankę dzynu.

ROZDZIAŁ II

NA POLACH DIAMENTOWYCH

W odpowiedzi danej młodemu inżynierowi przez pana Watkinsa najbardziej upokarzające było to, że pod całą brutalnością formy Cyprian mimo woli dostrzegał wiele słuszności. Dziwił się nawet teraz, po dłuższym zastanowieniu, że sam nie przewidział obiekcji, jakie może przeciwstawić mu farmer, i skutkiem tego naraził się na tak przykrą odmowę.

Faktem było, że nigdy dotychczas nie myślał o dystansie, który różnice majątkowe, różnice narodowości, wychowania i środowiska wytworzyły między nim a Alicją. Przyzwyczał się od pięciu czy sześciu już lat traktować minerały ze ściśle naukowego punktu widzenia i diamenty były w jego oczach po prostu okazami jednej z odmian węgla, nadającymi się co najwyżej na eksponaty do muzeum Akademii Górniczej. Poza tym, ponieważ we Francji obracał się w środowisku znajdującym się na znacznie wyższym poziomie niż środowisko Watkinsów, nie uświadamiał sobie, jak wielką wartość z punktu widzenia kupieckiego przedstawia kopalnia farmera; nie pomyślał więc ani przez chwilę, że mogłaby istnieć dysproporcja między córką właściciela tej kopalni a francuskim inżynierem. Gdyby nawet stanął przed nim taki problem, prawdopodobnie ze swego punktu widzenia, jako paryżanin i świetny absolwent politechniki, sądziłby raczej, że to on znajduje się na krawędzi tego, co ludzie zwykli nazywać „mezaliansem”.

Gburowata replika pana Watkinsa wyrwała go boleśnie z tych złudzeń. Cyprian miał zbyt wiele zdrowego rozsądku, żeby nie widzieć jej solidnych podstaw, i za wiele uczciwości, żeby wpaść w gniew z powodu wyroku, który w gruncie rzeczy uważał za słuszny. Ale cios nie był wskutek tego mniej bolesny i teraz kiedy musiał wyrzec się Alicji, odczuł nagle, jak drogą stała mu się ta dziewczyna w ciągu niespełna trzech miesięcy. Tak, znał ją dopiero od trzech miesięcy, od chwili swego przyjazdu do Griqualandu.

Jakże dalekie wydawało mu się już to wszystko! Pamiętał ten dzień, kiedy podczas straszliwego upału, w tumanach kurzu docierał wreszcie do kresu swojej długiej podróży na drugą półkulę. Wylądował tu ze swym przyjacielem Pharamondem Barthesem, dawnym kolegą szkolnym, który już po raz trzeci przyjeżdżał dla rozrywki do Afryki na polowanie i rozstał się z nim w Capetown. Pharamond Barthes. udał się do kraju Basutów, gdzie chciał zebrać oddziałek wojowników murzyńskich, mających towarzyszyć mu jako eskorta podczas wypraw łowieckich w głąb lądu. Cyprian zajął miejsce w ciężkim, zaprzężonym w czternaście koni wozie, służącym za dylizans na drogach Vel-du, i wyruszył w stronę Pól Diamentowych.

Pięć czy sześć wielkich skrzyń — całe laboratorium chemiczne i mineralogiczne, z którym byłby wolał się nie rozstawać — stanowiło bagaż młodego uczonego; ale na wehikuł nie przyjmowano więcej niż pięćdziesiąt kilogramów na podróżnego i Cyprian musiał umieścić cenne skrzynie na wózku zaprzężonym w woły, mającym dostarczyć je do Griqualandu w tempie przypominającym podróżę za czasów Merowingów. Dylizans, do którego wsiadł młody inżynier, był zwykłym wozem wyposażonym w ławki na dwanaście osób; nakryty był płócienną budą i toczył się na czterech olbrzymich kołach, wiecznie mokrych z powodu licznych rzeczulek, przez które musiał przeprawiać się w bród.

Jak okropnie trzęsło w tym prymitywnym wehikule, na tych bardziej jeszcze prymitywnych drogach! Za ławki służyły po prostu pokrywy skrzyń, gdzie chowano drobne pakunki podróżnych; nieszczęśnik, który na nich siedział przez cały, nieskończenie długi tydzień, tłukł o nie z siłą

parowego młota. Nie podobna było czytać, spać ani nawet rozmawiać w czasie drogi. W dodatku większość podróźnych kociła tytoń dniem i nocą jak kominy fabryczne, piła bez żadnego umiarkowania i spluwała na boki.

Cyprian Méré znalazł się wśród zbiorowiska ludzi będących typowymi przedstawicielami tej koczowniczej rasy, której członkowie, pochodzący ze wszystkich stron świata, zjawiają się natychmiast wszędzie tam, gdzie zasygnalizowano istnienie złota czy diamentów. Był tu neapolitańczyk, niezdarny dryblas o długich, czarnych włosach, pergaminowej cerze i oczach nie budzących zaufania, przedstawiający się jako Hannibal Pantalacci; Żyd portugalski, nazwiskiem Nathan, ekspert w dziedzinie brylantów, siedzący cicho w kącie i patrzący na ludzi okiem filozofa; górnik z Lancashire, Tomasz Steel, wielki chłop z rudą brodą i potężnym grzbietem, który porzucił węgiel, żeby szukać szczęścia w Griqualandzie; był Niemiec, *Herr Friedel*, przemawiający tonem wyroczni i wiedzący już wszystko, co dotyczyło eksploatacji pól diamentowych, choć nigdy nie widział diamentu wydobytego ze złoża; był pewien Jankes o wąskich wargach, prowadzący rozmowę jedynie ze swoją oplataną butelką; prawdopodobnie jechał z zamiarem otworzenia koło pól diamentowych jednej z tych knajp, gdzie przepada zwykle większa część zarobków górnika. Farmer znad rzeki Hart, Boer z Wolnego Państwa Oranie, handlarz kością słonową jadący do kraju Namaqua, dwóch kolonistów z Transwału i Chińczyk — imieniem Li, jak na Chińczyka przystało — dopełniali tego zbiorowiska najbardziej różnorodnego, nieporządnego, hałaśliwego i podejrzanego, z jakim kiedykolwiek dane było zadawać się przyzwoitemu człowiekowi.

Cypriana z początku bawiły ich fizjonomie i obyczaje, wkrótce jednak poczuł się tym wszystkim bardzo zmęczony. Interesował go jeszcze tylko Tomasz Steel ze swoją bujną naturą i żywiołowym śmiechem oraz Chińczyk Li o łagodnych, kocich ruchach. Natomiast ponure żarty i wisielcza twarz Pantalacciego budziły w nim nieprzezwyjęzony wstręt.

W ciągu dwóch czy trzech dni jedną z ulubionych facecji tego osobnika było przyczepianie do warkocza, który zwisał na plecach Chińczyka zgodnie z obyczajem jego kraju, różnych przedmiotów, jak kępek trawy, głabów kapuścianych, ogona krowiego lub końskiej łopatki znalezionej po drodze.

Li niewzruszenie odczepiał przedmiot wiszący u długiego warkocza, nie dając do poznania ani słowem, ani gestem, ani nawet spojrzeniem, że te żarty przekraczają, jego zdaniem, granice przyzwoitości. Żółta twarz i małe, skośne oczka zachowywały niezmacony spokój, tak jakby to wszystko dotyczyło kogo innego. Można było sądzić doprawdy, że nie rozumiał ani jednego słowa z tego, co mówiono w tej istnej arce Noego toczącej się w stronę Griqualandu.

Wreszcie jednak Cypriana rozgniewał upór, z którym Pantalacci wybierał sobie wciąż nieszczęsnego Li jako ofiarę, i powiedział mu to bez ogródek. Tamten miał już na ustach jakąś impertynencję, ale jedno słowo Tomasza Steela wystarczyło, żeby przezornie zachował swój sarkazm dla siebie.

— Nie, stanowczo nie godzi się postępować tak z tym biedakiem, który nawet nie rozumie, co pan mówi — dodał pocziwy górnik wyrzucając już sobie, że przed chwilą śmiał się wraz z innymi.

Na tym więc sprawa się skończyła; ale w chwilę potem Cyprian ze zdziwieniem spostrzegł w skierowanym na siebie, inteligentnym i ironicznym spojrzeniu Chińczyka coś, co niedwuznacznie wyrażało uczucie wdzięczności. Przyszło mu wtedy na myśl, że Li prawdopodobnie rozumie więcej po angielsku, niż można było przypuszczać.

Jednak na następnym postoju na próżno usiłował nawiązać z nim rozmowę. Chińczyk pozostał niewzruszony i niemy. Od tego czasu ten dziwny człowiek zaczął intrygować młodego inżyniera jak zagadka, którą należy rozwiązać. Toteż Cyprian często pograżał się w obserwacji żółtej, wygolonej twarzy, ust rozciętych jakby ostrzem szabli, w których błyskały bardzo białe zęby, małego, zadartego

noska, szerokiego czoła i skośnych oczu, prawie zawsze osłoniętych powiekami, jakby dla ukrycia przebiegłego spojrzenia.

Ile lat mógł mieć Li? Piętnaście, czy sześćdziesiąt? Nie podobna było tego określić. Jego zęby, spojrzenie, włosy czarne jak sadze przemawiały raczej za młodością; natomiast zmarszczki na czole, na policzkach i w kącikach ust zdawały się świadczyć o wieku już dość podeszłym. Był małego wzrostu, szczupły, na pozór zręczny, ale miał jednak w ruchach coś starczego i jak gdyby „babskiego”.

Czy był bogaty, czy biedny? Pytanie to również nastroczało wiele wątpliwości. Jego szare, płócienne spodnie, bluza z żółtego fularu, czapeczka pleciona ze sznurka, obuwie z filcowymi podeszwami i pończochy nieskazitelnej białości mogły należeć zarówno do mandaryna, jak i do człowieka z ludu. Bagaż jego składał się z jednej tylko skrzynki z czerwonego drzewa, na której widniał adres wypisany czarnym atramentem: „H. Li z Kantonu, udający się do Copetown”.

Chińczyk był poza tym niezwykle czysty, nie palił, pił tylko wodę i korzystał z każdego postoju, żeby jak najstaranniej ogolić sobie głowę. Cyprian, nie mogąc niczego więcej się o nim dowiedzieć, dał wreszcie za wygraną i przestał się zajmować tą żywą zagadką.

Dni tymczasem płynęły, narastała ilość przebytych mil. Konie szły nieraz dobrym kłusem, czasami jednak wydawało się niemożliwością zmusić je do przyśpieszenia kroku. Ale mimo to podróż powoli dobiegała końca i pewnego dnia dyliżans zajechał do Hopetown. Jeszcze jeden etap i minęli Kimberley. Potem na horyzoncie ukazały się drewniane chałupki. Było to New--Rush.

Tutejsze obozowisko górników nie różniło się niczym od osiedli w tych wszystkich krajach, gdzie wkracza dopiero cywilizacja, od owych miast zbudowanych prowizorycznie, wyrastających spod ziemi jakby pod wpływem czarów. Domki sklecone z desek, przeważnie bardzo małe i podobne do budek do zorców w europejskich składach materiałów budowlanych, kilka namiotów, około tuzina kawiarni i knajp, sala bilardowa, „Alhambra” czyli sala przeznaczona na tańce, *story*, czyli sklepy z artykułami pierwszej potrzeby — oto co przede wszystkim zwracało uwagę widza.

W sklepach znaleźć można było wszystko: ubrania i meble, obuwie i szyby do okien, książki i siodła, broń i materiały włókiennicze, miotły i naboje, kołdry i cygara, świeże jarzyny i lekarstwa, pługi i mydła toaletowe, szczotki do paznokci i mleko w puszkach, patelnie i litografie, jednym słowem wszystko prócz nabywców. Ludność obozu bowiem była *jeszcze* o tej porze zajęta w kopalni położonej o trzysta czy czterysta metrów od New--Rush.

Cyprian Méré, jak wszyscy nowoprzybyli, pośpieszył tam, gdy tymczasem w baraku zwanym pompatycznie „Hotel Continental” zaczęły się przygotowania do obiadu.

Było około szóstej po południu. Na horyzoncie słońce otulało się już lekką, złotą mgłą. Młody inżynier zwrócił znów uwagę na to, co zastanawiało go już nieraz, że tarcza słońca, podobnie jak i księżyc, na tych szerokościach geograficznych wydaje się olbrzymia; zjawisko to nie zostało jeszcze dostatecznie wyjaśnione. Zachodzące słońce wydawało się co najmniej dwa razy większe tutaj niż w Europie.

Ale widok bardziej jeszcze niezwykły czekał Cypriana w samej *kopje*, czyli na polu diamentowym. W początkowym okresie robót kopalnia stanowiła niewielki, spłaszczony pagórek wznoszący się pośród równiny tak gładkiej jak morze w czasie zupełnej ciszy. Ale teraz był to raczej olbrzymi lej, którego brzegi miały kształt elipsy. Obszar ten zawierał nie mniej niż trzysta czy czterysta tak zwanych *claims*, czyli działek o bokach liczących trzydzieści jeden stóp. Właściciele eksploatowali je w sposób dowolny.

Praca zresztą polega po prostu na tym, żeby za pomocą kilofa i łopaty wydobywać ziemię — mieszaninę” czerwonego piasku i żwiru. Po wydobywaniu na powierzchnię przenosi się ją na

specjalne stoły, gdzie podlega płukaniu, tłuczeniu, przesiewaniu i jak najbardziej skrupulatnym oględzinom dla sprawdzenia, czy nie zawiera drogich kamieni.

Poszczególne szyby — jako że są kopane niezależnie jeden od drugiego — tworzą, oczywiście, doły o różnej głębokości. Niektóre z nich sięgają na sto lub więcej metrów w głąb, inne — zaledwie na piętnaście, dwadzieścia lub trzydzieści metrów.

Ażeby ułatwić pracę i poruszanie się na polu diamentowym, każdy przedsiębiorca zobowiązany jest zarządzeniem władz do pozostawienia co najmniej siedmiu stóp nienaruszonej ziemi z jednej strony swojego dołu. Ta przestrzeń, łącząca się z drogą tej samej szerokości, pozostawioną przez sąsiada, tworzy jakby groblę będącą na tym samym poziomie, co nieeksploatowany grunt. Na tej podstawie umieszczone są w poprzek belki wystające z obu stron mniej więcej na metr, co nadaje temu przejściu szerokość wystarczającą na to, żeby dwa wózki mogły mijać się swobodnie.

Niestety jednak, przedsiębiorcy, nie bacząc na trwałość tej wiszącej drogi ani na bezpieczeństwo górników, drążą stopniowo boczne ściany dołów w miarę ich pogłębiania, tak że grobla nabiera coraz to bardziej kształtu odwróconej, stojącej na swym czubku piramidy, przewyższającej miejscami wieże katedry Notre-Dame w Paryżu. Skutki tego łatwo przewidzieć: ściany ziemne wał się często bądź w okresie deszczów, bądź przy raptownych zmianach temperatury, które powiększają szczeliny w ziemi.

Cyprian Méré, zbliżając się do kopalni, zobaczył z początku tylko pełne lub puste wózki krążące po wiszących drogach. Ale gdy znalazł się dość blisko brzegu, aby zajrzeć w głąb tego jak gdyby kamieniołomu, zobaczył pracujących z zapalem górników należących do wszelkich możliwych ras i różniących się między sobą kolorem skóry i ubiorem. Byli tam Murzyni i biali, Europejczycy i Afrykanie, Mongołowie i przedstawiciele rasy celtyckiej. Przeważnie byli oni prawie zupełnie nadszy, co najwyżej odziani w płócienne spodnie i flanelowe koszule, czasami w krótką, bawełnianą spódniczkę; na głowach mieli słomiane kapelusze, często ozdobione strusimi piórami.

Wszyscy ci ludzie napełniali ziemią skórzane kubły, które windowano do góry na linach skręconych z drutu za pomocą pasów z krowiej skóry, nawijanych na lekkie drewniane bębny. Na powierzchni szybko opróżniano kubły wsypując ich zawartość do wózków, po czym puste wiadra wędrowały z powrotem na dół, by za chwilę powrócić z nowym obciążeniem.

Długie, żelazne liny, rozpięte na ukos ponad równoległościanami dołów, nadają tym odkrywkowym kopalniom diamentów wygląd bardzo osobliwy. Można by sądzić, że to boczne nici pajęczyny utkanej przez jakiegoś olbrzymiego pajaka, którego praca została nagle przerwana.

Cyprian bawił się jakiś czas obserwowaniem tego ludzkiego mrowiska, po czym wrócił do New-Rush, gdzie wkrótce zabrzmiał dzwonek w hotelowej jadalni. Przy stole musiał słuchać przez cały wieczór albo opowieści o nadzwyczajnych znaleziskach, o górnikach nędznych jak Hiob, których nagle wzbogacił jeden jedyny diament, albo przeciwnie — skarg na niezwyklego pecha, na chciwość pośredników, na nieuczciwość Kafrów pracujących w kopalni i kradnących co najpiękniejsze kamienie. Poruszano też inne sprawy, ściśle zawodowe; mówiono wyłącznie o diamentach, karatach, o setkach funtów szterlingów.

W ogóle jednak całe to zbiegowisko robiło wrażenie raczej nędzne i na jednego szczęściarza, zamawiającego hałaśliwie butelkę szampana, aby „oblać” chwilę powodzenia, widziało się ze dwadzieścia posepnych twarzy, których właściciele popijali jedynie cienkie piwo.

Od czasu do czasu jakiś kamień przechodził z rąk do rąk wokół stołu; ważono go w dłoni, oglądano, oceniano, po czym wracał do kieszeni swego właściciela. Szarawy, matowy kamyk nie mający więcej blasku od kawałka krzemienia toczonego przez byle strumyk — oto jak wygląda diament w stanie naturalnym.

Z nadejściem nocy zapełniły się kawiarnie i te same rozmowy, te same dyskusje, które uprzyjemniały obiad, ciągnęły się znowu przy kieliszku dzynu lub wódki.

Młody inżynier położył się wcześniej do łóżka, które mu wyznaczono w namiocie rozpiętym obok hotelu. Usnął szybko przy odgłosach zabawy pod gołym niebem urządzonej w sąsiedztwie przez górników Kafrów i przy przenikliwych dźwiękach kornetu, który przygrywał panom o białej skórze oddającym się popisom tanecznym w pobliskim lokalu.

ROZDZIAŁ III

TROCĘ WIADOMOŚCI NAUKOWYCH UDZIELONYCH MIMOCHODEM

Młody inżynier — trzeba to zaraz zapisać na jego dobro — nie przybył do Griqualandu, aby spędzać czas w tej atmosferze chciwości i pijaństwa, wśród kłębow tytoniowego dymu. Polecono mu wykonać plany topograficzne i geologiczne niektórych okolic kraju, zebrać okazy skał i próbki ziemi z terenów, w których znajdują się diamenty, i przeprowadzić na miejscu różne drobiazgowo badania. Przede wszystkim musiał więc zdobyć spokojne mieszkanie, gdzie mógłby urządzić laboratorium, mogące mu służyć, jeśli można się tak wyrazić, za bazę wypadową w zamierzonych wyprawach po całym okręgu górniczym.

Wzgórze, na którym wznosiła się farma Watkinsów, od razu zwróciło na siebie uwagę Cypriana jako punkt szczególnie odpowiedni dla jego prac. Był on dość oddalony od obozu górników, żeby dochodzące stamtąd hałasy nie bardzo przeszkadzały młodemu uczonemu, a z drugiej strony dzieliła go zaledwie godzina drogi od najdalej położonych kopalni, gdyż obwód całego okręgu diamentowego nie liczył więcej jak dziesięć do dwunastu kilometrów. Wybranie jednego z opuszczonych domów Johna Watkina, wynajęcie go, urządzenie się w nim zajęło Cyprianowi niespełna pół dnia. Zresztą farmer przyjął go dość dobrze. W gruncie rzeczy nudził się tego w swojej samotni i z przyjemnością widział, że osiedla się przy nim młody człowiek, mogący wnieść pewne urozmaicenie w jego życie.

Mylił się jednak bardzo, jeśli liczył na to, że znajdzie w swoim lokatorze wytrwałego współbiedniaka i kompana, z którym mógłby wspólnie przypuszczać szturm do dzbanów z dżynem. Ledwo ustawiono w opuszczonym budynku kocioł, retorty i inne przyrządy laboratoryjne, a nawet zanim jeszcze wszystko to znalazło się na miejscu, Cyprian rozpoczął już swoje wędrówki geologiczne po całej okolicy. Toteż gdy wieczorami powracał strudzony, obładowany kawałkami skał, wypełniającymi nie tylko cynowe pudełko i myśliwską torbę, ale kieszenie, a czasem nawet i kapelusz, miał raczej ochotę rzucić się na łóżko i spać niż wysłuchiwać bajdurzenia pana Watkina. W dodatku palił mało, pił jeszcze mniej; wszystko to nie dawało w sumie wesołego towarzysza, którego wymarzył sobie stary farmer.

Cyprian był jednak tak zycznym i dobrym człowiekiem, tak prostym w obejściu i szczerym w uczuciach, posiadającym tak dużą wiedzę, a tyle skromności, że trudno było nie polubić go, zwłaszcza widując go często. Pan Watkins, choć może sam nie zdawał sobie z tego sprawy, odczuwał w stosunku do młodego inżyniera więcej szacunku niż do kogokolwiek w ciągu całego swego życia. Gdyby tylko ten chłopak umiał lepiej pić! Co tu robić z takim, co kropli dżynu nigdy do ust nie bierze?

Co do panny Watkins, to od razu nawiązała z młodym uczonym swobodne, koleżeńskie stosunki. Ceniąc w nim wytworność zachowania i wyższość intelektualną, której bynajmniej nie spotykała w swym zwykłym otoczeniu, chwyciła z zapalem nadarzącą się niespodziewanie okazję uzupełnienia wiadomościami z chemii doświadczalnej dość wszechstronnego już wykształcenia, które zdobyła studiując samodzielnie dzieła naukowe.

Laboratorium młodego inżyniera, pełne dziwacznych przyrządów, interesowało ją żywo. Była w szczególności ciekawa dowiedzieć się wszystkiego, co dotyczyło diamentów, tych cennych kamieni odgrywających tak wielką rolę w tutejszych rozmowach i stosunkach handlowych. Prawdę mówiąc Alicja patrzyła na diament raczej jak na zwykły kamyk, Cyprian miał w tym względzie — zdołała to już zauważyć — podobne zapatrywania. Ta zbieżność poglądów nie była bez znaczenia w przyjaźni,

jaka się w ciągu krótkiego czasu między nimi zawiązała. Można śmiało powiedzieć, że byli jedynymi ludźmi w Griqualandzie uważającymi, że poszukiwanie, szlifowanie i sprzedawanie tych małych, pożądaných na całym świecie kamyków nie jest jedynym celem życia.

— Diament — powiedział kiedyś Alicji młody inżynier — jest po prostu czystym węglem. To kawałek skryształizowanego węgla, nic więcej. Można go spalić jak najzwyklejszy kawał węgla używanego na opał i właśnie ta jego cecha pozwoliła przede wszystkim domyślić się, czym jest w istocie. Newton, który był tak niezwykłym obserwatorem, zauważył, że rżnięty diament lepiej załamuje światło niż wszystkie inne przezroczyste ciała. Otóż, ponieważ wiedział, że cecha ta jest wspólną dla większości ciał palnych, wywnioskował ze zwykłą sobie śmiałością, że diament musi być palny. Doświadczenie potwierdziło jego hipotezę.

Tak gawędzili przechadzając się po wysypanym piaskiem tarasie, ciągnącym się wzdłuż całej farmy, lub wieczorami, siedząc na przewiewnej werandzie i patrząc na migocące gwiazdy południowego nieba.

Potem Alicja rozstawała się z młodym inżynierem i wracała do siebie. Czasami zabierała Cypriana do zagrody, w której hodowała małe stadko strusi; zagroda ta położona była u stóp wzgórza, na którym stał dom Johna Watkina. Dziewczyna lubiła te dziwaczne ptaki o małej, białej główce wznoszącej się nad czarnym tułowiem, o grubych, sztywnych nogach, z kępami żółtawych piór przy skrzydłach i ogonie; już od roku czy dwóch zajmowała się hodowlą tych szcudłonogich olbrzymów. Bawiło ją, gdy samice, wysiedziawszy swoje olbrzymie jaja, z całą gromadą piskląt przybiegały do jedzenia, zupełnie jakby to były kury lub indyki. Cyprian przychodził tu z nią czasami i lubił głaskać jednego z najładniejszych strusi z czarną głową i złotymi oczyma, owego ulubionego Dade, który właśnie połknął kulę z kości słoniowej, używaną przez Alicję do cerowania pończoch.

Stopniowo jednak Cyprian poczuł, że budzi się w nim w stosunku do Alicji uczucie bardziej serdeczne i głębokie od przyjaźni. Powiedział sobie, że aby dzielić jego życie, pełne pracy i umysłowych wysiłków, nie znajdzie się nigdy lepsza towarzyszka niż ta dziewczyna o szczerym sercu i żywej inteligencji, tak miła i posiadająca tyle zalet. Istotnie, panna Watkins, straciwszy wcześniej matkę, zmuszona sama zająć się domem, wyrosła na świetną gospodynię i na osobę obytą ze światem. To właśnie połączenie wyrobienia towarzyskiego i ujmującej prostoty nadawało jej tyle wdzięku. Nie mając w sobie nic ze śmiesznych pretensji wielu młodych elegantek z miast europejskich, nie wzdragała się wymieszać ciasta na pudding swymi ładnymi, białymi rękoma, lubiła dopilnować przyrządzania obiadu, czuwała, aby bielizna domowników była w dobrym stanie. Te wszystkie zajęcia nie przeszkadzały jej grać sonat Bee-thovena równie dobrze, a może i lepiej niż wiele innych panien, mówić poprawnie dwoma czy trzema językami, czytać, cenić arcydzieła literatury całego świata i wreszcie — odnosić wielkich sukcesów na zebraniach towarzyskich odbywających się nieraz u bogatych okolicznych farmerów.

Niestety, Cyprian zbudził się teraz ze swego pięknego snu, spostrzegając po raz pierwszy niezgłębioną przepaść, jaka dzieliła go od Alicji. Toteż z ciężkim sercem wrócił do siebie po tej rozstrzygającej rozmowie. Ale nie był człowiekiem łatwo poddającym się rozpacz; zdecydowany był walczyć, a na razie poszukać w pracy najpewniejszego oparcia i pociechy w swym zmartwieniu.

Usiadłszy przy stoliku, młody inżynier, pisząc szybko i pewnie, ukończył zaczęty z rana poufny list do swego uwielbianego mistrza, członka Akademii Nauk i profesora Akademii Górniczej:

„...Sądziłem, że w moim oficjalnym raporcie — pisał — nie powinienem umieszczać pewnego poglądu dotyczącego powstawania diamentów, który nasunął mi się w czasie moich ostatnich obserwacji geologicznych, ale jest jeszcze w moim pojęciu jedynie hipotezą. Ani teoria o pochodzeniu wulkanicznym, ani też twierdzenie, że diament przedostał się do pokładów, w których

znajduje się obecnie, skutkiem gwałtownych burz i opadów, nie zadowalają mnie, tak jak i Pana, drogi Mistrzu; nie potrzebuję przypominać Panu powodów, dla których odrzucamy te hipotezy. Formowanie się diamentów na miejscu, pod wpływem ognia, jest również wytłumaczeniem zbyt mglistym i nie odpowiada mi wcale. Jakiego rodzaju byłby ten ogień i w jaki sposób nie wywarłby jednocześnie wpływu na różnorodne wapienie, stale spotykane w pokładach obfitujących w diamenty? Wydaje mi się to po prostu czymś dziecinnym, jak na przykład teoria o haczykowatych atomach.

Jedynym wytłumaczeniem, które by mi odpowiadało, wprawdzie nie całkowicie, jednak do pewnego stopnia, to przenoszenie przez wodę części składowych diamentu i późniejsze formowanie się kryształów na miejscu. Zastanowił mnie specyficzny, powtarzający się prawie bez odmiany profil rozmaitych złóż, które obejrzałem i wymierzyłem z największą dokładnością. Wszystkie prawie bez wyjątku przypominają kształtem czarę, kapsle lub raczej — biorąc pod uwagę przylegającą do ścian skorupę — leżącą na boku manierkę myśliwską. Jest to jak gdyby zbiornik, mający trzydzieści do czterdziestu tysięcy metrów sześciennych, wypełniony piaskiem, błotem i mułem aluwialnym, przylegającym do pierwotnej skały. Ten rodzaj formacji jest szczególnie widoczny w Vandergaart-Kopje, jednym ze złóż najpóźniej odkrytych, które, mówiąc nawiasem, należy do właściciela domu, gdzie mieszkam i skąd piszę ten list do" Pana.

Cóż dzieje się, kiedy wlewamy do naczynia płyn, w którym zawieszono są drobne cząsteczki obcego ciała? Cząstki te osiadają głównie na dnie i na bokach naczynia. Otóż to właśnie ma miejsce w kopalniach diamentów. Znajdują się one głównie na samym dnie, w pobliżu środka zbiornika albo przy jego zewnętrznym obwodzie. Fakt ten jest tak dobrze znany, że przy eksploatacji wszystkie działki znajdujące się pomiędzy tymi miejscami spadają szybko w cenę, gdy tylko zostanie ustalony kształt złoża, natomiast szyby położone w środku i na brzegach dochodzą w krótkim czasie do olbrzymich cen. Analogia przemawia więc wyraźnie za tym, że materiał tworzący diamenty został tu naniesiony przez wodę.

Z drugiej strony, wiele innych okoliczności, wymienionych przeze mnie w oficjalnym raporcie, przemawia jeszcze za tworzeniem się kryształów na miejscu, a nie za tym, że przeniesione były w stanie gotowym. Przytaczam kilka z nich, a mianowicie: diamenty tworzą prawie Zawsze grupy okazów tego samego rodzaju i tego samego koloru, co z całą pewnością nie miałyby miejsca, gdyby zostały tu naniesione przez wodę jako już całkowicie sformowane; często znajduje się po dwa diamenty spojone tak słabo, że najłżejsze uderzenie rozłącza je — jakże mogłyby się oprzeć tarcu i naporowi niosącej je wody? Poza tym największe diamenty znajdują się prawie zawsze pod osłoną skały, co dowodziłoby, że działanie tej skały — czy to jej promieniowanie cieplne, czy inny czynnik — ułatwiło proces krystalizacji. Wreszcie zdarza się rzadko, bardzo rzadko nawet, żeby drobne i duże diamenty znajdowały się razem. Każdy piękny, wielki kamień jest zawsze samotny; wygląda to tak, jakby wszystkie elementy tworzące w danym ośrodku diament, pod wpływem specjalnych czynników skoncentrowały się dla utworzenia jednego kryształu.

Te motywy zatem i wiele innych jeszcze skłaniają mnie do przypuszczeń, że kryształy diamentów tworzą się na miejscu, z materiału naniesionego uprzednio przez wodę.

Ale skąd wzięły się te wody niosące szczątki przeznaczone do przetworzenia się w diamenty? Tego nie jestem w stanie określić mimo bardzo sumiennych badań przeprowadzonych na różnych terenach.

Odkrycie to miałoby, oczywiście, wielkie znaczenie. Gdyby zdołano wyśledzić drogę odbyłą przez te wody, czyż nie można by, przeszedłszy ją w odwrotnym kierunku, dotrzeć do miejsca, skąd pochodzą diamenty, gdzie znalazłoby się ich bez porównania więcej niż w niewielkich złożach

eksploatowanych obecnie? Byłoby to niezbitym dowodem słuszności mojej teorii i cieszyłbym się z tego bardzo. Ale tego doświadczenia już nie przeprowadzę, gdyż moja misja jest prawie na ukończeniu, a nie udało mi się dotychczas sformułować w tym przedmiocie żadnych poważnych wniosków.

Miałem więcej szczęścia w analizie skał..."

Młody inżynier ciągnął dalej swoje sprawozdanie, zagłębiając się w związku ze swymi pracami w szczegóły techniczne, bez wątpienia niezmiernie ciekawe dla niego i dla adresata listu, ale co do których zwykły czytelnik mógłby być innego zdania. Uważamy, że przezorniej będzie mu je darować.

O północy, skończywszy swój długi list, Cyprian zgasił lampę, wyciągnął się na hamaku i usnął snem sprawiedliwego.

Praca złagodziła — przynajmniej chwilowo — jego zmartwienie, jednak pewna uroczą postać nie raz w ciągu nocy zjawiała się w jego snach i zdawało mu się, że szepce, aby nie tracił jeszcze nadziei!

ROZDZIAŁ IV

VANDERGAART-KOPJE

„Stanowczo trzeba jechać — powiedział sobie nazajutrz Cyprian Méré ubierając się. — Trzeba opuścić Griqualand! Po tym, co pozwoliłem sobie nagadać temu staremu, pozostać tu jeden dzień dłużej byłoby słabością. Nie chce mi dać córki? Może ma i rację. W każdym razie nie będę siedział tu z miną, jakbym chciał prosić o litość. Muszę przyjąć po męsku ten wyrok, jakkolwiek jest on dla mnie tak bolesny, i liczyć na to, że coś zmienić się może w przyszłości”.

Nie wahając się dłużej, Cyprian zaczął pakować swoje przyrządy naukowe do skrzyń, które służyły mu przez cały ten czas za szafy i komody. Zabrał się do roboty z zapalem i był nią pochłonięty całkowicie już chyba ze dwie godziny, gdy nagle poprzez otwarte okno doleciał go dźwięczny, czysty głos niosący się od stóp tarasu jak śpiew skowronka w porannym powietrzu. Była to urocza melodia do słów poety Moore'a :

Kwitnie ostatnia róża
U schyłku letnich dni.
Zwiędły jej towarzyszki,
Sama na krzewie tkwi.

Cyprian podbiegł do okna i ujrzał Alicję idącą w stronę zagrody ze strusiami; w fartuszkach niosła ich ulubione łakocie. Ona to śpiewała patrząc na słońce wznoszące się nad horyzontem.

Ach, nie dam ci tak tęsknić
Samej wśród chłodnej mgły!
Gdy siostry twe zasnęły,
Pójdź, zaśnij także ty.

Młody inżynier nigdy nie sądził, że jest specjalnie wrażliwy na poezję. Tym razem jednak czuł się głęboko wzruszony. Stał przy oknie, wstrzymując oddech, i słuchał, a raczej pił po prostu te pełne słodyczy słowa.

Piosenka umilkła. Panna Watkins zajęła się karmieniem swoich strusi i zabawnie było patrzeć, jak wyciągały długie szyje i niezdarne dzioby, starając się dosięgnąć droczących się z nimi rączek. Skończywszy rozdzielać jedzenie Alicja zawróciła w stronę domu. Śpiewała dalej:

Kwitnie ostatnia róża
U schyłku letnich dni.
Serce w tym mrocznym świecie
Przed samotnością drży.

Cyprian stał wciąż na tym samym miejscu z wilgotnymi oczyma, jakby obezwładniony urokiem pieśni. Głos oddalał się, Alicja musiała już być blisko domu, zapewne nie dalej niż o jakie dwadzieścia metrów, gdy nagle, usłyszawszy przyspieszone kroki, odwróciła się i stanęła. Cyprian bez namysłu, pod wpływem niepowstrzymanego odruchu, opuścił swą chatkę i z gołą głową pobiegł

za dziewczyną.

— Panno Alicjo!

— Panie Méré?...

Stali teraz naprzeciw siebie w blasku porannego słońca, na ścieżce okalającej farmę. Smukłe ich cienie rysowały się ostro na biało pomalowanym parkanie wśród tego pustynnego krajobrazu. Teraz, gdy już dogonił dziewczynę, Cyprian zdziwił się jakby własnej śmiałości i milczał niezdecydowany.

— Chciał mi pan coś powiedzieć? — spytała Alicja z zainteresowaniem.

— Chciałem się z panią pożegnać, panno Alicjo! Dzisiaj wyjeżdżam — odrzekł dość niepewnym głosem.

Lekki rumieniec zdobiący delikatną cerę panny Watkins nagle zniknął.

— Pan wyjeżdża? Chce pan jechać? Dokąd? — spytała zmieszana.

— Do kraju... do Francji — odpowiedział Cyprian. — Wykonałem wszystkie prace. Kończy się moja misja... Nie mam już nic do roboty w Griqualandzie i muszę wracać do Paryża...

Mówił głosem przerywanym, tonem winowajcy, który chce się usprawiedliwić.

— Ach, tak... To prawda... Tak musiało się stać! — wyjąkała Alicja nie bardzo wiedząc, co mówi.

Dziewczyna była zupełnie oszołomiona. Wiadomość ta spadła na nią jak cios maczugi w pełni szczęścia, z którego dotychczas nie zdawała sobie sprawy. Nagle łzy ukazały się w jej oczach i zawisły na długich rzęsach. I tak jakby ten wybuch żalu przywołał ją do rzeczywistości, odzyskała nieco sił, żeby zdobyć się na uśmiech.

— Pan wyjeżdża? — powtórzyła. — A cóż będzie z pana pilną uczenicą? Chce ją pan opuścić, zanim ukończy kurs chemii? Chce pan, żeby pozostała przy tlenie, a tajemnice azotu mają na zawsze być dla niej martwą literą? To bardzo nieładnie z pana strony...

Próbowała nadrabiać miną i żartować, ale głos jej przeczył słowom. W tym przekomarzaniu się był gorzki wyrzut, który trafił prosto w serce młodego człowieka. Właściwie słowa jej znaczyły:

„A cóż będzie ze mną? Czyż ja nie liczę się wcale? Odrzuca mnie pan po prostu, żebym pograżyła się w nicości? Przyjechał pan tu, między tych Boerów i chciwych górników, jak jakaś wyższa i uprzywilejowana istota — uczony, dumny, bezinteresowny, wyższy ponad wszystko... Wtajemniczał mnie pan w swoje studia, w swoją pracę... Otwierał pan przede mną swoje serce, mówiąc mi o swych wzniosłych ambicjach, o swych zamiłowaniach literackich, o swych upodobaniach artystycznych. Ujrzałam całą przepaść, która dzieli takiego jak pan człowieka od otaczających mnie pospolitych stworzeń. Zrobił pan wszystko, żebym pana podziwiała i pokochała... Udało się to panu! A teraz przychodzi mi pan powiedzieć po prostu, że pan wyjeżdża, że wszystko skończone, że pan wraca do Paryża, gdzie co prędzej pan o mnie zapomni!... I pan myśli, że przyjmę takie rozwiązanie z filozoficznym spokojem?”

Tak, to wszystko kryło się poza słowami Alicji i jej wilgotne oczy mówiły o tym tak wyraźnie, że Cyprian, chcąc odpowiedzieć na ten wyrzut, o mało nie krzyknął:

„Tak być musi! Wczoraj prosiłem ojca o twoją rękę, ale od mówił mi, nie pozostawiając mi nawet żadnej nadziei! Czy rozumiesz teraz, dlaczego wyjeżdżam?!”

Ale na czas przypomniał sobie obietnicę daną panu Watkinsowi. Zobowiązał się przecież, że nigdy nie powie Alicji o tym, co sobie wymarzył, i pogardzałby sam sobą, gdyby nie dotrzymał słowa.

Ale jednocześnie poczuł, że ten zamiar wyjazdu, powzięty nagle, pod wpływem doznanego zawodu, był brutalny, niemal okrutny. Teraz wydało mu się niemożliwe opuścić bez przygotowania, bez namysłu tę uroczą dziewczynę, którą kochał i która — widział to teraz jasno — odwzajemniała

mu się uczuciem tak szczerym i głębokim!

Postanowienie, które przed dwiema godzinami narzuciło mu się jak nieunikniona konieczność, budziło w nim teraz odrazę. Nie śmiał już nawet do niego się przyznać. Nagle wyparł się swego projektu.

— Jeśli mówię o wyjeździe, panno Alicjo — powiedział — to przecież nie znaczy, żeby to miało nastąpić zaraz. Nawet nie dzisiaj, jak sądzę... Muszę jeszcze porobić trochę notatek... przygotować różne rzeczy... W każdym razie będę miał jeszcze zaszczyt zobaczyć panią i porozmawiać... o planie nauk pani na przyszłość!

To rzekłszy Cyprian odwrócił się gwałtownie i uciekł jak wariat; wrócił do siebie, rzucił się na fotel i zaczął się głęboko zastanawiać. Bieg jego myśli zmienił się całkowicie.

„Wyrzec się tylu wdzięków z powodu głupiego braku pieniędzy! — mówił sobie. — Opuścić grę przy pierwszej przeszkodzie! Czyż to jest rzeczywiście odwaga, tak jak sądziłem? Czy, przeciwnie, nie byłoby lepiej poświęcić trochę przesądów i próbować wznieść się aż do niej? Tyle ludzi zdobywa majątek w ciągu kilku miesięcy, szukając diamentów. Dlaczego nie miałbym postąpić tak samo jak oni? Kto mi zaręczy, że akurat nie trafi mi się stukaratowy kamień, jak innym to się zdarzało? A może nawet odkryję nowe złożę? Mam niewątpliwie więcej wiadomości teoretycznych i praktycznych od większości tych ludzi! Dlaczegożby nauka nie miała dać mi tego, co innym dała praca połączona z odrobiną szczęścia? Ostatecznie, spróbować niezaszkodzi. Nawet z punktu widzenia moich badań naukowych może nie będzie rzeczą zbędną samemu wziąć do ręki motykę i zapoznać się z pracą górnika! A jeśli mi się uda, jeśli się wzbogacę tym prostym sposobem, kto wie, czy John Watkins nie da się przekonać i nie zmieni swej decyzji. Trzeba popробować szczęścia, stawka jest na to dość wysoka!”

Cyprian znów zaczął chodzić po laboratorium, ale tym razem ręce jego pozostały bezczynne, myśl jedynie pracowała. W pewnej chwili zatrzymał się, włożył kapelusz i wyszedł.

Ścieżką, która biegła w stronę doliny, podążył szybko do Vandergaart-Kopje. W niespełną godzinę był już na miejscu.

O tej porze górnicy całą gromadą wracali do obozu na południowy posiłek. Cyprian badał oczyma wszystkie te opalone twarze, zastanawiając się, u kogo zasięgnąć potrzebnych mu informacji, gdy nagle spostrzegł sympatyczną, poczciwą fizjonomię Tomasza Steela, dawnego górnika z Lancashire. Już parę razy od dnia ich wspólnego przyjazdu do Griqualandu zdarzyło się inżynierowi spotkać tego miłego chłopca; skonstatował przy tym, że górnikowi powodzi się doskonale, o czym wymownie świadczył jego tryskający zdrowiem, wygląd, nowiutkie ubranie, a szczególnie szeroki, skórzany pas, obciskający jego boki. Cyprian podszedł do niego i w paru słowach podzielił się z nim swymi projektami.

— Wziąć w dzierżawę szyb? Nic łatwiejszego, jeśli pan ma pieniądze — odpowiedział górnik. — Właśnie jest jeden wolny koło mnie. Czteryście funtów szterlingów — to darmo! Z pomocą pięciu czy sześciu Murzynów, którzy będą dla pana kopali, może pan śmiało liczyć, że uda się panu „zrobić” diamentów co najmniej za jakie siedemset czy osiemset franków tygodniowo.

— Ale ja nie mam czterystu funtów i nie mam do pomocy ani jednego Murzyna! — zawołał Cyprian.

— No, to niech pan wynajmie część *claimu*, jedną ósmą lub nawet jedną szesnastą, i niech pan sam pracuje. Tysiąc franków wystarczy na taki interes.

— Tak, na to mógłbym chyba sobie pozwolić — odpowiedział młody inżynier. — Ale pan, panie Steel, jak pan sobie daje radę? A może jestem zbyt niedyskretny? Czy pan tu przyjechał z jakim kapitałem?

— Przyjechałem tu mając dwie ręce do roboty i zaledwie trzy drobne sztuki złota w kieszeni. Ale miałem szczęście. Pracowałem z początku na jednej ósmej szybu, dzieląc zyski do połowy z właścicielem, który wolał siedzieć w kawiarni niż zajmować się kopalnią. Było umówione, że podzielimy się tym, co znajdzie, a trzeba przyznać, że udało mi się kilka razy nieźle. Raz natrafiłem na pięciokaratowy kamień, który sprzedaliśmy za dwieście funtów szterlingów. Ale mi w końcu obrzydło pracować na tego lenia i kupiłem sobie jedną szesnastą część szybu, którą eksploatowałem już samodzielnie. Ponieważ znajdowałem tam same drobne kamienie, sprzedałem tę część dziesięć dni temu. Teraz pracuję do spółki z jednym Australijczykiem w jego szybie, ale przez pierwszy tydzień zarobiliśmy zaledwie pięć funtów we dwóch.

— Gdybym znalazł jaką dobrą część szybu niezbyt drogo, czy zechciałby pan wejść do spółki ze mną? — spytał młody inżynier.

— Owszem, ale pod jednym warunkiem — odparł Tomasz Steel. — Aby każdemu z nas przypadało to, co sam znajdzie. Niech pan nie myśli, panie Méré, że panu nie wierzę, ale widzi pan, od czasu jak tu jestem, przekonałem się, że zawsze tracę na spółkach, bo to kilof i łopata same do ręki mi idą i zawsze odwalę dwa albo trzy razy więcej roboty od współnika!

— Tak, to wydaje mi się słuszne — odpowiedział Cyprian.

— Ale, ale! — zawołał nagle górnik przerywając mu. — Mam pomysł, i to chyba niezły... Może byśmy tak wzięli jeden z szybów Johna Watkina?

— Jak to: jeden z szybów? Czyż cała kopalnia nie należy do niego?

— Oczywiście, panie Méré, ale wie pan przecież, że władze kolonii od razu kładą rękę na całym terenie, gdy się okaże, że są w nim złoża diamentów. I już rząd administruje wtedy kopalnię, opodatkowuje ją, dzieli na *claimy*, zatrzymując dla siebie większą część opłat za koncesje, a właścicielowi dając tylko pewną stałą rentę. Prawdę mówiąc, ta suma, jeśli chodzi o tak wielką kopalnię jak Vandergaart-Kopje, także stanowi ładny dochód, a z drugiej strony, właściciel zawsze ma pierwszeństwo przy odkupieniu działek i może ich mieć tyle, ile jest w stanie eksploatować. Tak właśnie jest z Johnem Watkinsem. Eksploatuje kilka szybów, prócz tego, że jest właścicielem całej kopalni. Ale nie może ich wykorzystać tak, jakby chciał, bo podagra nie pozwala mu tu często przyjeżdżać i pilnować robót. Myślę, że gdyby pan się z nim rozmówił, to oddałby panu szyb na dobrych warunkach.

— Wolałbym, żeby pan sam tę sprawę z nim załatwił — powiedział Cyprian.

— Niech i tak będzie — rzekł Tomasz Steel. — Możemy zaraz zbyć ten kłopot z głowy.

W trzy godziny potem połowa *claimu* numer 942, starannie oznaczona kołkami według planu kopalni, została formalnie wydzierżawiona panom Méré i Steelowi za opłatą dziewięćdziesiąt funtów. Poza tym zaznaczono w kontrakcie, że dzierżawcy podzielą się z Johnem Watkinsem tym, co wydobędą, i że wręczą mu trzy pierwsze diamenty ważące ponad dziesięć karatów, jeśli takowe zostaną znalezione. Nic nie wskazywało, że zdarzy się coś podobnego, ale było to ostatecznie możliwe — wszystko jest przecież możliwe!

Ogólnie biorąc, dzierżawa mogła być uważana za wyjątkowo dobry dla Cypriana interes; pan Watkins oświadczył mu to ze zwykłą sobie bezceremonialnością, trącając się z nim kieliszkiem po podpisaniu kontraktu.

— Wybrał pan najlepszy sposób, mój chłopcze! — rzekł klepiąc go po ramieniu. — Będą z pana ludzie! Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby pan został jednym z najlepszych górników w Griqualandzie.

Cyprian nie mógł się powstrzymać, aby w tych słowach nie dopatrzeć się szczęśliwej zapowiedzi na przyszłość. A w błękitnych oczach panny Watkins, która była obecna przy tej rozmowie, błyszczał jak gdyby jasny promień słońca. Nie! Nikt by nie uwierzył, że oczy te płakały cały ranek!

Na podstawie milczącego porozumienia nie wspomniano zresztą o przygnębiającej scenie porannej. Cyprian nie wyjeżdżał, to było oczywiste, i to było ostatecznie najważniejsze. Młody inżynier wyszedł więc z lekkim sercem, żeby przygotować się do przeprowadzki. Zamierzał przenieść się do namiotu na terenie kopalni, toteż zabrał ze sobą niewielką walizkę z niezbędnymi rzeczami. Na farmie miał teraz spędzać tylko krótkie wolne od pracy chwile.

ROZDZIAŁ V

PIERWSZE KROKI

Nazajutrz od samego rana obaj wspólnicy zabrali się do pracy. Szyb ich, położony na skraju kopalni, powinien być bogaty w diamenty, jeśli teoria Cypriana Méré nie była pozbawiona podstaw. Niestety, szyb ten był już poprzednio gruntownie wyeksploatowany i sięgał na przeszło pięćdziesiąt metrów w głąb ziemi.

Z pewnych względów była to okoliczność pomyślna, gdyż znajdując się na poziomie niższym od działek sąsiednich, szyb korzystał — stosownie do obowiązujących tutaj praw — z całej ziemi, a więc i ze wszystkich diamentów, które mogły do niego wpaść.

Praca była bardzo prosta. Dwaj wspólnicy za pomocą kilofów i motyk odrywali najpierw ściśle wymierzone porcje ziemi. Po czym jeden z nich wracał na powierzchnię kopalni i na żelaznej linie wyciągał przysyłane mu z dołu kubły z ziemią.

Ziemię tę przewozili następnie na taczkach do chaty Tomasza Steela. Tam rozgniatali ją z grubsza ciężkimi polanami, odrzucali bezwartościowe kamienie i przepuszczali ją przez siatkę z piętnastomilimetrowymi oczkami, ażeby oddzielić mniejsze kamyki, oglądane nader dokładnie przed wyrzuceniem. Wreszcie przesiewali ziemię przez gęste sito, aby oddzielić pył, po czym materiał był już gotowy do sortowania. Wysypywano go wtedy na stół, przy którym zasiadali obaj górnicy, uzbrojeni w blaszane narzędzie podobne do skrobaczki, i rozpatrywali jak najdokładniej garść po garści; obejrzaną ziemię rzucali pod stół, a następnie, po ukończeniu badania, wynosili ją na dwór.

Wszystkie te czynności miały na celu wykrycie znajdujących się tam ewentualnie diamentów, których rozmiary czasami mniejsze były od połowy ziarnka soczewicy. Obaj wspólnicy czuli się szczęśliwi, jeśli znaleźli w ciągu dnia jeden bodaj taki kamień. Pracowali z wielkim zapałem, przesiewali ziemię z niezmierną dokładnością, mimo to przez pierwsze dni ich praca nie dała prawie żadnych rezultatów. Szczególnie Cyprianowi kiepsko się wiodło. Jeśli trafił się jakiś maleńki diament w ziemi, którą przeglądali, prawie zawsze Tomasz Steel spostrzegwał go pierwszy. Jedyne diament znalezione przez Cypriana, ku wielkiej jego radości, nie ważył więcej niż jedną szóstą karata, i to razem z powłoką. (Karat odpowiada mniej więcej jednej piątej grama)

Znalezienie kamienia ważącego jedną szóstą karata po pracy trwającej cały tydzień było zaiste bardzo mizernym wynagrodzeniem za tyle trudu. Tak właśnie ocenił to Cyprian w głębi duszy. Podtrzymywała go jednak nadzieja znalezienia pięknego kamienia, który wynagrodzi od razu pracę kilku tygodni lub nawet kilku miesięcy, jak podtrzymuje każdego, nawet najmniej ufającego w przyszłość górnika. Tomasz Steel natomiast pracował jak maszyna, nie myśląc o niczym, z szybkością, jaką daje wprawa. Tak to przynajmniej na pozór wyglądało.

Śniadanie wspólnicy jadali zwykle razem. Ograniczali je do kilku kanapek i piwa kupowanego w bufecie urządzonym na świeżym powietrzu, ale na obiad chodzili do jadłodajni, których było kilka na terenie kopami. Wieczorem rozstawali się i każdy podążał w swoją stronę — Tomasz Steel udawał się do jednej z sal bilardowych, a Cyprian zachodził na godzinkę lub dwie na farmę.

Młody inżynier spotykał tam nieraz swego rywala, Jamesa Hiltona, wielkiego chłopca o rudych włosach i bladej cerze pokrytej piegami. Spotkania te były dla Cypriana bardzo niemiłe. Stawało się oczywiste, że rywal czyni szybkie postępy w łaskach Johna Watkina, pijąc jeszcze więcej dżynu i paląc więcej tytoniu niż gospodarz. Wprawdzie Alicja zdawała się odnosić z wyraźną pogardą do jego prowincjonalnej elegancji i niewybrednego sposobu prowadzenia rozmów, niemniej jednak

obecność Hiltona była dla Cypriana czymś nieznośnym. Toteż nieraz, czując, że nie jest w stanie zapanować nad sobą, żegnał całe towarzystwo i szedł do siebie.

— Francuzik jakoś nie w humorze! — mówił wtedy John Watkins mrugając do swego kompana. — Zdaje się, że diamenty nie pchają się same pod łopatę!

A James Hilton zanosił się głupawym śmiechem.

W takie wieczory Cyprian najczęściej zachodził do pewnego zacnego staruszka mieszkającego w pobliżu obozu, Boera, który nazywał się Jakobus Vandergaart. Od jego nazwiska właśnie pochodziła nazwa kopalni; gdyż grunty, na których się znajdowała, należały podobno do niego w początkowym okresie eks ploatacji. Jeżeli Boer mówił prawdę, sprawa przedstawiała się nawet tak, że John Watkins bezprawnie został właścicielem tych terenów. Staruszek, całkowicie zrujnowany, mieszkał obecnie w nędznej lepiance i żył ze szlifowania brylantów; był to jego dawny zawód, który uprawiał niegdyś w Amsterdamie, swym rodzinnym mieście.

Zdarzało się dosyć często, że górnicy, ciekawi dokładnej wagi znalezionych kamieni po ich oszlifowaniu, przynosili je staruszkowi do obłupania lub nawet do staranniejszej obróbki. Ale, niestety, praca ta wymagała bardzo dobrego wzroku i pewnej ręki, a Jakobus Vandergaart, za młodu świetny szlifierz, -obecnie z wielkim trudem wykonywał zamówienia.

Cyprian, który dał mu do oprawienia w pierścionek swój pierwszy diament, wkrótce bardzo się zaprzyjaźnił ze staruszkami. Lubił zachodzić do skromnego warsztatu, aby pogawędzić albo po prostu dotrzymać towarzystwa szlifierzowi, gdy ten krzątał się za swym stołem z narzędziami. Jakobus Vandergaart ze swoją białą brodą, łysym czołem przykrytym czarną, aksamitną czapeczką, z długim nosem, na którym opierały się okulary z okrągłymi szklami, otoczony różnymi dziwacznymi narzędziami i flaszeczkami pełnymi kwasów, wyglądał zupełnie na starego alchemika z piętnastego wieku.

Na stoliku koło okna leżały w drewnianej miseczce powierzone Jakobusowi nie obrobione jeszcze diamenty, których wartość była nieraz bardzo znaczna. Jeśli staruszek chciał rozłupać diament, który nie wydawał mu się prawidłowo skryształizowany, oglądał go najpierw przez lupę, sprawdzając, jak przebiegają słoje dzielące każdy kryształ na warstwy o równoległych płaszczyznach; potem, za pomocą kantu rozłupanego już diamentu, robił nacięcie idące w określonym kierunku, wprowadzał do niego maleńkie stalowe ostrze i uderzał krótko, ale mocno. Diament rozłupywał się wzdłuż jednej powierzchni, by potem poddać się tym samym zabiegom z innych stron.

Jeśli natomiast Jakobus Vandergaart chciał oszlifować kamień, nadając mu pewien określony z góry kształt, rysował najpierw kredą na jego otoczce projektowane fasety, czyli ścianki. Na stąpnie pocierał cierpliwie każdą z nich drugim diamentem. Oba kamienie zużywały się wzajemnie i powoli faseta występowała coraz wyraźniej.

W ten sposób Jakobus Vandergaart nadawał droгим kamieniom jedną ze stale dziś używanych form, które dzielą się na trzy następujące grupy: brylanty o szlifie podwójnym, brylanty

o szlifie prostym i „rozety”. Brylant „podwójny” składa się z sześćdziesięciu czterech faset, z górnej, płaskiej powierzchni

i „spodu”. Brylant „prosty” jest połową brylantu „podwójnego”. „Rozeta” ma spód płaski, a wierzch kopulasty, składający się z dużej ilości faset.

Bardzo rzadko zdarzało się Jakobusowi Vandergaartowi szlifować brylant nie mający ani wierzchu, ani spodu, przypominający kształtem maleńką gruszkę. W Indiach takie właśnie brylanty przedziurawiają od węższej strony i nawlekają na nitkę. „Wisioriki”, które trafiały mu się częściej, to jakby połówki owych „gruszek”, mające płaski spód i wypukłą, pokrytą fasetami odwrotną stronę.

Diament rżnięty musiał być długo jeszcze polerowany, żeby osiągnąć odpowiedni połysk. Do tego

celu używane było toczydło, rodzaj stalowego dysku, o średnicy mniej więcej dwudziestu ośmiu centymetrów, umocowane na płask na stole i obracane za pomocą wielkiego koła i korby; ilość obrotów dochodziła do dwóch, a nawet do trzech tysięcy na minutę. Do tego dysku, zwilżonego oliwą i posypanego miałem ze szlifowanych poprzednio diamentów, Jakobus Vandergaart przyciskał po kolei wszystkie powierzchnie brylantu aż do zupełnego wypolerowania każdej z nich. Korbę obracał mały chłopak hotentocki zgadzony na dniówkę albo też któryś z przyjaciół szlifierza, jak na przykład Cyprian, który nie odmawiał mu nigdy tej przysługi.

Pracując gawędzili. Często nawet Jakobus Vandergaart przerywał zajęcie, podnosił okulary na czoło i opowiadał jakąś historyjkę z odległej przeszłości. Wiedział doprawdy wszystko o tej południowej Afryce, gdzie mieszkał od czterdziestu lat.

— Urodziłem się w Amsterdamie w roku 1806, dokąd moi rodzice przyjechali z Afryki na jakiś czas. Później wróciłem znów do tego miasta, żeby nauczyć się mego fachu, ale całe dzieciństwo spędziłem w Kraju Przylądkowym, dokąd rodzina moja wyemigrowała przed pięćdziesięciu laty. Byliśmy Holendrami i szczyliciliśmy się tym, kiedy Wielka Brytania zagarnęła ten kraj — prowizorycznie jakoby. Ale w roku 1815 reprezentanci Europy, zebrani na kongresie wiedeńskim, oświadczyli uroczyście, że jesteśmy obywatelami Zjednoczonego Królestwa. Niech mi kto powie, co miała do gadania Europa w sprawie prowincji afrykańskich?!

Wtedy, sądząc, że Afryka jest dość wielka, abyśmy mogli w niej znaleźć naprawdę własną ojczyznę, opuściliśmy Kolonię Przylądkową i powędrowaliśmy do części kraju zupełnie jeszcze dzikich, leżących dalej na północ. Nazywano nas „Boerami”, czyli chłopami, albo też „Voortrekkerami”, to znaczy przodującymi, pionierami.

Ledwo zdołaliśmy wykarczować lasy i uprawić ziemię, ledwo dzięki ciężkiej pracy stworzyliśmy tam sobie niezależny byt — rząd brytyjski zażądał tego terytorium dla siebie, ciągle pod pretekstem, że jesteśmy obywatelami angielskimi.

Wtedy odbył się nasz wielki *exodus*. Było to w roku 1833. Znowu wyemigrowaliśmy masowo. Naładowaliśmy na wozy zaprzężone w woły cały nasz dobytek — sprzęty, narzędzia rolnicze, ziarno — i posunęliśmy się dalej jeszcze w głąb pustyni.

W tej epoce terytorium Natalu było prawie całkowicie bezludne. Pewien krwiożerczy zdobywca imieniem Czaka, prawdziwy Attyla murzyński z plemienia Zulusów, wymordował tam przeszło milion ludzi pomiędzy rokiem 1812 a 1828. Jego następca, Dingan, sprawował tam jeszcze terrorystyczne rządy. Ten właśnie dziki monarcha pozwolił nam osiedlić się w kraju, gdzie obecnie wznoszą się miasta Durban i Port-Natal. Uczynił to jednak z zamiarem napadnięcia nas wtedy, gdy zagospodarujemy się na tyle, że wyprawa mu się opłaci. Przeczuliśmy ten podstęp i każdy z nas uzbroił się przewidując konieczność oporu. Tylko dzięki niesłychanym wysiłkom oraz — mogę śmiało powiedzieć — dzięki cudom odwagi, której daliśmy dowody w stu przeszło bitwach, kiedy to kobiety i nawet dzieci walczyły u naszego boku, udało się nam utrzymać tę ziemię zlaną naszym potem i krwią.

Otóż, ledwo zdołaliśmy pokonać czarnego despotę i zniszczyć jego potęgę, zjawiała się ekspedycja brytyjska z poleceniem zajęcia terytorium Natalu. Działo się to w roku 1842.

Inni nasi emigranci zdobyli w ten sam sposób Transwal, gdzie nad rzeką Oranie pokonali tyrana Mosilikatse. I oni również doczekali się tego, że odebrano im nową ich ojczyznę, opłaconą tyloma cierpieniami.

Wreszcie uzyskaliśmy chociaż to, że uznano naszą niepodległość w Wolnym Państwie Oranie. Orędzie podpisane przez królową Wiktorię, datowane 8 kwietnia 1854 roku, gwarantowało nam posiadanie tych ziem i prawo rządzenia nimi samodzielnie. Ukonstytuowaliśmy się ostatecznie jako

rzeczpospolita. Griqualand wchodziło w skład naszego państwa. Wtedy właśnie zamieszkałem tu z moją nieboszczką żoną i z dwojgiem dzieci, jako farmer, w tym samym domu, w którym się w tej chwili znajdujemy. Na tym miejscu, gdzie teraz jest kopalnia, w której pan pracuje, postawiłem zagrodę dla bydła. W dziesięć lat potem zjechał tu John Watkins i wybudował swój pierwszy dom.

Nikt wtedy nie wiedział, że w ziemi tej znajdują się diamenty, a jeśli o mnie chodzi, to przez trzydzieści przeszło lat tak mało miałem okazji do uprawiania mojego dawnego rzemiosła, że ledwo pamiętałem o istnieniu tych drogich kamieni.

Nagle, około roku 1867, rozeszła się wieść, że ziemie nasze kryją w sobie diamenty. Pewien Boer, zamieszkujący wybrzeże rzeki Hart, znalazł je nawet w odchodach swoich strusi, nawet w glinianych ścianach swoich budynków.

Rząd angielski natychmiast ogłosił, że Griqualand należy do niego.

W tym czasie byłem już wdowcem, straciłem również moje dzieci w straszliwej epidemii, która spustoszyła kraj w 1870 roku. Nie miałem odwagi szukać nowej ojczyzny, zakładać nowego ogniska domowego — już po raz szósty czy siódmy w ciągu mego życia. Zostałem więc w Griqualandzie. Żyłem samotnie i nie dałem się opanować diamentowej gorączce, która zaraziła tu wszystkich; zajmowałem się w dalszym ciągu moim warzywnikiem, jakby złożę Du Toit's Pan nie zostało odkryte w odległości strzału od mego domu.

Otóż można sobie wyobrazić moje zdumienie, kiedy pewnego dnia zobaczyłem, że kamienny mur otaczający moją zagrodę został w ciągu nocy rozebrany i przeniesiony o trzysta metrów dalej na środek równiny. Na miejscu mojego John Watkins przy pomocy setki Kafrów postawił drugi mur łączący się z jego ogrodzeniem i zamykający w granicach jego posiadłości wznie sienie czerwonej, piaszczystej ziemi, będące dotychczas moją bezsporną własnością.

Poskarżyłem się na to nadużycie... On tylko śmiał się ze mnie! Groziłem mu podaniem do sądu... Poradził mi, abym spróbował to zrobić...

W trzy dni później miałem już wytłumaczenie tej zagadki. Pagórek będący moją własnością okazał się kopalnią diamentów. John Watkins, skoro tylko się o tym upewnił, postarał się czym prędzej o przeniesienie mojego ogrodzenia w inne miejsce, a następnie poleciał do Kimberley, gdzie zameldował się oficjalnie jako właściciel kopalni.

Podąłem skargę do sądu... Straciłem po kolei wszystko: woły, konie, owce! Sprzedałem meble, wreszcie nawet osobiste *rzeczy*. Ostatecznie, po roku starań i Zachodów, oczekiwań, wciąż zawodzących nadziei, niepokojów i buntu, sprawa tytułu własności została rozstrzygnięta w apelacji na moją niekorzyść bez prawa kasacji...

Przegrałem proces i w dodatku byłem zrujnowany! Sąd uznał moje pretensje za nieuzasadnione, uchylił moje żądania i oświadczył, że nie jest w stanie określić kategorycznie, jakie są prawa stron, ale że jest rzeczą pożądaną, aby ustalić granice na przyszłość. Przyjęto więc, że linia graniczna leży na dwudziestym piątym stopniu długości geograficznej na wschód od południka Greenwich i ona to będzie rozdzielać odtąd obie posiadłości. Grunty znajdujące się na zachód od południka zostały przyznane Johnowi Watkinsowi, a część wschodnia — Jakobusowi Vandergaartowi.

Wydaje się, że do tej dziwnej decyzji skłonił sędziów fakt, że istotnie dwudziesty piąty stopień długości geograficznej przechodzi przez nasz okręg i przecina właśnie terytorium, które zajmowała moja. zagroda.

Ale kopalnia, niestety, znajdowała się w części zachodniej! Toteż przypadła Watkinsowi.

Jednakże, jak gdyby cały kraj chciał wyrazić swój stosunek do tego bezecnego wyroku, kopalnię nazywają wszyscy stale Vandergaart-Kopje!

ROZDZIAŁ VI

OBYCZAJE OBOZOWE

Ten temat rozmowy — jak łatwo się domyślić — nie był zbyt miły dla młodego inżyniera. Z przykrością słuchał tego rodzaju informacji, dotyczących uczciwości człowieka, w którym mimo wszystko widział swego przyszłego teścia. Toteż przywykł uważać lamentsy Jakobusa Vandergaarta na temat kopalni za pewien rodzaj manii starego piniacza i sądził, że było w tym dużo przesady.

John Watkins, którego raz zagabnął w tej sprawie, wybuchnął tylko śmiechem i postukał się palcem w czoło, potrząsając głową, jakby chcąc dać do zrozumienia, że umysł starego Vandergaarta jest coraz bardziej nie w porządku.

Może rzeczywiście staruszek pod wrażeniem wiadomości o odkryciu kopalni diamentów wbił sobie w głowę, że teren ten należy do niego? Ostatecznie sąd nie przyznał mu racji, a wydawało się mało prawdopodobne, żeby sędziowie nie przychylni się do wersji najlepiej uzasadnionej. Oto co mówił sobie Cyprian, aby się przed sobą samym wytłumaczyć, iż w dalszym ciągu utrzymuje stosunki z Johnem Watkinsem, mimo wszystko, co opowiada o nim Jakobus Vandergaart.

Drugim sąsiadem, do którego Cyprian również lubił zachodzić, bo uosabiał prawdziwe życie boerskie w nienaruszonej formie, był farmer Mathys Pretorius, dobrze znany wszystkim górnikom Griqualandu.

Chociaż liczył dopiero około czterdziestu lat, także miał za sobą długą wędrówkę po dolinie rzeki Oranie, zanim osiedlił się w tych stronach. Ale tułaczka nie podziałała na niego tak jak na Jakobusa Vandergaarta — nie wychudziła go ani też nie stała się powodem rozgoryczenia. Przeciwnie, przytępiła go raczej i doprowadziła do takiej tuszy, że chodzenie sprawiało mu wyraźne trudności. Można go było porównać do słonia. Przesiadywał zazwyczaj w olbrzymim fotelu, dopasowanym specjalnie do jego majestatycznych kształtów; nigdy prawie nie chodził piechotą, tylko jeździł trzcinowym wózkiem, do którego zaprzęgano ogromnego strusia. Łatwość, z jaką ptak ciągnął za sobą ten pokaźny ciężar, świadczyła wymownie o niezwykłej sile jego mięśni.

Mathys Pretorius zjawiał się zwykle w obozie górników, aby załatwić z właścicielami jadłodajni sprawę dostawy warzyw. Był bardzo popularny, choć, prawdę mówiąc, nie była to popularność godna zazdrości, gdyż opierała się głównie na jego niezwykłym tchórzostwie. Toteż górnicy bawili się straszaniem go, opowiadając mu najrozmaitsze brednie.

To oznajmiano mu o zbliżającej się inwazji Basutów lub Zulusów, to znów czytając gazetę mówiono mu, że wyszło prawo skazujące na śmierć, w obrębie posiadłości brytyjskich, każdego osobnika ważącego ponad trzysta funtów, to, że zauważono wściekłego psa na drodze do Driesfontein; nieszczęsny Mathys Pretorius, który musiał tą drogą wracać do siebie, wynajdywał tysiące pretekstów, aby zostać na noc w obozie.

Ale wszystkie te chimeryczne obawy były niczym w porównaniu z panicznym strachem, jaki ogarniał go na myśl o możliwym odkryciu złóż diamentowych w obrębie jego posiadłości. Wyobrażał sobie ze zgrozą, co działałoby się wtedy, gdyby chciwi ludzie opanowali jego warzywnik, zniszczyli grządki i na dodatek pozbawili go jego własności!

Gdy opanowywały go te czarne myśli, wpadał w ostateczne przygnębienie. Jeśli przypadkiem zobaczył jakiegoś „badacza” krążącego w pobliżu jego domu, nie mógł już nic wziąć do ust ze zdenerwowania. A mimo to wciąż przybywało mu na wadze!

Najbardziej zawziętym jego prześladowcą był obecnie Hannibal Pantalacci. Złośliwiec, któremu

— mówiąc nawiasem — powodziło się chyba świetnie, gdyż zatrudniał trzech Kafirów na swojej działce i nosił w krawacie szpilkę z olbrzymim brylantem, odkrył szybko słabą stronę nieszczęsnego Boera. Co najmniej raz w tygodniu pozwalał sobie na wątpliwą przyjemność kopania i sądowania ziemi w pobliżu farmy Pretoriusa. Posiadłość ta leżała na lewym brzegu rzeki Vaal i skiusaadała się z for

macji aluwialnych, mogących istotnie zawierać diamenty, chociaż nic dotychczas nie potwierdzało tego przypuszczenia.

Hannibal Pantalacci odgrywał swoją idiotyczną komedią w ten sposób, że umieszczał się zawsze na widoku na wprost okien Mathysa Pretoriusa; w dodatku zabierał zwykle ze sobą paru kompanów, żeby im dać sposobność zabawienia się tą mistyfikacją. Można było wtedy dostrzec nieszczęśnika na pół ukrytego za kretonową firanką, jak z niepokojem śledził każde ich poruszenie, gotowy biec do stajni, zaprzęgać swego strusia i uciekać, gdyby istotnie inwazja groziła jego posiadłości.

Drugą ofiarą żartów Pantalacciego był, jak dawniej, Chińczyk Li. On również osiedlił się w Vandergaart-Kopje, gdzie po prostu założył pralnię — a wiadomo, jak synowie Niebieskiego Cesarstwa znają się na tym rzemiośle.

Sławetne czerwone pudło, które tak intrygowało Cypriana przez pierwsze dni podróży z Capetown do Grinqualandu, nie zawierało nic innego prócz szczotek, sody, mydła i farbki. W gruncie rzeczy inteligentnemu Chińczykowi nie potrzeba było niczego więcej, żeby dorobić się w tym kraju majątku.

Trzeba przyznać, że i Cypriana śmieszył Li, kiedy go spotykał zawsze milczącego i pełnego rezerwy, obarczonego wielkim koszem, w którym odnosił bieliznę klientom. Ale doprowadzało go do pasji okrucieństwo, z jakim Hannibal Pantalacci pastwił się nad biedakiem. Wrzucał mu butelki atramentu do balii, rozciągał sznur przed jego drzwiami, żeby Li przewracał się wychodząc z domu, albo wbijał mu nóż w połą bluzy, przygważdżając go do ławki. Nigdy nie pominął okazji, aby kopnąć Chińczyka nazywając go „pogańskim psem” i jeśli został jego klientem, to tylko dlatego, żeby móc co tydzień oddawać się tej rozrywce. Zawsze twierdził, że otrzymuje źle upraną bieliznę, chociaż Li prał ją i prasował znakomicie. Jeśli czasami trafiła się na niej jakaś zmarszczka, Pantalacci wpadał w straszliwą złość i bił nieszczęsnego Chińczyka, jakby ten był jego niewolnikiem.

Takie to były grubiańskie zabawy w obozie, które nawet czasami przybierały obrót wręcz tragiczny. Jeśli na przykład zda rzyło się, że Murzyn został oskarżony o kradzież diamentu, wszyscy uważali za swój obowiązek towarzyszyć mu do sądu, okładając go po drodze kułakami. W ten sposób, jeśli nawet sędzia uniewinnił przypadkiem podsądnego, nie mógł już cofnąć razów, które Murzyn tymczasem otrzymał. Zresztą trzeba przyznać, że w podobnych sprawach uniewinnienie rzadko się zdarzało. Wydanie skazującego wyroku zajmowało sędziom mniej czasu niż połknięcie posolonej ćwiartki pomarańczy, jednego z ulubionych tutejszych przysmaków. Wyrok opiewał najczęściej: piętnaście dni ciężkich robót i dwadzieścia uderzeń tak zwanego „kota o dziewięciu ogonach”, bata powiązanego w supły, który do tej pory służy w Wielkiej Brytanii i koloniach angielskich do bicia więźniów.

Ale istniało przestępstwo bardziej, jeszcze przez górników po -tępiane od kradzieży — było nim paserstwo. Ward, Amerykanin, który przyjechał do Griqualandu jednocześnie z młodym inżynierem, doświadczył tego na sobie w bardzo przykry sposób, kiedy kupił diamenty od jakiegoś Kafa. Otóż Kafir nie może posiadać diamentów legalnie, gdyż prawo zabrania mu kupowania ich na miejscu w szybie, a także obrabiania ich na własny rachunek.

Ledwo zdążyła rozejść się wiadomość o tym fackie — było to wieczorem, o tej porze, kiedy po obiedzie cały obóz najbardziej jest ożywiony — rozwścieczony tłum rzucił się na jadłodajnię

winowajcy, złupił ją doszczętnie, podpalił i byłby prawdopodobnie powiesił Jankesa na szubienicy, ustawionej już przez paru gorliwców, gdyby na szczęście dla niego nie zjawiło się dwunastu konnych policjantów, którzy uratowali mu życie zabierając go do więzienia.

W ogóle gwałtowne sceny były częstym zjawiskiem wśród tej mieszanej, zapalczącej, na pół dzikiej hordy. Wszystkie rasy stykały się w tej różnorodnej zbieraninie, a żądza złota, pijaństwo, wpływ gorącego klimatu, niepowodzenia i doznane zawody przyczyniały się do rozpalenia umysłów i zmaczenia sumień. Gdyby wszystkim tym ludziom zawsze się powodziło w ich poszukiwaniach, może umieliby zachować więcej spokoju i cierpliwości. Ale na jednego, któremu czasami udało się znaleźć ka miień o dużej wartości, przypadały setki innych, którzy wegetowali zaledwie, z trudnością zarabiając na zaspokojenie niezbędnych potrzeb, albo nawet popadali w najskrajniejszą nędzę. Kopalnia była jak zielony stolik, przy którym ryzykowano nie tylko kapitał, ale i czas, pracę, zdrowie. I mało było szczęśliwych graczy, których kilofem kierował pomyślny traf w szybach Vandergaart-Kopje.

Cyprian dostrzegał to wszystko z każdym dniem wyraźniej. Zapytywał sam siebie, czy ma uprawiać dalej to mało popłatne zajęcie, gdy pod wpływem niespodziewanego zdarzenia zmienił się nagle sposób jego pracy.

Pewnego ranka spotkał gromadę składającą się z dwunastu mniej więcej Kafrów, którzy przyjechali do obozu w poszukiwaniu zarobku.

Ci biedacy przybyli tu z dalekich gór, dzielących ich ojczyznę od kraju Basutów. Przewędrowali przeszło sto pięćdziesiąt mil wzdłuż rzeki Oranie, posuwając się gęsiego, odżywiając się tym, co mogli znaleźć po drodze, to znaczy korzeniami, jagodami, szarańczą.

Byli w stanie przerażającego wychudzenia, podobni raczej do szkieletów niż do żywych istot. Patrząc na ich suche nogi, ich długie, nagie torsy, na skórę wyschniętą jak pergamin, zdającą się pokrywać nie ciało, lecz sam kościec, na ich wystające żebra i zapadnięte policzki, można by sądzić, że byli bardziej skłonni do pożarcia befsztyka z ludzkiego mięsa niż do ciężkiej, całodziennej pracy. Toteż do umowy z nimi nikt się nie spieszył; przykucnęli na skraju drogi, nie wiedząc, co począć, ponurzy, ogłupieni przez nędzę.

Cyprian poczuł się głęboko wzruszony ich widokiem. Dał im znak, aby zaczekali, wrócił do hotelu, gdzie się stołował, zamówił tam wielki kocioł mąki kukurydzianej rozrobionej ukropem i kazał im go zanieść wraz z paroma pudełkami konserw mięsnych i dwiema butelkami rumu. Potem z przyjemnością patrzył na biedaków pochłaniających jedzenie, jakiego zapewne nigdy, nie kosztowali. Wyglądali doprawdy na rozbitków wyratowanych po dwóch tygodniach głodu i rozpachy. Jedli tak łapczy wie, że po upływie kwadransa byli bliscy pęknięcia i trzeba było, przez wzgląd na ich zdrowie, położyć kres tej biesiadzie mogącej skończyć się dla nich tragicznie.

Z całej tej gromady jeden tylko Murzyn, najmłodszy ze wszystkich — tak się przynajmniej wydawało — chłopiec o twarzy inteligentnej i subtelnej, okazał pewną powściągliwość w zaspokajaniu głodu. A także, co zdarza się rzadziej jeszcze, pomyślał

o tym, aby podziękować swemu dobroczyńcy. Podszedł do Cypriana, ujął jego dłoń i gestem pełnym naiwnego wdzięku przesunął ją po swej kędzierzawej głowie.

— Jak się nazywasz? — spytał go na wszelki wypadek młody inżynier, wzruszony tą oznaką wdzięczności.

Kafir, który, jak się okazało, rozumiał parę słów po angielsku, odpowiedział natychmiast:

— Matakít.

Jego czyste i pełne ufności spojrzenie spodobało się Cyprianowi. Przyszło mu do głowy, czyby nie zgodzić tego wysokiego, dobrze zbudowanego chłopca do pracy w swoim szybie.

„Ostatecznie — pomyślał — wszyscy to robią w całym okręgu. Lepiej, żeby ten Kafr miał za chlebodawcę mnie niż jakiegoś Pantalacciego!”

— No i cóż, Matakit, przyszedłeś tu szukać pracy, nieprawdaż? — zapytał głośno.

Kafr skinął głową.

— Czy chcesz pracować u mnie? Będę cię żywił, dam ci narzędzia i będę ci płacił dwadzieścia szylingów miesięcznie.

Taka była taksa i Cyprian wiedział, że nie może zaproponować Murzynowi więcej bez narażenia się na wściekłość całego obozu. Ale postanowił od razu dopełnić to nędzne wynagrodzenie odzieżą, naczyniami kuchennymi i wszystkim tym, co było najbardziej cenne w oczach Kafrów. W odpowiedzi Matakit uśmiechnął się tylko, ukazując dwa rzędy białych zębów, i znowu położył sobie na głowie rękę swego opiekuna. Umowa została zawarta. Cyprian natychmiast zabrał do siebie nowego pracownika. Wyjął z walizki płócienne spodnie, flanelową koszulę, stary kapelusz i dał to Matakutowi, który oczom własnym nie wierzył. Fakt, że zaraz po przybyciu do obozu został odziany w tak wspaniały strój, był czymś, co przechodziło najśmielsze marzenia biednego chłopca. Nie wiedział, jak ma wyrazić swoją radość i wdzięczność. Skakał, śmiał się i płakał jednocześnie.

— Wyglądasz mi na dobrego chłopca, Matakit — rzekł Cyprian. — Widzę, że rozumiesz trochę po angielsku. Ale czy nie umiesz powiedzieć ani jednego słowa w tym języku?

Kafr zrobił głową znak przeczący.

— No, skoro tak, będę cię uczył po francusku — postanowił Cyprian.

I nie zwlekając przystąpił od razu do pierwszej lekcji, pokazując swemu uczniowi przedmioty codziennego użytku i każąc mu powtarzać ich nazwy.

Okazało się, że Matakit był nie tylko zacnym chłopcem, ale miał również żywą inteligencję i niezwykłą wprost pamięć. W ciągu niespełna dwóch godzin nauczył się ponad stu słów i wymawiał je dosyć poprawnie. Młody inżynier, zachwycony jego zdolnościami, obiecał sobie spożytkować je.

Trzeba było całego tygodnia wypoczynku i solidnego odżywiania, żeby młody Kafr przyszedł do siebie po trudach podróży i mógł rozpocząć pracę. Tydzień ten został tak dobrze wyzyskany przez nauczyciela i przez ucznia, że pod koniec Matakit umiał już wyrażać swe myśli po francusku, wprawdzie nie bardzo poprawnie, ale jednak w sposób najzupełniej zrozumiały. Cyprian skorzystał z tego i poprosił go, aby opowiedział mu historię swego życia. Była ona bardzo prosta.

Matakit nie znał nawet nazwy swego kraju, wiedział tylko, że znajduje się on w górach, po tej stronie, gdzie wschodzi słońce. O kraju tym mógł powiedzieć tylko tyle, że panuje tam wielka nędza. Chciał więc zdobyć majątek i za przykładem kilku wojowników ze swego szczepu, którzy wywędrowali z ojczyzny, udał się na Pola Diamentowe. Co spodziewał się tu zdobyć? Po prostu tylko czerwony płaszcz z kapturem i dziesięć razy po dziesięć sztuk srebra. Trzeba bowiem wiedzieć, że Kafrowie gardzą złotymi pieniędzmi. Uczucie to ma swe źródło w starym, zakorzenionym przesądzie, pochodzącym z czasów ich pierwszego zetknięcia z Europejczykami.

A na cóż ambitny Matakit chciał zużyć swoje sztuki srebra?

Nabyłby właśnie ów czerwony płaszcz, strzelbę i proch, a potem wróciłby do swego *kraalu*. Tam kupiłby sobie żonę, która pracowałaby za niego, obrządzałaby krowę i uprawiała kukurydzę na polu. W tych warunkach stałby się wybitną osobistością, wielkim wodzem. Wszyscy zazdrościliby mu jego broni i wielkiego majątku, doczekałby sędziwych lat otoczony ludzkim szacunkiem. Nie było w tym nic nad miarę skomplikowanego.

Cyprian zamyślił się głęboko nad tym skromnym programem życiowym. Czyż należało tu coś zmieniać, rozszerzać horyzonty biednego dzikusy, wskazywać mu jako cel dążeń zdobywcze ważniejsze od czerwonego płaszcza i skałkowej strzelby? Czy nie byłoby- lepiej zostawić mu jego naiwną

niewiedzę, pozwolić mu wrócić do zagrody, gdzie dokonałby życia, które wydawało mu się godne zazdrości? Było to trudne zagadnienie, którego młody inżynier nie śmiał rozwiązać od razu. Ale Matakít wkrótce sam rozstrzygnął te wątpliwości.

Młody Kafr, zaledwie opanował podstawy języka francuskiego, zaczął okazywać niezwykłą żądzę nauki. Pytał się wciąż o wszystko, wszystko chciał wiedzieć, znać nazwę każdego przedmiotu, jego przeznaczenie i pochodzenie. Potem przyszła kolej na czytanie, pisanie, na rachunki; do wszystkiego odnosił się z zapałem, był doprawdy nienasycony.

Wkrótce i Cyprian dał się w to wciągnąć. Wobec tak oczywistego powołania nie było co się wahać. Postanowił co wieczór przez godzinę uczyć Matakíta, który poza tym każdą chwilę, wolną od pracy w kopalni, miał poświęcać swemu wykształceniu.

Panna Watkins, również wzruszona tym niezwykłym zapałem, wzięła na siebie przepytывanie z lekcji młodego Kafra. Zresztą on sam powtarzał je sobie przez cały dzień, czy to kopiąc energicznie w głębi szybu, czy wyciągając kubły z ziemią, czy prze siewając żwir. Jego gorliwość tak się udzielała, że zaraził nią wszystkich pracujących na działce; zdawało się, że robota szła teraz o wiele sprawniej. Zresztą Cyprian wziął jeszcze do pomocy drugiego, poleconego przez Matakíta, Kafra z jego plemienia, imieniem Bardik, którego pracowitość i inteligencja również zasługiwały na pochwałę.

Wtedy właśnie po raz pierwszy uśmiechnęło się do inżyniera szczęście. Znalazł kamień ważący prawie siedem karatów i sprzedał go od razu, w stanie surowym, pośrednikowi Nathanowi za pięć tysięcy franków.

Był to rzeczywiście świetny interes. Górnik, który szukałby jedynie normalnego wynagrodzenia za swoją pracę, byłby z tego bardzo zadowolony. Tak, zapewne, ale Cyprian rozumował inaczej.

„Gdyby nawet co dwa lub co trzy miesiące zdarzało mi się takie szczęście — myślał — czy dużo przysłoby mi z tego? Ja nie jednego siedmiokaratowego kamienia potrzebuję, ale tysiąca, tysiąca pięciuset takich kamieni... W przeciwnym razie stracę Alicję. Zdobędzie ją ten głupiec Hilton lub inny rywal niewiele więcej wart od niego!”

Pewnego dnia, kiedy pogrążony w tych smutnych rozmyślaniach wracał z południowego posiłku na Vandergaart-Kopje, zmęczony upałem, oślepiiony kurzem — tym czerwonym kurzem unoszącym się stale wokół kopalni diamentów — nagle za rogiem opuszczonej chaty uderzył go okropny widok. Cofnął się przerażony, ogarnięty grozą.

Koło ściany chaty stał wóz, którego dyszel podniesiony był do góry i oparty o mur. Na dyszlu wisiał jakiś człowiek, ciało było nieruchome, nogi wyciągnięte, ręce bezwładne; zwisająca postać, jakby ciężar pionu, tworzyła z dyszlem kąt dwudziestu stopni; wszystko to w oślepiającym blasku słońca składało się na obraz wręcz koszmarny. Cyprianem, który na razie osłupiał, targnęło gwałtowne uczucie litości, gdy w nieszczęśniku rozpoznał Chińczyka Li. Wisiał wysoko, między niebem a ziemią, na pętli zrobionej z długiego warkocza.

Młody inżynier nie namyślał się — wiedział, co powinien na tychmiast uczynić. Wdrapał się na wóz, chwycił ciało w ramiona, uniósł je w górę, aby przerwać skutki duszenia się, i szybko przeciął warkocz scyzorykiem. Wszystko to nie trwało więcej niż pół minuty. Następnie ześliznął się ostrożnie na ziemię i złożył swoje brzemię w cieniu padającym od chaty.

Był na to najwyższy czas. Li nie ostygł jeszcze. Serce biło bardzo słabo, ale jednak biło. Wkrótce otworzył oczy i — rzecz dziwna — wydawało się, że natychmiast odzyskał przytomność.

Na jego twarzy, niewzruszonej nawet po tak strasznym przejściu, nie było śladu ani trwogi, ani nawet zdziwienia. Można by sądzić, że po prostu zbudził się z lekkiego snu.

Cyprian dał mu się napić wody z octem, którą zawsze miał przy sobie w manierce.

— Czy możesz teraz mówić? — spytał machinalnie, zapominając, że Li nie może go zrozumieć.

Chińczyk jednak skinął twierdząco głową.

— Kto cię powiesił?

— Ja sam — odpowiedział Li, jakby nie domyślając się, że uczynił coś nadzwyczajnego czy karygodnego.

— Jak to? Nieszczęsny człowieku! Chciałeś popełnić samobójstwo? Ależ dlaczego?

— Li było za gorąco!.. Li się nudził! — odpowiedział Chińczyk i przymknął od razu oczy, jakby chcąc uniknąć dalszych pytań.

Cyprian w tej chwili zdał sobie nagle sprawę z przedziwnego faktu, że rozmowa ich toczyła się po francusku.

— Czy mówisz także po angielsku? — spytał.

— Tak — odpowiedział Li unosząc powieki.

Oczy jego wyglądały jak dziurki do guzików przecinające twarz z obu stron spłaszczonego nosa. Cyprianowi zdawało się, że w tym spojrzeniu odnajduje trochę owej ironii, którą w nim, nieraz zauważył podczas podróży z Capetown do Kimberley.

— To są absurdalne powody! — rzekł surowo. — Nikt sobie życia nie odbiera dlatego, że mu za gorąco! Proszę mi odpowiedzieć poważnie. Ręczę, że w tym wszystkim jest jakaś ciemna sprawka tego łotra Pantalacciego!

Chińczyk schylił głowę.

— On chciał mi obciąć warkocz — powiedział zniżając głos — i pewny jestem, że to by mu się udało nie dziś, to jutro!

W tej samej chwili spostrzegł ów cenny warkocz w ręku Cypriana i zrozumiał, że nieszczęście, którego się obawiał ponad wszystko, już się stało.

— Och, panie!... Jak to? Pan obciął mi... — zawołał rozdzierającym głosem.

— Musiałem to zrobić, żeby cię odczepić, mój przyjacielu — odpowiedział Cyprian. — Ale co tam! Tutaj nikt cię nie będzie mniej cenił z tego powodu. Bądź spokojny!

Chińczyk wydawał się jednak tak zgnębiony amputacją warkocza, że Cyprian, w obawie, aby po raz drugi nie targnął się na swe życie, postanowił zabrać go do siebie.

Li poszedł za nim bez protestu, zasiadł do stołu przy swym wybawcy, wysłuchał jego pouczeń, obiecał, że nie powtórzy już prób samobójczych, i wreszcie po wypiciu filiżanki gorącej herbaty zdecydował się podać Cyprianowi parę dość ogólnikowych wyjaśnień dotyczących swej biografii.

Urodził się w Kantonie i uczył się tam handlu w pewnej firmie angielskiej. Potem pojechał na Cejlon, stamtąd do Australii i wreszcie do Afryki. Nigdzie nie miał szczęścia. Pranie w okręgu górniczym nie było bardziej zyskowne niż inne zajęcia w liczbie co najmniej dwudziestu, których dawniej próbował. Ale teraz zmorą jego był Hannibal Pantalacci. Ten człowiek doprowadzał go do rozpacz i gdyby nie on, może Li znosiłby cierpliwiej swoją nędzną egzystencję w Griqualandzie. W gruncie rzeczy dlatego chciał odebrać sobie życie, aby uwolnić się od prześladowań neapolitańczyka.

Cyprian pocieszył biedaka, obiecał go bronić przed Pantalaccim, dał mu do prania tyle bielizny, ile tylko mógł u siebie znaleźć, i odesłał go nie tylko pogodzonego zażyciem, ale wyleczonego całkowicie z przesądu dotyczącego wartości długiego warkocza.

A czy chcecie wiedzieć, jak wziął się do tego młody inżynier? Oświadczył Chińczykowi krótko, ale z całą powagą, że sznur wisielca przynosi szczęście i że wobec tego pech, który go prześladował dotychczas, skończy się na pewno teraz, kiedy ma swój warkocz w kieszeni.

— W każdym razie Pantalacci nie będzie już mógł mi go uciąć!

To iście chińskie rozumowanie szczęśliwie dokończyło kuracji.

ROZDZIAŁ VII

KATASTROFA

Już od pięćdziesięciu dni Cyprian nie znalazł ani jednego diamentu w swoim szybie. Toteż zniechęcał się coraz bardziej do fachu górnika, który wydawał mu się zwykłym nabieraniem, jeśli człowiek nie rozporządzał dostatecznym kapitałem, aby kupić pierwszorzędną działkę i opłacać ze dwunastu Kafrów, którzy by na niej pracowali.

Pewnego więc dnia z rana, gdy Matak i Bardik poszli z Tomaszem Steelem do pracy, Cyprian pozostał sam w namiocie.. Zamierzał odpowiedzieć na list swego przyjaciela Pharamonda Barthesa, który przesłał mu wiadomości o sobie przez pewnego handlarza kością słoniową, jadącego tędy do Capetown.

Pharamond Barthes zachwycony był życiem pełnym myśliwskich przygód. Zastrzelił już trzy lwy, szesnaście słoń, siedem lampartów, niezliczoną ilość żyraf i antylop, nie licząc drobniejszej zwierzyny.

Pisał, że — jak wielu dawnych zdobywców — prowadzi wojnę dzięki wojennym łupom. Cenne futra i kły sprzedawał lub wymieniał u Kafrów tak korzystnie, że za ich cenę nie tylko był w stanie wyżywić całą swoją eskortę, ale gdyby chciał, mógł tą drogą osiągnąć znaczne zyski.

I kończył list słowami:

„Czy nie chciałbyś powłóczyć się trochę ze mną nad brzegami Limpopo? Będę tam pod koniec przyszłego miesiąca. Mam zamiar popłynąć potem w dół rzeki aż do zatoki Delagoa i wrócić cię morzem do Durbanu, dokąd zobowiązałem się odstawić moich Basutów. Rzuć ten twój okropny Griqualand choć na parę tygodni i przyjedź do mnie”.

Cyprian odczytywał powtórnie ten list, gdy nagle rozległ się straszliwy huk i zaraz potem powstało w całym obozie wielkie poruszenie. Młody inżynier zerwał się śpiesznie i wypadł z namiotu.

— Zawaliło się! — krzyczano ze wszystkich stron.

Noc, która nastąpiła po poprzednim, niezwykle upalnym dniu była bardzo chłodna, niemal mroźna. Na skutek szybkich zmian temperatury i kurczenia się rozkopanych mas ziemi następowały zwykle takie właśnie katastrofy.

Cyprian pośpieszył w stronę kopami. Gdy znalazł się na miejscu, zrozumiał w mgnieniu oka, co się stało.

Olbrzymi blok ziemi, liczący co najmniej sześćdziesiąt metrów wysokości, a dwieście szerokości, pękł od góry do dołu, tworząc szczelinę podobną do wyrwy w rozwalonym murze obronnym. Kilka tysięcy kwintali żwiru runęło z niej do szybów, zapelniając je piaskiem, okruchami skał, kamykami. Ludzie, którzy w chwili wypadku byli na szczycie, wraz z wołami i wózkami, znaleźli się od razu na dnie przepaści. Na szczęście większa część pracowników nie zeszła jeszcze do kopalni; w przeciwnym wypadku połowa ludności obozu zginęłaby pod zwałami ziemi.

Pierwszą myślą Cypriana było: co się dzieje z jego współnikiem, Tomaszem Steelem? Po chwili jednak rozpoznał go z radością wśród ludzi, którzy, stojąc nad brzegiem szczeliny, starali się zdać sobie sprawę z rozmiarów katastrofy. Natychmiast podbiegł do niego, żeby się wszystkiego dowiedzieć.

— Tak! Cudem uniknęliśmy śmierci! — rzekł górnik ściskając jego dłoń.

— A Matak? — spytał Cyprian.

— Biedak został tam, na dole — odpowiedział Tomasz wskazując na zwały ziemi wznoszące się na ich wspólnej posiadłości. — Ledwo spuściłem go do szybu i czekałem, aż napełni pierwszy kubeł, który miałem wciągnąć, kiedy to się stało!

— Ależ nie możemy tak stać nie próbując nawet go ratować! — krzyknął Cyprian. — Może jeszcze żyje!

Tomasz Steel potrząsnął głową.

— To mało prawdopodobne, aby żył leżąc pod piętnastoma czy dwudziestoma tonami ziemi. Zresztą trzeba by co najmniej dziesięciu ludzi pracujących dwa lub trzy dni, żeby dokopać się do dna szybu.

— To trudno — odpowiedział stanowczo młody inżynier. — Nikt nie będzie mógł powiedzieć, że zostawiliśmy człowieka zagrzebanego żywcem w tym grobie, nie próbując go wydobyć.

I zwracając się za pośrednictwem Bardika, który właśnie się zjawił, do jednego z Kafrów, zapowiedział, że ofiaruje wysoką stawkę pięciu szylingów dziennie tym, którzy zechcą pod jego" rozkazami dokopać się do dna szybu. Od razu zgłosiło się ze trzydziestu Murzynów i nie tracąc chwili przystąpiono do dzieła. Kilofów, łopat i motyk nie brakowało. Kubły i liny były w pogotowiu, wózki również. Wielka ilość białych górników, dowiedziawszy się, że chodzi tu o odkopanie zasypanego człowieka, dobrowolnie ofiarowała swoje usługi. Tomasz Steel, któremu udzielił się zapal Cypriana, okazał niezwykłą energię, kierując akcją ratowniczą.

W południe wydobyto już z głębi szybu kilka ton piachu i kamieni. O trzeciej Bardik wydał nagłe gardłowy okrzyk: zobaczył pod motyką czarną nogę wystającą z ziemi.

Podwojono wysiłki i w parę minut potem całe ciało Matakita było już odgrzebane. Nieszczęsny Kafr leżał na wznak, nieruchomy, według wszelkiego prawdopodobieństwa — nieżywy. Dzięki osobliwemu przypadkowi jeden ze skórzanych kubłów wywrócił mu się na twarz i nakrywał ją jak maską. Ta okoliczność, którą Cyprian od razu zauważył, nasunęła mu myśl, że może da się jeszcze przywrócić nieszczęśnika do życia; ale w rzeczywistości nadzieja ta była bardzo słaba, gdyż serce już nie biło, skóra była zimna, członki zeszywniałe, ręce kurczowo zaciśnięte w agonii, a twarz, która przybrała specyficzną, okropną bladość właściwą Murzynom, była w straszliwy sposób wykrzywiona przez uduszenie.

Cyprian nie zniechęcił się jednak. Kazał przenieść Matakita do chaty Tomasza Steela, najbliższej położonej ze wszystkich, gdzie ułożono Kafra na stole, służącym zazwyczaj do przebierania żwiru. Zaczęto go systematycznie nacierać, by przez ruchy klatki piersiowej wywołać sztuczne oddychanie, stosowane zwykle przy ratowaniu topielców. Cyprian wiedział, że takie zabiegi skutkują przy wszelkiego rodzaju uduszeniach. W tym wypadku zresztą nic innego nie wchodziło w rachubę, bo na ciele Murzyna nie było widać ani ran, ani jakichkolwiek większych obrażeń.

— Widzi pan, panie Méré, jeszcze ściska w ręce grudkę gliny — zauważył Tomasz Steel, który z wielką starannością rozcierał duże, czarne ciało Matakita.

Pocziwy syn Lancashire'u nie zużyłby prawdopodobnie więcej energii, gdyby polerował własnoręcznie wał napędowy maszyny parowej o sile tysiąca dwustu koni. Wysiłki te dały wkrótce rezultaty. Trupia sztywność jak gdyby ustępowała powoli, temperatura ciała wyraźnie się zmieniła. Cyprianowi, który badał serce czyhając na najlżejszą oznakę życia, wydało się, że wyczuwa pod ręką budzące otuchę, słabe drgnienia.

Po chwili objawy te stały się wyraźniejsze. Puls zaczął bić i lekki wdech uniósł prawie niedostrzegalnie pierś Matakita; potem nastąpił wydech, już znacznie silniejszy, dowodzący niezbicie, że organizm zaczyna normalnie funkcjonować.

Nagle dwa potężne kichnięcia wstrząsnęły wielkim, czarnym, chudym ciałem, przed chwilą

jeszcze zupełnie bezwładnym. Matakita otworzył oczy, odetchnął, odzyskał przytomność.

— Hura! Hura! Towarzysz już się wygrzebał! — krzyknął Tomasz Steel, zlany potem, przerywając nacieranie. — Ale widzi pan, panie Méré, wciąż jeszcze nie puszcza tej grudki gliny i ścisną ją w palcach.

Młody inżynier miał co innego do roboty niż zwracać uwagę na takie szczegóły. To wlewał w usta swego pacjenta łyżeczkę rumu, to unosił go, żeby ułatwić mu oddychanie. Wreszcie, gdy stwierdził, że Matakita powrócił całkowicie do życia, owinał go w koce i z pomocą kilku ludzi przeniósł do swego mieszkania na farmie Watkinsów.

Tam ułożono biednego Kafra na łóżku Cypriana. Bardzik przyniósł mu filiżankę gorącej herbaty. Po upływie kwadransa Matakita zasnął spokojnie — był uratowany.

Cyprian poczuł w sercu tę nieporównaną radość, która ogarnia każdego, komu uda się wyrwać ludzkie życie ze szponów śmierci. I gdy Tomasz Steel i jego pomocnicy, dręczeni pragnieniem po zastosowaniu tylu zabiegów leczniczych, poszli do najbliższej knajpy oblać swój sukces całymi potokami piwa, inżynier pozostał, nie chcąc opuścić swego pacjenta. Wziął książkę i przerywając od czasu do czasu czytanie spoglądał na Matakita jak ojciec pilnujący syna śpiącego po przebytej ciężkiej chorobie.

Matakita przez te sześć tygodni, które minęły od czasu, gdy wstąpił na służbę do Cypriana, nie tylko dostarczał inżynierowi powodów do zadowolenia, ale nawet budził w nim podziw. Jego inteligencja, posłuszeństwo, zapał do pracy były niezrównane. Dzielny, dobry, uczynny, miał charakter nadzwyczaj łagodny i wesoły. Nie brzydził się żadną pracą, żadne trudności go nie zniechęcały. Często Cyprianowi przychodziło na myśl, że nie ma takich szczytów socjalnych, do których nie mógłby wznieść się Francuz obdarzony podobnymi zdolnościami.

Matakita miał jednak pewną wadę, wadę bardzo poważną, będącą zapewne skutkiem wychowania, jakie otrzymał w dzieciństwie, i nazbyt już twardych warunków, w jakich żył w rodzinnej zagrodzie. Czyż mam to wyznać? Otóż Makit był trochę złodziejem, ale w sposób prawie nieświadomy. Gdy podobał mu się jakiś przedmiot, uważał przywłaszczenie go sobie za rzecz zupełnie naturalną. Na próżno jego pan, zaniepokojony tymi skłonnościami, czynił mu jak najsurowsze wymówki. Na próżno groził mu, że go odprawi, jeśli go jeszcze raz przyłapie na gorącym uczynku. Makit obiecywał, że już nigdy więcej się to nie powtórzy, płakał, przeproszał i zaraz nazajutrz, gdy nadarzyła się sposobność — czynił to samo.

Kradzieże jego zresztą nie były zbyt poważne. To, co szczególnie wzbudzało jego pożądlivość, nie miało zazwyczaj dużej wartości: był to jakiś nóż, krawat, oprawka do ołówka lub inny drobiazg w tym rodzaju. Cyprian był jednak bardzo zgnębiony stwierdzając tego rodzaju wadę w tak sympatycznej naturze.

„Poczekajmy, nie traćmy nadziei — mówił sobie. — Może z czasem zdołam mu wytłumaczyć, dlaczego takie postępowanie jest naganne”.

I teraz, patrząc na śpiącego Matakita, Cyprian myślał o tych dziwnych przeciwieństwach, które tłumaczyła przeszłość Kafra, spędzona wśród jego dzikich współplemieńców.

Z nadejściem nocy Makit obudził się tak świeży i wypoczęty, jak gdyby w ciągu dwu czy trzech godzin nie był prawie całkowicie pozbawiony możliwości oddychania. Opowiedział teraz, co się stało.

Kubeł, który przypadkiem upadł mu na twarz, i długa drabina, która utworzyła nad nim łuk, uchroniły go Z początku od czysto mechanicznych skutków zaważenia się ziemi, a potem — od całkowitego uduszenia, zostawiając mu w tym podziemnym więzieniu małe zapasy powietrza. Zdawał sobie doskonale sprawę z tej szczęśliwej okoliczności i uczynił wszystko, żeby ją wykorzystać, oddychając oszczędnie, w dużych odstępach czasu. Ale powietrze zaczęło się zwolna

psuć. Matakitt czuł, że stopniowo traci przytomność. Wreszcie popadł w rodzaj snu, ciężkiego i pełnego trwogi, z którego budził się chwilami, próbując rozpaczliwie zaczerpnąć oddechu. Potem wszystko zniknęło. Nie wiedział, co się z nim dzieje, umarł... Tak, kraina, z której powracał, była istotnie krainą śmierci!

Cyprian pozwolił mu rozprawiać w ten sposób przez chwilę, dał mu jeść i pić, a wreszcie zmusił Kafra, mimo jego protestów, aby pozostał na noc w łóżku, na którym go złożono. Wreszcie, pewny, że wszelkie niebezpieczeństwo minęło, zostawił go samego, aby złożyć swoją codzienną wizytę Watkinsom.

Młody inżynier odczuwał potrzebę opowiedzenia Alicji o wrażeniach, których doznał tego dnia, o wstręcie, którym zaczynała go przejmować kopalnia i który wzmógł się jeszcze po ostatnim nieszczęśliwym wypadku. Mierziła go myśl, że naraża życie Matakita dla problematycznej szansy znalezienia paru nędznych kamieni.

„Gdybym sam zajmował się tą pracą, to by jeszcze uszło — myślał. — Ale narzucać ją za nędzną opłatą temu biednemu Kafrowi, nie mającemu w stosunku do mnie żadnych obowiązków, to po prostu ohydne!”

Opowiedział więc dziewczynie o swych wewnętrznych buntach i zawodach, a także o liście od Pharamonda Barthesa. Doprawdy, czyż nie uczyniłby lepiej idąc za radą przyjaciela? Co mógł stracić jadąc na wybrzeże Limpopo, aby spróbować szczęścia w łowach? Byłoby to w każdym razie szlachetniejsze zajęcie niż dłużyć w ziemi jak skąpiec lub żądać od jakichś biedaków, żeby czynili to za niego.

— Co pani o tym sądzi, panno Alicjo? — spytał. — Pani, która posiada tyle subtelnej mądrości i taki zmysł praktyczny? Niech mi pani coś poradzi. Bardzo mi tego potrzeba! Straciłem równowagę moralną. Trzeba, żeby podtrzymała mnie przyjacielska ręka.

Mówił zupełnie szczerze i sam nie mógł sobie wytłumaczyć, dlaczego on, zazwyczaj tak zamknięty w sobie, znajduje przyjemność w wyjawianiu tej słodkiej i uroczej powiernicy dręczącej go niepewności.

Rozmowa toczyła się od dłuższej chwili po francusku i miała dzięki temu wyjątkowo poufny charakter, choć co prawda John Watkins, który usnął Właśnie nad trzecią fajką wypaloną tego wieczora, i tak nie interesował się nigdy tym, o czym mówiło dwoje młodych po angielsku czy też w jakimkolwiek innym języku. Alicja słuchała Cypriana z głębokim współczuciem.

— O tym wszystkim, co mi pan mówi teraz, panie Méré, myślę już od dawna — odpowiedziała. — Naprawdę, trudno mi było zrozumieć, w jaki sposób inżynier, taki jak pan uczony, może z własnej woli prowadzić takie życie! Czyż to nie jest zbrodnia w stosunku do siebie i w stosunku do nauki? Poświęcać swój cenny czas zwykłej fizycznej pracy, którą każdy prosty Kafir czy zwykły Hotentot wykonuje lepiej od pana, to bardzo źle, zapewniam pana!

Cyprianowi wystarczyłoby jedno słowo, aby wytłumaczyć dziewczynie tę zagadkę, która ją tak bardzo dziwiła i gorszyła. Kto wie, zresztą, czy nie przesadzała trochę w wyrażaniu swego oburzenia, aby wyrwać mu to wyznanie?... Ale on poprzysiągł sobie, że tajemnicę tę zachowa dla siebie. Pogardzałby sobą, gdyby ją zdradził; powstrzymał więc słowa cisnące mu się na usta.

Panna Watkins ciągnęła dalej:

— Jeśli panu tak bardzo zależy na diamentach, dlaczego nie szuka ich pan tam, gdzie ma pan naprawdę szansę, aby je znaleźć — mianowicie w swoim tyglu? Jak to! Jest pan chemikiem, wie pan lepiej od innych, czym są te nędzne kamienie, do których ludzie przywiązują taką wagę, i chce je pan zdobywać mechaniczną, ciężką pracą? Jeśli o mnie chodzi, to podtrzymuję mój punkt widzenia: gdybym była na pańskim miejscu, starałabym się raczej produkować diamenty niż zdobywać już

gotowe.

Alicja mówiła z takim ożywieniem, z taką wiarą w naukę i w samego Cypriana, że serce młodego człowieka było jak gdyby skąpane w orzeźwiającej rosie.

Niestety, John Watkins ocknął się w tej chwili z drzemki i zaczął rozpytywać o wiadomości z Vandergaart-Kopje. Trzeba więc było powrócić do języka angielskiego i wyrzec się miłego sam na sam. Czar prysnął.

Ale ziarno zostało rzucone na dobrą glebę i musiało zakiełkować. Młody inżynier wracając do siebie myślał o tych przejmujących i tak trafnych słowach, które usłyszał od panny Watkins. Zapominał o tym, co w nich było nierealnego, widział jedynie, że są pełne szlachetnych uczuć, zaufania i prawdziwej tkliwości.

„A dlaczegożby nie, ostatecznie? — myślał. — Fabrykacja diamentów, która mogła wydawać się utopią sto lat temu, jest teraz poniekąd faktem dokonanym. Frémy i Peil w Paryżu wyprodukowali rubiny, szmaragdy i szafiry będące po prostu rozmaicie zabarwionymi kryształami glinu. Mac Tear i J. Ballantine Hannay z Glasgow otrzymali kryształy węgla mające wszystkie właściwości diamentu, których jedyną wadą było to, że kosztowały szalenie drogo, znacznie drożej niż naturalne diamenty pochodzące z Brazylii, Indii lub Griqualandu, a więc nie mogły być przedmiotem handlu. Przecież gdy rozwiązana jest naukowa strona jakiegoś problemu, sprawa produkcji przemysłowej nie może już być bardzo trudna. Dlaczego miałbym się nad tym nie zastanowić? Wszyscy uczeni, którym się to nie udało do tej pory, byli teoretykami, ludźmi spędzającymi życie w swych gabinetach i laboratoriach. Nie obserwowali diamentów na miejscu, w ich rodzimym terenie, w kolebce, jeśli tak można się wyrazić. Ja mogę korzystać z ich prac, z ich doświadczenia, a także i z mojego. Wydobywałem przecież diamenty własnymi rękami! Analizowałem, badałem pod wszystkimi aspektami grunty, gdzie się znajdują. Jeśli ktoś może, przy odrobinie szczęścia, zwalczyć ostatnie trudności — to właśnie ja!... To muszę być ja!...”

Oto, co powtarzał sobie Cyprian, co obracał w głowie przez większą część nocy.

Wkrótce powziął decyzję. Nazajutrz, z samego rana, zawiadomił Tomasza Steela, że nie ma już zamiaru — przynajmniej na razie — pracować w swoim szybie ani sam, ani przy pomocy sił najemnych. Umówił się nawet z górnikiem, że ten może sprzedać jego część. Po czym zamknął się w laboratorium, aby rozważyć swoje nowe projekty.

ROZDZIAŁ VIII

WIELKIE DOŚWIADCZENIE

W czasie swych świetnie przeprowadzonych badań nad rozpuszczalnością ciał stałych w gazach, nad czym Cyprian pracował przez cały rok poprzedni, młody inżynier zdołał zauważyć, że niektóre substancje, na przykład krzem i glin, nie dające rozpuścić się w wodzie, rozpuszczają się jednak w parze wodnej pod silnym ciśnieniem i przy bardzo wysokiej temperaturze. To właśnie skłoniło go, aby zbadać, czy nie znalazłby się gaz rozpuszczający węgiel, który następnie miał ulec krystalizacji.

Ale wszystkie usiłowania w tym kierunku pozostały bezowocne i po paru tygodniach daremnych prób Cyprian musiał zdecydować się na zmianę frontu. Istotnie, front był w tym wypadku terminem właściwym, gdyż, jak później zobaczymy, będzie tu mowa o armacie.

Pewne analogie naprowadziły młodego inżyniera na myśl, że diament mógł doskonale kształtować się w kopalniach w ten sam sposób jak siarka w solfatarach. Otóż wiadomo, że siarka jest tu produktem połowicznego utlenienia siarkowodoru: po zmianie jednej części na kwas siarkowy reszta układu się w formie kryształów na ścianach solfatarów.

„Kto wie — zapytywał sam siebie Cyprian — czy złoża diamentów nie są jak gdyby »karbonatarami«? Skoro ma tam miejsce nieuchronne łączenie się wodoru i węgla w wodach i osadach aluwialnych pod postacią gazu błotnego, czyż nie należy przypuszczać, że utlenienie wodoru połączone z częściowym utlenieniem węgla doprowadza ostatecznie do krystalizacji zbędnego węgla?”

Od tej hipotezy był dla chemika już tylko jeden krok do odpowiednich prób: należało zmusić jakiegokolwiek inne ciało do odegrania teoretycznej roli tlenu w reakcji podobnej, lecz wywołanej sztucznie. I Cyprian zdecydował się zrealizować natychmiast to zamierzenie.

Przede wszystkim należało stworzyć warunki możliwie jak najbardziej zbliżone do naturalnych, w których przypuszczalnie formują się diamenty. Ponadto warunki te powinny być bardzo proste. Wszystko, co wielkie, w przyrodzie czy w sztuce ma tę właśnie cechę. Czyż może być coś mniej skomplikowanego niż najwspanialsze zdobycze ludzkości — prawo ciężenia, busola, druk, maszyna parowa, telegraf bez drutu?

Cyprian udał się sam do kopalni, by w jej głębokościach zdobyć zapasy ziemi tego gatunku, który wydawał mu się szczególnie odpowiedni do jego doświadczeń. Następnie z ziemi tej zrobił zaprawę, którą wysmarował wewnątrz rury stalowej, mającej pół metra długości, pięć centymetrów grubości, a osiem centymetrów średnicy.

Rura ta nie była niczym innym jak lufą starej armaty, którą Cyprian kupił w Kimberley od pewnej, zwolnionej już kompanii ochotniczej powracającej z ekspedycji przeciwko sąsiednim plemionom Kafrów. Lufa, odpowiednio spiłowana w warsztacie Jakobusa Vandergaarta, była właśnie tym przyrządem, jakiego inżynier potrzebował — naczyniem posiadającym wystarczającą odporność, by wytrzymać olbrzymie ciśnienie od wewnątrz.

Po szczelnym zamknięciu rury z jednej strony Cyprian umieścił w niej kawałki miedzi, wlał około dwóch litrów wody i wypełnił ją gazem błotnym, po czym zalepił ją starannie i przyśrubował z obu stron pokrywy metalowe tak mocno, że mogły nie lękać się niczego.

Aparat był gotowy. Teraz należało tylko poddać go bardzo wysokiej temperaturze.

Został więc umieszczony w dużym piecu kupolowym, którego ogień musiał być podtrzymywany dzień i noc, tak aby metal rozpałił się do białości; miało to trwać dwa tygodnie. Poza tym rurę i piec

okrywała gruba warstwa gliny izolacyjnej, mającej zatrzymywać jak największą ilość ciepła, a następnie, w odpowiednim momencie, stygnąć bardzo powoli. Całość przypominała żywo wielki ul lub chatę Eskimosów.

Matakit mógł już oddawać pewne usługi swemu panu. Z wielką uwagą śledził wszystkie przygotowania do doświadczenia i gdy dowiedział się, że chodzi o fabrykację diamentów, okazał wiele zapału, chcąc przyczynić się do powodzenia imprezy. Wkrótce nauczył się podsycać ogień tak, że można było spokojnie pozostawić mu troskę o jego utrzymywanie.

Trudno zresztą wyobrazić sobie, ile pracy i czasu kosztowało urządzenie tak mało skomplikowanej instalacji. W Paryżu, w jednym z wielkich laboratoriów, można by przystąpić do takiego doświadczenia po dwóch godzinach od chwili powzięcia decyzji, gdy tymczasem w tym na poły dzikim kraju Cyprian potrzebował aż trzech tygodni, żeby zrealizować swą koncepcję, i to w sposób niedoskonały, chociaż okoliczności sprzyjały mu nadzwyczajnie — mianowicie w odpowiednim momencie nie tylko znalazł starą armatę, ale także potrzebny mu węgiel. Istotnie, opał był rzeczą tak rzadką w Kimberley, że trzeba było zwrócić się jednocześnie aż do trzech handlarzy, żeby dostać tonę węgla.

Wreszcie wszystkie trudności zostały pokonane i gdy rozpalono ogień, Matakit zajął się tym, żeby nie dać mu wygasnąć.

Młody Kafr był bardzo dumny ze swoich funkcji. Nie musiały być one jednak czymś całkowicie dla niego nowym — z pewnością, kiedy żył wśród swego plemienia, przykładął nieraz ręki do mniej lub więcej diabelskiej kuchni.

Istotnie, Cyprian stwierdził nieraz, od czasu gdy Matakit zgodził się do niego na służbę, że miał on między innymi Kaframi opinię czarodzieja. Znajomość kilku elementarnych zasad chirurgii, kilka sztuczek kuglarskich, których nauczył się od ojca, stanowiły zresztą całą jego magiczną wiedzę. Jednak zasięgano jego rady w chorobach rzeczywistych i urojonych, proszono o tłumaczenie snów, o rozstrzyganie sporów. Matakit nigdy nie dawał się zaskoczyć, znajdował zawsze jakąś odpowiednią receptę, wygłaszał jakąś przepowiednię lub wydawał stosowny wyrok. Porady lekarskie Kafra były nieraz dziwaczne, a wyroki nieoczekiwane, ale jego ziomkowie byli z nich bardzo zadowoleni. Czegóż więcej trzeba? Należy dodać, że retorty i butelki, którymi obecnie był otoczony w pracowni młodego inżyniera — nie mówiąc już o tajemniczych czynnościach, do których go dopuszczono — przyczyniały się niemało do podniesienia jego autorytetu.

Cyprian nie mógł powstrzymać się od uśmiechu, widząc uroczyste miny, jakie przybierał poczciwy chłopak spełniając swe skromne funkcje palacza i laboranta, dorzucając węgla do paleniska, rozdmuchując żar lub okurzając stojące rzędem probówki i tygle. A jednak było coś wzruszającego w tej powadze: był to naiwny hołd, jaki składał nauce prosty, lecz żywy i żądny wiedzy umysł.

Matakit miewał poza tym chwile wesołości i swawoli, szczególnie gdy znajdował się w towarzystwie Li. W czasie częstych obecnie wizyt Chińczyka na farmie Watkinsów zawiązała się pomiędzy nimi szczerą przyjaźń, mimo iż pochodzenie ich było tak różne. Obaj mówili dość dobrze po francusku, żeby móc się porozumieć, obaj zostali wyratowani przez Cypriana od niechybnej śmierci i byli mu za to głęboko wdzięczni. Było więc rzeczą zupełnie naturalną, że pociągało ich do siebie wzajemne uczucie sympatii, która wkrótce zmieniła się w przyjaźń.

Pomiędzy sobą Li i Matakit nadawali młodemu inżynierowi nazwę wzruszającą i prostą, odpowiadającą istotnie uczuciom, jakie w stosunku do niego żywili: nazywali go „ojczulkiem” i nie szczędzili mu określeń wyrażających największy podziw i najgorętsze przywiązanie.

To przywiązanie objawiało się u Chińczyka skrupulatną dokładnością, z jaką prał i prasował

bieliznę Cypriana, u Matakita — religijną niemal czią, z jaką wykonywał wszystkie zlecenia swego pana.

Ale czasami dwaj przyjaciele posuwali się jeszcze dalej, chcąc za wszelką cenę dogodzić „ojczulkowi”.

Zdarzało się na przykład, że Cyprian znajdował na stole (jadał obecnie w domu) owoce lub przysmaki, których bynajmniej nie zamawiał i których pochodzenia nie można było wytłumaczyć, gdyż nie figurowały w rachunkach dostawców. Albo też zjawiały się nie wiadomo skąd złote guziki przy koszulach wracających z prania. Czasami znów jakieś wygodne i ładne krzesło, haftowana poduszka, skóra pantery lub kosztowny gracyk dołączały się w tajemniczy sposób do urządzenia mieszkania.

A kiedy Cyprian wypytywał na ten temat Li czy Matakita, mógł wyciągnąć z nich jedynie wykrętne odpowiedzi: „Nie wiem! To nie ja... A co mi do tego!”

Cyprian byłby się łatwo pogodził z tymi objawami troskliwości, gdyby nie żenująca myśl, że pochodzenie tych przedmiotów mogło być nie zupełnie czyste. Może prezenty kosztowały ofiarodawców jedynie trud zabrania ich od kogoś? Jednak nic nie potwierdzało tych podejrzeń i śledztwo przeprowadzane przez Cypriana, nieraz bardzo skrupulatnie, nie dawało nigdy rezultatów.

Za jego plecami Matakita i Li zamieniali przelotne uśmiechy, tajemnicze spojrzenia, kabalistyczne znaki mówiące najwyraźniej: „Ach, ten nasz ojczulek! Zaraz widzi wszędzie straszne rzeczy!”

Zresztą młody inżynier miał obecnie nieskończenie ważniejsze troski. John Watkins widocznie zdecydował się ostatecznie wydać za żonę Alicję i w tym celu dom swój od pewnego czasu zamienił w istne muzeum konkurentów. Nie tylko James Hilton przesiadywał tam całymi wieczorami, ale wszyscy nieżonaci górnicy, których sukcesy w kopalni obdarzały w oczach farmera niezbędnymi dla wymarzonego zięcia zaletami, bywali stale zapraszani, zatrzymywani na obiadach i wreszcie przedstawiani córce do wyboru.

Friedel i Pantalacci byli w ich liczbie. Obaj zaliczali się teraz do najszcześniejszych górników w obozie Vandergaart. Ani w kopalni, ani na farmie nie brakło im uznania, które na całym świecie towarzyszy powodzeniu. Friedel był bardziej pedantyczny i arbitralny niż kiedykolwiek, od czasu gdy jego dogmatyczność zyskała poparcie kilku tysięcy funtów szterlingów. Co do Hannibala Pantalacciego, to przedzierzgnął się obecnie w kolonialnego dandysa; olśniewał złotymi łańcuszkami, pierścieniami, brylantowymi szpilkami i nosił białe, płócienne ubrania, przy których cera jego wydawała się bardziej jeszcze żółta i ziemista.

Ale błazeństwa, neapolitańskie piosenki i silenie się na dowcip tej śmiesznej figury nie zdołały nigdy zabawić Alicji. Nie można powiedzieć, żeby okazywała Pantalacciemu szczególniejszą pogardę albo dawała do zrozumienia, że domyśla się celu jego wizyt na farmie. Po prostu niechętnie słuchała tego, co mówił, i nie śmiała się nigdy ani z jego żartów, ani z jego póż. " Chociaż wiedziała zbyt mało o moralnej szpetocie ludzkiej, aby podejrzewać, jak marny charakter kryje się za jego paplaniną, widziała w nim tylko pospolitego przechodnia, niemniej nudnego od innych. Cyprianowi wydawało się to oczywiste. Cierpiałby dotkliwie, gdyby widział dziewczynę, dla której miał tyle szacunku i czułości, rozmawiającą na równej stopie z człowiekiem zasługującym tylko na pogardę.

Byłby to odczuł tym boleśniej, że jego duma kazałaby mu milczeć. Uważał za rzecz upokarzającą podejmowanie jakichś starań, aby poniżyć w oczach panny Watkins nawet tak niegodnego rywala. Jakież miał zresztą do tego prawo? Na czym mógł oprzeć swoją krytykę? Ostatecznie nie wiedział nic o Hannibalu Pantalaccim i w swych ujemnych o nim sądach kierował się głównie instynktownym wstrętem. Chcieć go ukazać w świetle tragicznym byłoby po prostu śmiesznością. Cyprian rozumiał to doskonale i byłby w rozpacz, gdyby Alicja w jakikolwiek sposób zwracała uwagę na takiego

człowieka.

Poza tym inżynier pogrążył się znowu zaciekle w pracy, która pochłaniała go dniem i nocą. Nie chodziło tu jedynie o sposób fabrykacji diamentów, ale o dziesięć, dwadzieścia doświadczeń, które przygotowywał, obiecując sobie, że je wykona, gdy ukoń czy pierwszą próbę. Nie zadowalał się już wypisywaniem danych teoretycznych i formuł, którymi wypełniał swój notatnik przez całe godziny. Co chwila biegał do kopalni, przynosił stamtąd nowe próbki ziemi i skał i rozpoczynał na nowo analizy, które już sto razy przeprowadził. Ale wkładał w nie teraz, tyle precyzji, że nie zostawało w nich miejsca na najmniejszą omyłkę. Im większe groziło mu niebezpieczeństwo utracenia panny Watkins, tym bardziej zdecydowany był nie pominąć niczego, byle tylko osiągnąć zwycięstwo.

A jednak w głębi serca tak mało miał wiary w siebie, że nic nie powiedział Alicji o rozpoczętym doświadczeniu. Dziewczyna wiedziała tylko, że usłuchawszy jej rady powrócił znów do chemii, i czuła się szczęśliwa.

ROZDZIAŁ IX

NIESPODZIANKA

Dzień, w którym zdawało się, że doświadczenie zostało definitywnie zakończone, był wielkim dniem. Od dwóch tygodni nie podsycano już ognia, dzięki czemu aparat stopniowo ostygł. Cyprian sądząc, że krystalizacja węgla musiała już nastąpić, jeśli w ogóle mogła dokonać się w tych warunkach, zdecydował się zdjąć warstwę gliny, tworzącą ochronną pokrywę pieca.

Trzeba było rozbijać ją silnymi uderzeniami motyki, gdyż stwardniała jak cegła pod wpływem ognia. Ale wreszcie ustąpiła dzięki wysiłkom Matakita; ukazała się z początku górna część, zwana kopułą, potem cały piec.

W chwili gdy młody Kafr z pomocą Li i Bardika zdejmował tę kopułę, serce młodego inżyniera wybijało chyba ze sto dwadzieścia uderzeń na minutę.

Nie bardzo wierzył, aby doświadczenie się udało: należał do ludzi, którzy zawsze wątpią w swe siły. Ale ostatecznie było to możliwe! Cóż by to była za radość! Czyż wszystkie jego nadzieje szczęścia, sławy, fortuny nie kryły się w tym potężnym, czarnym cylindrze, który ukazywał się z powrotem jego oczom po tylu tygodniach oczekiwania?

Ale... O rozpaczy!... Lufa była pęknięta!...

Tak! Nawet stal nie mogła wytrzymać potwornego ciśnienia pary wodnej i gazu błotnego ogrzanych do tak wysokiej temperatury. Rura pękła jak zwykła próbówka, mimo że miała pięć centymetrów grubości. Po jednej stronie, prawie na środku, widać było szczelinę ziejącą jak szeroka paszcza, szerniącą, wykręconą przez płomień, która zdawała się naśmiewać złośliwie z nieszczęsnego uczonego.

Cóż za pech! Tyle trudu, żeby osiągnąć taki rezultat! Co prawda Cyprian czułby się mniej upokorzony, gdyby zabezpieczył lepiej aparat i umożliwił mu wytrzymanie próby ognia. Spodziewał się, oczywiście, że może nie znaleźć w cylindrze ani kawałka skryształizowanego węgla. Ale palić, grzać, potem studzić, powiedzmy po prostu, cackaj się z tą starą rurą, nadającą się obecnie do wyrzucenia na śmietnik — to było już szczytem niepowodzenia! Byłby chętnie zrzucił ją energicznym kopnięciem z wysokości pagórka, gdyby nie była zbyt ciężka i pozwoliła traktować się z taką bezceremonialnością!

Cyprian chciał już pozostawić ją w piecu i bardzo zasmucony, wybierał się do Alicji, by opowiedzieć jej o żalonym wyniku doświadczenia, gdy właściwa chemikowi ciekawość kazała mu przybliżyć zapalną świecę do otworu w rurze i zajrzeć do jej wnętrza.

„Zapewne — myślał — glina, którą wylepiłem rurę od środka, zmieniła się w cegłę, tak jak zewnętrzna powłoka pieca”.

Przypuszczenie okazało się słuszne. Jednakże zaszło tu zjawisko dość szczególne, którego Cyprian na razie nie mógł sobie wytłumaczyć — od wewnętrznej warstwy gliny oderwała się spora kula i stwardniała oddzielnie w rurze.

Kula ta, czerwono-czarnej barwy, mająca mniej więcej średnicę pomarańczy, mogła łatwo przejść przez pęknięcie. Cyprian wyciągnął ją więc i obejrzał dość niedbale. Stwierdziwszy, że był to istotnie kawał gliny oderwany od ścianki rury i oddzielnie stwardniały, chciał go już wyrzucić, gdy zauważył, że wydaje dźwięk taki jak garnek, jak gdyby był pusty w środku.

Było to coś w rodzaju małego, zamkniętego naczynia, w którym grzechotał jakiś bardzo ciężki przedmiot.

„Zupełnie jak skarbonka" — pomyślał Cyprian.

Ale na razie nie mógł wytłumaczyć sobie tego tajemniczego zjawiska. Chciał jednak wyjaśnić sprawę. Wziął więc młotek i rozbił skarbonkę. Istotnie, była to skarbonka i zawierała skarb bezcenny. Nie! Nie mogło być żadnej wątpliwości co do natury sporego kamyka, który ukazał się zachwyconym oczom młodego inżyniera. Kamyk ten był diamentem otoczonym skorupą taką samą jak wszystkie zwykłe diamenty, ale rozmiary jego były wprost kolosalne, nieprawdopodobne, nigdy nie spotykane!

Osądźcie sami. Diament ten był większy od kurzego jaja, wyglądem przypominał nieco kartofel i musiał ważyć co najmniej trzysta gramów.

— Diament!... Sztuczny diament! — powtarzał Cyprian półgłosem, zdumiony do najwyższego stopnia. — Znalazłem więc rozwiązanie tego zagadnienia, pomimo wypadku, któremu uległa rura!... Jestem bogaty!... Alicja, droga moja Alicja jest moją!

Raptem ogarnęła go niewiara w to, na co patrzył.

— Ależ to niemożliwe! To jakieś złudzenie, jakiś miraż! — powtarzał opanowany zwątpieniem. — Ach, wkrótce będę wiedział, czego się trzymać!

I nie kładąc nawet kapelusza, nieprzytomny, oszalały z radości, jak Archimedes po wyjściu z kąpeli, w której odkrył swoje słynne prawo. Cyprian zbiegł pędem ścieżką prowadzącą w dolinę i wpadł jak bomba do Jakobusa Vandergaarta. Zastał starego zajętego oglądaniem kamieni, które przyniósł mu właśnie do szlifowania handlarz diamentów Nathan.

— Ach, panie Nathan, znalazł się pan tu w samą porę! — zawołał Cyprian. — Niech pan patrzy! I pan także, panie Vander-gaart, niech pan patrzy, co panu przynoszę. Powiedźcie mi, co to jest?

Położył kamień na stole i skrzyżował ramiona. Nathan pierwszy wziął diament do ręki i zbladł z wrażenia. Wytrzeszczył oczy, otworzył szeroko usta i podał go Vandergaartowi. Ten z kolei podniósł kamień do oczu i obejrzał go w świetle płyną cym od okna, opuściwszy okulary. Po czym położył go na stole i patrząc na Cypriana rzekł spokojnie:

— To jest największy diament, jaki istnieje na świecie.

— Tak!... Największy! — powtórzył Nathan. — Pięć albo sześć razy większy od „Koh-i-noora", czyli „Góry Światła", dumy królewskiego skarbcza angielskiego, ważącego sto sześć karatów!

— Dwa lub trzy razy większy od „Wielkiego Mongoła", największego ze znanych kamieni, ważącego dwieście osiemdziesiąt karatów! — podjął stary szlifierz.

— Trzy albo cztery razy większy od „Orłowa", który waży sto dziewięćdziesiąt trzy karaty! — rzucił Nathan coraz bardziej olśniony.

— Siedem albo osiem razy taki jak „Regent" — ciągnął Jakobus Vandergaart.

— Dwadzieścia lub trzydzieści razy większy od „Brylantu Drezdeńskiego", ważącego zaledwie trzydzieści jeden karatów! — krzyknął Nathan. — Sądzę — dodał — że ten, nawet po oszlifowaniu, będzie jeszcze ważył co najmniej czterysta karatów! Ale jak tu ocenić taki kamień! To w ogóle nie podpada pod żadną kalkulację!

— Dlaczegożby nie? — odpowiedział Jakobus Vandergaart, który zachował więcej od Nathana spokoju. — „Koh-i-noor" jest oceniony na trzydzieści milionów franków, „Wielki Mongoł" na dwanaście, „Orłów" — na osiem milionów franków, „Regent" — na sześć... Otóż ten jest wart z pewnością ze sto milionów, lekko licząc.

— Ee, wszystko zależy od jego koloru i gatunku — odpowiedział Nathan, który zaczynał wracać do przytomności i sądził, że może przyda się już teraz wysunąć pewne zarzuty w przewidywaniu możliwej transakcji. — Jeśli jest bezbarwny i pierwszej wody, to wartość jego jest wprost nieobliczalna! Ale jeśli jest żółty, jak większość naszych kamieni w Griqualandzie, to wartość będzie

bez porównania niższa. Sam zresztą nie wiem, czy nie wolałbym dla kamienia tych rozmiarów pięknego odcienia niebieskiego, przypominającego szafir, jaki ma brylant z Hope, albo różowego, jak kolor „Wielkiego Mongoła”, albo nawet odcienia szmaragdowego, jak u „Brylantu Dredeńskiego”.

— O nie! Co to, to nie! — zawołał z zapalem stary szlifierz. — Ja jestem za bezbarwnymi diamentami. Popatrzcie tylko na „Koh-i-noora” albo na „Regenta”! To są dopiero prawdziwe klejnoty! Przy nich tamte wyglądają na sztuczną biżuterię.

Cyprian już nie słuchał.

— Panowie mi wybaczą — rzekł pośpiesznie — ale muszę opuścić was natychmiast!

I wzięwszy swój cenny kamień pobiegł z powrotem na farmę.

Nie myśląc nawet o tym, że wypadaloby zastukać, otworzył drzwi do bawialni i znalazł się w obecności Alicji. Zanim zdążył się zastanowić nad tym, co czyni, porwał ją w ramiona i ucałował w oba policzki.

— A to co znowu?! — krzyknął pan Watkins, zgorszony tym niespodziewanym wybuchem.

Siedział właśnie przy stole naprzeciw Hannibala Pantalacciego i grał z tym ciemnym typem w pikietę.

— Niech mi pan wybaczy — bąknął Cyprian dziwiąc się sam swemu zuchwalstwu, ale promieniejąc radością. — Jestem taki szczęśliwy! Oszalałem ze szczęścia... Niech pani patrzy! Oto, co pani przynoszę!

I rzucił raczej, niż położył swój diament na stół między obu graczy. Tak jak Nathan i Jakobus Vandergaart zrozumieli oni od razu, o co chodzi. Pan Watkins, który wypił dopiero niewielką część swego codziennej porcji dżynu, znajdował się jeszcze w stanie dostatecznej trzeźwości.

— Pan to znalazł? Sam? W swoim szybie?! — zawołał żywo.

— Znalazłem? — odpowiedział Cyprian triumfalnie. — Lepiej! Ja sam sfabrykowałem ten kamień, całkowicie! Ach, panie - Watkins, chemia to jednak dobra rzecz!

Śmiał się i ścisnął w swoich dłoniach delikatne palce Alicji. Dziewczyna, zdumiona tymi objawami gwałtownych uczuć, ale i uradowana szczęściem swojego przyjaciela, uśmiechała się łagodnie.

— To przecież pani zawdzięczam ten wynalazek, panno Alicjo! — podjął Cyprian. — Kto poradził mi wziąć się znów do chemii? Kto zażądał ode mnie, abym starał się znaleźć sposób wytwarzania diamentów, jak nie pańska urocza, pańska godna podziwu córka, panie Watkins? O, mogę złożyć jej hołd, jak dawni rycerze swym damom, i ogłosić, że ten wynalazek jest całkowicie jej zasługą! Czyż bez niej byłbym kiedykolwiek o tym pomyślał?

Pan Watkins i Hannibal Pantalacci patrzyli na diament, potem spoglądali jeden na drugiego potrząsając głowami. Byli po prostu ogłupiali.

— Pan mówi, że pan to sfabrykował? Sam? — spytał John Watkins. — Więc to jest fałszywy kamień?

— Fałszywy kamień?! — krzyknął Cyprian. — No tak! Powiedzmy, że jest fałszywy! Ale Jakobus Vandergaart i Natan oceniają go co najmniej na pięćdziesiąt milionów, a może na sto. Jeśli to jest kamień sztuczny, otrzymany sposobem, którego jestem wynalazcą, to nie znaczy, żeby nie był jak najbardziej prawdziwy! Widzicie, że nie brakuje mu niczego, nawet skorupy! — I pan podejmuje się wytwarzać inne diamenty tego rodzaju? — spytał z naciskiem John Watkins.

— Czy się podejmuję? Ależ oczywiście, panie Watkins. Zrobię panu całe fury diamentów! Będą dziesięć razy, sto razy większe od tego, jeśli pan sobie życzy! Zrobię ich dostateczną ilość, żeby wyłożyć nimi pański taras, żeby wybrukować nimi drogi w Griqualandzie, gdyby pan miał na to ochotę! Tylko pierwszy krok jest trudny, ale gdy otrzymało się już jeden kamień, reszta to fraszka, po

prostu chodzi o odpowiednie zorganizowanie strony technicznej.

— Ale jeśli tak jest naprawdę — rzekł farmer, który nagle pobladł mocno — będzie to ruiną dla wszystkich właścicieli kopalni, dla mnie, dla całego Griqualandu!

— Oczywiście! — zawołał Cyprian. — Cóż by komu przyszło z grzebania w ziemi, z wydobywania małych kamieni prawie bez wartości, z chwilą gdy sposobem przemysłowym będzie można wytwarzać diamenty dowolnych rozmiarów tak łatwo, jak wypiekać czterofuntowe bochenki chleba!

— Ależ to potworne! — oburzył się John Watkins. — To hańba! To ohyda! Jeśli to, co pan mówi, ma realne podstawy, jeśli pan rzeczywiście posiada taki sekret...

Urwał, dech mu zapierało.

— Przecież pan widzi — rzekł chłodno Cyprian — że nie mówię na wiatr, skoro przyniosłem panu pierwszy produkt moich doświadczeń! I sądzę, że jest dość dużych rozmiarów, żeby pana przekonać.

— No więc — odrzekł pan Watkins, który zdołał wreszcie odzyskać oddech — jeśli to prawda... to powinno się pana rozstrzelać w tej chwili na głównej ulicy obozu, panie Méré! Takie jest moje zdanie!

— I moje również — nie omieszkał wtrącić z gestem groźby Hannibal Pantalacci.

Panna Watkins wstała. Była bardzo blada.

— Rozstrzelać mnie za to, że znalazłem rozwiązanie zagadnienia, którym chemia zajmuje się od pięćdziesięciu lat? — odpowiedział młody inżynier wzruszając ramionami. — To już byłaby rzeczywiście przesada.

— Nie ma z czego się śmiać, proszę pana! — odparł rozwścieczony farmer. — Czy pan pomyślał o konsekwencjach tego, co pan nazywa swoim wynalazkiem? O kopalniach, gdzie praca będzie musiała stać, o Griqualandzie pozbawionym swojego słynnego przemysłu... o mnie samym, którego czeka kij żebraczy?

— Rzeczywiście, muszę przyznać, że o tym wszystkim wcale nie myślałem — powiedział szczerze Cyprian. — Są to nieuniknione konsekwencje postępu techniki i w dociekaniach teoretycznych nie można brać tych rzeczy pod uwagę. W dodatku, jeśli o pana chodzi, panie Watkins, nie ma powodu do obaw. To, co należy do mnie, należy także do pana; przecież wie pan dobrze, dlaczego zająłem się tymi właśnie doświadczeniami.

John Watkins nagle zdał sobie sprawę, jakie korzyści mógłby wyciągnąć z wynalazku młodego inżyniera, i nie bacząc na to, co sobie pomyśli Pantalacci, zmienił — jak to się mówi — front.

— Ostatecznie — rzekł — może pan ma i rację. Mówi pan zresztą jak porządny chłopak, którym pan jest niewątpliwie, panie Méré! Tak! Po namyśle sądzę, że będziemy mogli dojść do porozumienia. Dlaczego miałby pan produkować nieograniczone ilości diamentów? Byłby to najpewniejszy sposób, aby obniżyć wartość pańskiego wynalazku. Czyż nie byłoby rozsądniej zachować go w ścisłej tajemnicy, używać z umiarkowaniem, sfabrykować tylko jeden taki kamień jak ten, może ze dwa albo nawet poprzestać na tym pierwszym sukcesie, skoro zapewnia on panu od razu znaczny kapitał i robi z pana najbogatszego człowieka w kraju? W ten sposób wszyscy będą zadowoleni, życie pójdzie po dawnemu, a pan nie stanie na przeszkodzie godziwym interesom tylu ludzi.

Był to nowy aspekt sprawy, o którym Cyprian dotąd nie pomyślał. Ale dylemat stanął nagle przed nim z całą nieubłaganą surowością: albo zachować dla siebie sekret wynalazku, ukryć go przed światem i użyć dla wzbogacenia się, albo też obniżyć od razu — jak to słusznie mówił John Watkins — wartość wszystkich diamentów, tak naturalnych, jak i sztucznych, wyrzec się wskutek tego

majątku, aby osiągnąć... co? Ruinę wszystkich górników w Griqualandzie, w Brazylii i w Indiach!

Postawiony przed tą alternatywą Cyprian zawahał się być może, ale tylko przez chwilę. A jednak rozumiał, że wybierając to, co dyktowało mu poczucie uczciwości i wierności względem nauki, jednocześnie wyrzekał się na zawsze nadziei, będącej najważniejszym bodźcem przy dokonywaniu wynalazku!

Targnął nim ból równie gorzki i piekący jak nieoczekiwany — spadał przecież nagle z wyżyn tak pięknego marzenia!

— Panie Watkins — rzekł poważnie — gdybym zachował dla siebie tajemnicę mojego wynalazku, byłbym po prostu fałszerzem! Byłoby to tak, jak gdybym sprzedając oszukiwał na wadze i wprowadzał ludzi w błąd co do gatunku mego towaru. Rezultaty osiągnięte przez uczzonego nie są jego osobistą własnością. Wchodzą w skład dziedzictwa należącego do wszystkich ludzi. Zachowanie dla siebie, w celach osobistych i egoistycznych, najmniejszej ich części byłoby czynem najpodlejszym, jaki człowiek może popełnić. Ja tego nie uczynię! Nie! Nie będę czekał ani tygodnia, ani nawet jednego dnia, aby ogłosić publicznie formułę, którą szczęśliwy traf, poparty odrobiną zastanowienia, złożył w moje -ręce! Jedyna rzecz, jaką sobie rezerwuję — uważając ją za słuszną i sprawiedliwą — to ofiarowanie tej formuły przede wszystkim mojej ojczyźnie, Francji, która dała mi możliwość służenia nauce. Jutro wysyłam do Akademii Nauk raport o moim wynalazku! Żegnam pana! Zawdzięczam panu to, że ujrzałem jasno obowiązek, o którym nie pomyślałem... Panno Alicjo, to był piękny sen! Niestety, muszę się go wyrzec!

Zanim dziewczyna zdążyła zwrócić się do niego, Cyprian wziął swój diament i wyszedł skłoniwszy się pannie Watkins i jej ojcu.

ROZDZIAŁ X

JOHN WATKINS NAMYŚLA SIĘ

Opuściwszy farmę, z sercem złamanym, lecz: zdecydowany wykonać to, co uważał za obowiązek uczzonego, Cyprian udał się znowu do Jakobusa Vandergaarta. Szlifierz był sam. Pośrednik Nathan opuścił go pośpiesznie, żeby być pierwszym, Mory rozgłosi w obozie nowinę tak żywo interesującą wszystkich górników. Nowina wywołała niemałą sensację, choć nie wiadano jeszcze, że olbrzymi diament znaleziony przez „tego pana”, jak nazywano inżyniera, był diamentem sztucznym. Ale „tego pana” akurat obchodziły kopalniane plotki! Pilno mu było sprawdzić, razem z Jakobusem Vandergaartem, gatunek i kolor kamienia, zanim zredaguje swój raport, i w tym właśnie celu powrócił do starego szlifierza.

— Kochany Jakobusie — rzekł siadając — niech pan będzie łaskaw ściąć fasetę na tym oto garbie, żebyśmy mogli zobaczyć, co się kryje pod skorupą.

— Nic łatwiejszego — odrzekł staruszek biorąc diament z ręki swego młodego przyjaciela. — Daję słowo, że doskonale wybrał pan miejsce! — dodał stwierdzając lekką wypukłość na jednym z boków kamienia, którego owal poza tym był prawie idealny. — Nacinając z tej strony nie ryzykujemy nic na przyszłość.

Nie zwlekając Jakobus Vandergaart wziął się do roboty. Wybrawszy z drewnianej miseczki nie obrobiony, mniej więcej pięciokaratowy kamień, który zamocował w narzędziu podobnym do korbki, zaczął pocierać o siebie zewnętrzne otoczki diamentów.

— Poszłoby prędzej, gdyby odłupać fasetę — rzekł — ale któż by się odważył walić młotkiem w kamień tej wartości!

Ta długa i monotonna praca trwała nie mniej niż dwie godziny. Kiedy płaszczyzna osiągnęła dostateczną wielkość, aby można było osądzić, jaki jest gatunek kamienia, Jakobus Vander-gaart szlifował ją jeszcze toczydłem, co zajęło znów bardzo dużo czasu. Było jednak jeszcze zupełnie widno, kiedy skończyły się te przedwstępne czynności. Cyprian i jego stary przyjaciel dając wreszcie folgę ciekawości, nachylili się nad kamieniem, aby sprawdzić rezultat zabiegu.

Oczom ich ukazała się piękna fasetka, czarna jak smoła, ale niezwykle przezroczysta, o blasku wprost nieporównanym.

Diament był czarny! Osobliwość ta, niezmiernie rzadka, prawie jedyna, podnosiła jeszcze, jeśli to możliwe, jego wartość.

Ręce Jakobusa Vandergaarta drżały ze wzruszenia, kiedy trzymał w nich kamień migocący w promieniach zachodzącego słońca.

— To najpiękniejszy, najbardziej niezwykły klejnot, jaki kiedykolwiek odbijał światło dnia! — mówił z religijną niemal czcią. — Jakież będzie jego blask, kiedy zostanie oszlifowany ze wszystkich stron!

— Czy podejmie się pan tej roboty? — zapytał żywo Cyprian.

— Tak, oczywiście, drogie dziecko! Będzie to dla mnie zaszczytem i ukoronowaniem mojej długiej kariery... Ale może postąpiłby pan rozsądniej wybierając młodszą i pewniejszą rękę od mojej?

— Nie — odpowiedział Cyprian serdecznie. — Nikt, jestem tego pewien, nie włoży w tę pracę więcej starania i zręczności niż pan. Niech pan zatrzyma ten diament, mój drogi, i niech go

pan oszlifuje według własnego uznania. Zrobi pan z tego arcydzieło, to nie ulega kwestii.

Starzec obracał kamień w palcach i zdawał się namyślać, jak ma wyrazić swą myśl.

— Jedna rzecz mnie niepokoi — powiedział wreszcie. — Wie pan, nie bardzo sobie wyobrażam, jak będę przechowywał u siebie klejnot tej wartości! Trzymam przecież w dłoni pięćdziesiąt milionów franków, a może jeszcze więcej. Nierozsądnie jest brać na siebie taką odpowiedzialność.

— Nikt o tym nie będzie wiedział, chyba że pan o tym komuś powie, panie Vandergaart. Jeśli o mnie chodzi, to ręczę panu, że zachowam najściślejszą tajemnicę.

— Hm... i tak się domyśla. Mógł ktoś śledzić pana, kiedy szedł pan do mnie... Będą podejrzewali to, czego nie wiedzą z całą pewnością. Ludność tego kraju jest bardzo niepewna. Nie, nie mógłbym tu spać spokojnie!

— Może ma pan i rację — odpowiedział Cyprian, dobrze rozumiejąc niezdecydowanie starego. — Ale cóż na to poradzić?

— Właśnie nad tym myślę — rzekł Jakobus Vandergaart i pomilczawszy dłuższą chwilę, podjął na nowo: — Niech pan słucha, moje dziecko. To, co chcę panu zaproponować, jest sprawą delikatną i wymaga absolutnego do mnie zaufania. Ale zna mnie pan dostatecznie, aby się nie dziwić, że myślę o zachowaniu aż takich ostrożności. Muszę wyjechać natychmiast z narzędziami i z tym kamieniem i zaszyć się w jakimś kącie, gdzie by mnie nikt nie znał: w Bloemfontein na przykład albo w Hopetown. Wynajmę tam skromny pokój, będę się w nim zamykał, żeby pracować w jak najściślejszej tajemnicy, i wrócę dopiero wtedy, gdy skończę moje dzieło. Może tym sposobem uda mi się wywieść w pole złoczyńców. Ale — powtarzam — wstydzę się trochę proponować to panu.

— Uważam ten plan za bardzo rozsądny — odpowiedział Cyprian. — Usilnie namawiam pana do zrealizowania go.

— Niech pan weźmie pod uwagę, że potrwa to długo, że trzeba mi będzie siedzieć tam co najmniej miesiąc, i że w drodze może mi się zdarzyć niejeden wypadek.

— To trudno, panie Vandergaart, jeśli pan sądzi, że to jest najlepsze wyjście. Ostatecznie, gdyby nawet ten kamień zaginął, nie byłoby w tym wielkiego nieszczęścia.

Jakobus Vandergaart spojrzał na swego młodego przyjaciela niemal z przerażeniem.

„Czy czasem to niespodziewane szczęście nie przyprawiło go o utratę rozumu?” — zapytywał się w duchu.

Cyprian zrozumiał jego myśl i uśmiechnął się. Wytłumaczył staruszkowi, skąd pochodzi diament i w jaki sposób będzie mógł teraz fabrykować podobne kamienie w dowolnej ilości. Ale — czy to, że stary szlifierz nie bardzo uwierzył w opowiadanie inżyniera, czy też miał jakiś ukryty powód, żeby unikać sam na sam z kamieniem pięćdziesięciomilionowej wartości w swym odludnym domku — dość że obstawał przy tym, aby wyjechać natychmiast.

Spakowawszy więc swe narzędzia i łachy do starej skórzanej torby, przyczepił na drzwiach tabliczkę z napisem: „Właściciel wyjechał za interesami”, schował klucz do kieszeni, diament pod kamizelkę i wyjechał.

Cyprian odprowadził go dwie czy trzy mile drogą do Bloemfontein i rozstał się z nim dopiero na jego usilne, kilkakrotnie ponawiane prośby.

Była już ciemna noc, kiedy młody inżynier wrócił do siebie, rozmyślając, zdaje się, więcej o panie Watkins niż o swoim wynalazku.

Nie zabrał się od razu do kolacji, przygotowanej przez Matakita, lecz zasiadł przy stole służącym za biurko i zaczął pisać raport, który chciał wysłać najbliższą pocztą do sekretarza Akademii Nauk. Był to szczegółowy, wyczerpujący opis jego doświadczenia oraz wykład nader pomysłowej teorii

dotyczącej reakcji, która musiała zrodzić wspaniały kryształ węgla.

„Najbardziej znamiennej cechą tego produktu — pisał między innymi Cyprian — jest jego całkowita identyczność z diamentem naturalnym, a zwłaszcza obecność zewnętrznej powłoki”.

Istotnie, Cyprian nie wahał się przypisać tego ciekawego zjawiska dokładności, z jaką wylepił wewnątrz lufy armatniej glinę, starannie wybraną w głębi Vandergaart-Kopje. Nie było łatwo wytłumaczyć, jakim sposobem część tej gliny, oddzieliwszy się od ścianki, utworzyła naokoło kryształu prawdziwą skorupę; ten punkt wyjaśnią zapewne następne doświadczenia. Być może, należało przypuszczać, że zaszedł tu jakiś zupełnie nowy przypadek chemicznego powinowactwa. Autor obiecywał sobie zająć się poważnie tym zagadnieniem. Nie rościł sobie pretensji do sformułowania swej teorii od razu, w sposób całkowity i ostateczny. Chodziło mu przede wszystkim o podanie jej bez zwłoki do wiadomości świata nauki, o zapewnienie Francji pierwszeństwa tego odkrycia, wreszcie o wywołanie dyskusji i naświetlenie faktów dla niego samego jeszcze niedostatecznie jasnych.

Rozpoczynając sprawozdanie i uporządkowawszy w ten sposób swoje konto naukowca, młody inżynier zjadł naprędce kolację i udał się na spoczynek. Z wysłaniem raportu pod właściwym adresem chciał poczekać, aż będzie mógł uzupełnić go nowymi obserwacjami.

Nazajutrz rano wyszedł z domu i przechadzał się zamyślony po różnych terenach kopalni. Witały go spojrzenia niektórych górników bynajmniej nie nacechowane sympatią. Jeśli Cyprian tego nie zauważył, to jedynie dlatego, że zapomniał już o tym, co tak dobitnie wyłożył mu dnia poprzedniego John Watkins, mianowicie że konsekwencją jego wielkiego odkrycia będzie szybsza lub powolniejsza, ale nieunikniona ruina wszystkich właścicieli koncesji w Griqualandzie. Sprawa ta jednak mogła obudzić wielkie zaniepokojenie w kraju na pół dzikim, gdzie nikt się nie waha wymierzyć sprawiedliwości własnymi rękami, gdzie gwarancja pracy i związanego z nią handlu jest najwyższym prawem. Gdyby fabrykacja sztucznych diamentów stała się zwykłą gałęzią przemysłu, wszystkie miliomy włożone w kopalnie zarówno brazylijskie, jak i afrykańskie, nie mówiąc już o tysiącach istnień, które padły ofiarą tej pracy, byłyby niepowrotnie stracone. Zapewne młody inżynier mógł zachować dla siebie tajemnicę swego wynalazku, ale oświadczenie jego w tym względzie było zupełnie jasne: nie uczyni tego nigdy.

Z drugiej strony, pan Watkins — który spędził noc w dziwnym odrętwieniu, marząc bez przerwy o diamentach niewiarygodnej wielkości, przedstawiających wartość kilku miliardów — miał czas na rozważenie całego zagadnienia. Było rzeczą zupełnie naturalną, że Hannibal Pantalacci i inni górnicy patrzyli z niepokojem i złością na przewrót, jaki wynalazek Cypriana musiał wprowadzić w eksploatacji pól diamentowych, eksploatowali bowiem te tereny na swój własny rachunek. Ale jego sytuacja, jako właściciela ziemi, była odmienna. Oczywiście, gdyby porzucono szyby na skutek spadku ceny diamentów, gdyby cała ta ludność górnicza opuściła koniec końców Griqualand, wartość jego farmy zmniejszyłaby się znacznie, produkty jego gospodarstwa nie miałyby łatwego zbytu, nie mógłby już wy najmować swych domów i walących się chałup z powodu braku lokatorów i może byłby pewnego dnia zmuszony opuścić te okolice, gdzie nic nie przynosiłoby zysku.

„No dobrze — mówił sobie John Watkins. — Ale zanim do tego dojdzie, minie jeszcze parę lat. Fabrykacja diamentów nie stała się jeszcze sprawą codziennej praktyki, nawet przy użyciu metody pana Méré. Może było i dużo przypadku w całej tej historii. Ale tymczasem, przypadkowo czy nie, sfabrykował kamień olbrzymiej wartości i można liczyć, że skoro byłby wart pięćdziesiąt milionów, gdyby był diamentem naturalnym, to na pewno wart będzie jeszcze parę dobrych milionów, mimo że został sztucznie wyprodukowany. Tak! Trzeba zatrzymać tego młodzieńca za wszelką cenę! Trzeba, przynajmniej przez jakiś czas, przeszkadzać mu w roztrąbianiu wiadomości o tym niesłychanym

wynalazku. Trzeba, żeby ten kamień wszedł definitywnie do rodziny Watkinsów i nie wyszedł z niej inaczej niż za cenę paru ładnych milionów. Zatrzymać tego, kto go sfabrykował, nie będzie doprawdy trudne, nawet nie angażując się zbytnio. Mam tu Alicję, a przez nią zdołam zawsze opóźnić jego wyjazd do Europy... Tak! Gdybym nawet miał mu ją obiecać za żonę!... Gdybym nawet miał mu ją oddać!"

Z pewnością John Watkins, pod wpływem pozerającej go chciwości, mógł się na to zdobyć. W całej tej sprawie widział tylko siebie, myślał tylko o sobie. I jeśli stary egoista wspomniał wreszcie o córce, to tylko, aby sobie powiedzieć:

„Ostatecznie Alicja nie powinna się uskarżać. Ten młody wariat wcale nieźle się prezentuje. Kocha ją i mam wrażenie, że i ona nie jest obojętna na tę miłość. A cóż może być lepszego, jak połączyć dwa serca dla siebie stworzone... lub co najmniej dać im nadzieję na ten związek, aż do chwili kiedy cała historia wyjaśni się ostatecznie? Ach, do diabła z Pantalaccim i jego kamratami! Nawet tu, w Griqualandzie, każdy musi dbać przede wszystkim o własną skórę!"

Tak rozmyślał pan Watkins manewrując w wyobraźni wagą, na której kładł z jednej strony przyszłość córki, a z drugiej — zwykły kawałek skryzalizowanego węgla, i cieszył się widząc, że szale utrzymują się w doskonałej równowadze. Toteż nazajutrz decyzja jego była już powzięta: nie spieszyć się z niczym, zostawić rzeczy ich naturalnemu biegowi, zwłaszcza że bez trudu można się domyślić, w jakim kierunku bieg ten się obróci.

Przede wszystkim zależało mu na zobaczeniu się ze swoim lokatorem, co było bardzo proste, gdyż młody inżynier przychodził codziennie na farmę. Ale chciał także zobaczyć jeszcze raz słynny diament, który w jego marzeniach przybrał wręcz fantastyczne rozmiary.

Pan Watkins udał się więc do domku Cypriana; inżynier o tej wczesnej porze był jeszcze u siebie.

— No, mój młody przyjacielu — powiedział farmer rozradowanym tonem — jak pan spędził tę noc... tę "pierwszą noc po pańskim wielkim wynalazku?"

— Ależ doskonale, panie Watkins, doskonale — odpowiedział chłodno młody człowiek.

— Jak to, mógł pan spać?

— Jak zwykle.

— Czyż wszystkie miliony, które wyszły z tego pieca, nie przeszkadzały w tym panu?

— Bynajmniej — odrzekł Cyprian. — Niech pan to wreszcie zrozumie, panie Watkins: ten diament miałby milionową wartość jedynie wtedy, gdyby był dziełem przyrody, a nie dziełem chemika...

— No tak, tak, panie Cyprianie! Ale czy jest pan pewien, że potrafi pan zrobić drugi taki kamień... więcej takich kamieni? Czy pan może za to ręczyć?

Cyprian zawahał się wiedząc, ile zawodów można doznać w tego rodzaju doświadczeniach.

— A widzi pan! — ciągnął pan Watkins. — Nie może pan za to ręczyć! A więc do czasu nowej próby i nowego sukcesu pański diament zachowuje wartość olbrzymią. A zatem, po co rozpowiadać, a przynajmniej po co od razu rozpowiadać, że to jest kamień sztuczny?

— Powtarzam panu — rzekł Cyprian — że nie mogę ukrywać wynalazku naukowego mającego takie znaczenie.

— Tak, tak, wiem o tym... — podjął John Watkins dając młodzieńcowi znaki, żeby zamilkł, tak jakby ktoś mógł ich podsłuchiwać. — Tak, tak! Porozmawiamy jeszcze o tym. Tylko niech się pan nie przejmuje Pantalaccim i wszystkimi innymi. Oni słówka nie pisną o pana odkryciu, to nie leży w ich interesie. Niech mi pan wierzy... niech się pan nie spieszy! A zwłaszcza, niech pan pamięta, że moja córka i ja jesteśmy bardzo szczęśliwi z powodu pańskiego sukcesu. Tak! Bardzo szczęśliwi! Ale, ale! Czy nie mógłbym jeszcze zobaczyć tego słynnego diamentu? Wczoraj mogłem zaledwie rzucić na

niego okiem. Czy nie zechciałby pan pozwolić mi...

— Ależ ja go już nie mam — odpowiedział Cyprian.

— Wysłał go pan do Francji?! — krzyknął pan Watkins przerażony tą myślą.

— Nie... jeszcze nie... W stanie surowym nie można by zdać sobie sprawy z jego piękności.

Niech się pan uspokoi!

— Więc komu pan go oddał? Na wszystkich świętych Anglii, komu?

— Dałem go do oszlifowania Jakobusowi Vandergaartowi i nie wiem, dokąd staruszek go wywiózł.

— Powierzył pan taki diament temu staremu wariatowi?! — wykrzyknął pan Watkins rozwścieczony nie na żarty. — Ależ to szaleństwo, proszę- pana! Istne szaleństwo!

— Eee — rzekł Cyprian — co pan chce, żeby Jakobus Vandergaart albo ktokolwiek inny zrobił z diamentem, którego wartość dla tych, co nie wiedzą o jego pochodzeniu, wynosi co najmniej pięćdziesiąt milionów? Czy pan myśli, że łatwo byłoby sprzedać w tajemnicy taki kamień?

Pan Watkins wydał się zaskoczony tym argumentem. Oczywiście, nie byłoby łatwo pozbyć się diamentu tej wartości. Jednak farmer nie uspokoił się i dałby wiele, tak, bardzo wiele, żeby ten nieogłędny Cyprian nie był powierzył cennego klejnotu staremu szlifierzowi... lub co najmniej, żeby stary szlifierz był już z powrotem w Griqualandzie. Ale Jakobus Vandergaart prosił o miesiąc zwłoki i mimo całej niecierpliwości John Watkins nie miał innej rady, jak czekać.

Oczywiście, przez wszystkie dni następne nieodłączni kompani pana Watkina — Pantalacci, Friedel i Nathan — nie omieszkali obgadywać zacnego szlifierza. Mówili o nim często w nieobecności Cypriana i zawsze zwracali uwagę farmera, że czas mija, a Jakobus Vandergaart nie powraca.

— A po cóż miałby wracać do Griqualandu — mówił Friedel — kiedy z łatwością może przywłaszczyć sobie diament tak olbrzymiej wartości, który niczym nie zdradza swego sztucznego pochodzenia?

— Bo nie mógłby go sprzedać — odpowiadał pan Watkins powtarzając argument młodego inżyniera, który obecnie nie wystarczał już, aby go uspokoić.

— Dobry mi powód! — drwił Nathan.

— Tak! Doskonały powód — dodawał Hannibal Pantalacci. — Wierście mi, że ten stary krokodyl już jest w tej chwili daleko! Nic łatwiejszego, szczególnie dla niego, jak zmienić wygląd kamienia tak, żeby go nikt nie poznał! Nawet nie wiecie, jakiego koloru jest ten diament! Kto zabroni staremu rozłupać go na cztery albo na sześć kawałków i zrobić z niego kilka brylantów jeszcze okazałej wielkości?

Te dyskusje wносиły niepokój w duszę pana Watkina, który zaczynał przypuszczać, że Jakobus Vandergaart nigdy się więcej nie pokaże.

Jedynie Cyprian wierzył niezachwianie w uczciwość starego szlifierza i twierdził stanowczo, że powróci on w oznaczonym dniu. Miał rację. Jakobus Vandergaart wrócił nawet o czterdzieści osiem godzin wcześniej. Przykładał się tak gorliwie do pracy, że w ciągu dwudziestu siedmiu dni ukończył szlifowanie diamentu. Wrócił w nocy, aby go ostatecznie wypolerować na toczydle, i rankiem dwudziestego dziewiątego dnia zjawił się u Cypriana.

— Oto jest kamyk — rzekł z prostotą, kładąc na stole małe, drewniane pudełko.

Cyprian otworzył je i stanął olśniony. Na posłaniu z białej waty leżał olbrzymi, czarny kryształ, dwunastościan romboidalny i rzucał ognie o takim blasku, że całe laboratorium wydawało się nimi oświetlone. Połączenie atramentowego koloru, idealnej, diamentowej przezroczystości i nieporównanej zdolności załamywania światła wywierało efekt naprawdę czarodziejski, wprost

niepokojący. Czulo się, że jest to zjawisko jedyne w swoim rodzaju, jakaś igraszka natury prawdopodobnie bez precedensu. Gdy się nawet odsunęło wszelką myśl o wartości tego klejnotu, jego wspaniałość olśniewała sama przez się.

— To jest nie tylko największy, ale i najpiękniejszy brylant świata — rzekł poważnie Jakobus Vandergaart z odcieniem ojcowskiej dumy w głosie. — Waży czterysta trzydzieści dwa karaty. Może pan sobie powinszować, że wykonał pan arcydzieło, moje drogie dziecko; pańska próba była od razu dziełem mistrza.

Cyprian wziął pudełko, w którym spoczywał niezrównany kamień, i uściskawszy rękę staruszka udał się do mieszkania Watkinsów.

Farmer był w swoim pokoju na parterze. Wciąż niespokojny, wciąż pełen wątpliwości, czekał na powrót Jakobusa Vandergaarta, który wydawał mu się rzeczą coraz mniej prawdopodobną. Córka była przy nim, uspokajając go, jak tylko mogła. Cyprian otworzył drzwi i zatrzymał się chwilę na progu.

— No i co? — spytał farmer wstając szybko z miejsca.

— No więc, zacny Jakobus Vandergaart wrócił dziś rano — odpowiedział Cyprian.

— Z diamentem?

— Z diamentem przepięknie oszlifowanym i ważącym jeszcze czterysta trzydzieści dwa karaty.

— Czterysta trzydzieści dwa karaty! — wykrzyknął John Watkins. — I pan go przyniósł?

— Oto jest. Proszę.

Pan Watkins wziął pudełko i gdy je otworzył, jego wyłupiaste oczy błysnęły prawie tak jak brylant, na który patrzył w osłupieniu graniczącym z ekstazą. Wreszcie, kiedy trzymał już w palcach kolosalną fortunę, którą uosabiał klejnot — tak lekki, dający się łatwo ująć, zarazem namacalny i pełen nieprawdopodobnej świetności — zachwyty jego przybrał akcenty aż śmie szne w swej emfazie. W głosie jego drżały łzy i przemawiał do diamentu jak do żyjącej istoty.

— Och, ty przepiękny, ty wspaniały, cudowny kamieniu! — mówił. — Więc powróciłeś, kochaneczku! Jakże ty błyszczysz! Jakiś ty ciężki! Ileż ty musisz być wart brzęczących gwinei! Cóż my z tobą zrobimy, mój skarbie? Czy wysłać cię do Capetown, a stamtąd do Londynu, żeby cię tam podziwiali? Ale któż będzie tak bogaty, żeby cię kupić? Sama królowa nie mogłaby pozwolić sobie na taki zbytek! Poszłyby na to jej dochody z dwóch albo i trzech lat. Trzeba by na to decyzji parlamentu, subskrypcji narodowej... Ale robi się to, nie bój się!... Spocznieś sobie bezpiecznie w Tower, koło „Koh-i-noora”, który będzie jak mały chłopaczek w porównaniu z tobą. Cóż ty możesz być wart, mój kochany?

I zrobiwszy w myśli obliczenie dodał:

— Za „Orłowa” Katarzyna Druga zapłaciła milion rubli gotówką i dziewięćdziesiąt sześć tysięcy franków dożywotniej renty. Na pewno nie będzie przesadą *zażądać* za ten kamień miliona funtów szterlingów i pół miliona franków renty dożywotniej!

Nagle uderzyła go zupełnie nowa myśl.

— Panie Méré, czy pan nie sądzi, że właściciel podobnego kamienia powinien zostać parem? Każdy rodzaj zasługi ma prawo być reprezentowany w Izbie Lordów, a posiadanie diamentu tych rozmiarów jest nie byle jaką zasługą! Patrz, córko, patrz! Nie dosyć dwojga oczu, żeby podziwiać podobny kamień!

Panna Watkins po raz pierwszy w życiu popatrzyła na diament z pewnym zainteresowaniem.

— Naprawdę jest bardzo piękny! Błyszczący jak kawałek węgla, którym jest w rzeczywistości, ale to rozżarzony węgiel! — rzekła biorąc go delikatnie z posłania.

Potem, kierując się odruchem naturalnym u każdej młodej dziewczyny, podeszła do lustra

wiszącego nad kominkiem i przyłożyła cudowny klejnot do czoła, pomiędzy pasma swych jasnych włosów.

— Gwiazda oprawiona w złoto! — rzekł z galanterią Cyprian pozwalając sobie wbrew swym zwyczajom na taki komplement.

— Prawda, zupełnie jak gwiazda! — zawołała Alicja klaszcząc radośnie w dłonie. — Wobec tego trzeba mu zostawić tę nazwę! Nazwijmy go „Gwiazdą Południa”. Dobrze, panie Cyprianie? Czyż nie jest czarny jak tutejsze piękności i błyszczący jak gwiazdy w konstelacjach naszego południowego nieba?

— Mech będzie „Gwiazda Południa” — rzekł pan Watkins, nie przywiązujący do nazw szczególniejszego znaczenia. — Ale uważaj, żebyś jej nie upuściła! — dodał przerażony, widząc jakiś gwałtowny ruch dziewczyny. — Stłukłaby się jak szkło.

— Naprawdę? To takie kruche? — spytała Alicja kładąc dość pogardliwie brylant z powrotem do pudełka. — Biedna gwiazdo, więc jesteś gwiazdą tylko na niby, jesteś jak zwykły szklany korek od karafki.

— Korek od karafki! — krzyknął pan Watkins zgorzony. — Dzieci nie umieją niczego uszanować!

— Panno Alicjo — rzekł wtedy młody inżynier. — To pani zachęciła mnie do pracy nad wytwarzaniem sztucznych diamentów! Pani więc zawdzięcza ten kamień, swoje istnienie. Ale oczywiście jest to klejnot, który straci całą swoją wartość handlową, z chwilą gdy znane będzie jego pochodzenie. Pan Watkins pozwoli mi zapewne ofiarować go pani na pamiątkę zbawiennego wpływu, jaki wywarła pani na moją pracę!

— Cooo? — wyrwało się panu Watkinsowi, który nie był w stanie ukryć swoich uczuć słysząc tę nieoczekiwaną propozycję.

— Panno Alicjo — ciągnął Cyprian — ten diament należy do pani! Ofiarowuję go pani... daję go pani...

Panna Watkins za całą odpowiedź podała młodemu inżynierowi rękę, którą on z czułością uściskał w swoich dłoniach.

ROZDZIAŁ XI

„GWIAZDA POŁUDNIA”

Wiadomość o powrocie Jakobusa Vandergaarta rozeszła się z błyskawiczną szybkością. Toteż wkrótce na farmę zaczęły napływać tłumy gości pragnących zobaczyć cud tutejszej kopalni.

Wkrótce dowiedziano się również, że diament należy do panny Watkins, chociaż właściwym jego posiadaczem był raczej jej ojciec niż ona sama. Ciekawość ogólna doprowadzona była do wrzenia z powodu tego diamentu nie będącego dziełem przyrody, lecz dziełem ludzkich rąk.

W tym miejscu zaznaczyć należy, że nikt nie pisał jeszcze słówka o sztucznym pochodzeniu brylantu. Z jednej strony, górnicy znający tajemnicę nie byliby tak nieoględni, żeby rozgłaszać wiadomość mogącą się przyczynić do ich natychmiastowej ruiny. Z drugiej strony, Cyprian, nie chcąc niczego pozostawiać przypadkowi, wcale o tej sprawie nie mówił i zdecydował się nie wysłać swego raportu dotyczącego „Gwiazdy Południa”, zanim nie skontroluje osiągniętych wyników przez ponowne doświadczenie. Chciał być pewny, że to, co uczynił raz, potrafi uczynić po raz wtóry.

Ciekawość ogólna była więc niesłychanie podniecona i John Watkins rozumiał, że byłoby nieprzyzwoitością nie zaspokoić jej, tym bardziej że pochlebiała jego próżności. Ułożył zatem „Gwiazdę Południa” na lekkim posłaniu z waty, które umieścił na kolumnie z białego marmuru stojącej na kominku w bawialni, a sam przez cały dzień siedział przy niej w fotelu, pilnując tego niezrównanego klejnotu i pokazując go publiczności.

James Hilton pierwszy zwrócił mu uwagę, jak bardzo nieostrożne było takie postępowanie. Czy zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństw, jakie na siebie ściągał, wystawiając w ten sposób na widok publiczny przedmiot olbrzymiej wartości, który przechowywał pod swoim dachem? Zdaniem Hiltona należało bezzwłocznie zażądać z Kimberley specjalnej ochrony policyjnej; w przeciwnym razie następna noc nie obejdzie się bez przykrych wypadków. Pan Watkins, przestraszony tą perspektywą, pospiesznie zastosował się do rozsądnej rady swego gościa i odetchnął swobodnie dopiero w chwili, kiedy pod wieczór zjawił się oddział konnej policji składający się z dwudziestu pięciu ludzi, których rozmieszczono w budynkach należących do farmy.

Napływ gości wzmógł się jeszcze w ciągu dni następnych. Sława „Gwiazdy Południa” przekroczyła wkrótce granice okręgu i dotarła do najdalszych miast w kraju. Gazety miejscowe poświęcały całe artykuły opisując jej rozmiary, kształt, barwę i blask. Szczegóły te nadano telegraficznie z Durbanu przez Zanzibar i Aden najpierw do Europy i Azji, potem do obu Ameryk i Oceanii. Fotografowie prosili o zaszczyt zrobienia zdjęć tego nadzwyczajnego brylantu. Zjawili się też i rysownicy z redakcyj różnych pism ilustrowanych, aby odtworzyć jego podobiznę. Krótko mówiąc, było to wydarzenie sławne na cały świat.

Do faktów dołączyła się natychmiast legenda. Pomiędzy górnikami krążyły fantastyczne wieści dotyczące tajemniczych właściwości przypisywanych „Gwieździe Południa”. Szeptano po cichu, że czarny kamień niechybnie będzie przynosił nieszczęście. Ludzie doświadczeni potrzęsali głowami twierdząc, że wolą widzieć ten diabelski kamień u Watkina niż u siebie. Jednym słowem obmowa, a nawet oszczerstwo, nieodłączni towarzysze sławy, nie ominęły „Gwiazdy Południa”, która, oczywiście, nie przejmowała się tym wcale i w dalszym ciągu wylewała „potoki światła na pełzających w mroku oszczerców”.

Ale rzecz miała się inaczej, jeśli chodzi o Johna Watkina: plotki te doprowadzały go do wściekłości. Wydawało mu się, że umniejszają do pewnego stopnia wartość kamienia, odczuwał je

jako osobiste obelgi. Od czasu kiedy gubernator kolonii, oficerowie sąsiednich garnizonów, wysocy urzędnicy i funkcjonariusze, przedstawiciele wszelkich instytucji przyszli złożyć hołd jego klejnotowi, uważał niemal za bluźnierstwo wszelkie swobodne komentarze, które pozwalano sobie wypowiadać na temat „Gwiazdy Południa”.

Toteż, aby przeciwstawić się tym bzdurom, a także chcąc dogodzić swemu zamięłowaniu do obżarstwa, farmer postanowił urządzić wielki bankiet na cześć ukochanego diamentu. Liczył, że wymieni go z pewnością na brzęczącą monetę, niezależnie od tego, co o tym powie Cyprian, niezależnie od życzenia córki, która pragnęła zachować klejnot dla siebie.

Wielki jest, niestety, wpływ żołądka na poglądy większości ludzi. Wiadomość o mającej się odbyć uczcie wystarczyła, aby z dnia na dzień zmienić nastawienie opinii publicznej w obozie Vandergaart. Ludzie najbardziej niechętni „Gwieździe Południa” zaczęli nagle piosenkę z innego tonu; twierdzili, że ostatecznie ten kamień nie może ponosić odpowiedzialności za fatalny wpływ, który mu się przypisuje, i pokornie zabiegali, aby otrzymać zaproszenie do Johna Watkina.

Długo jeszcze będzie się mówiło w zagłębiu nad rzeką Vaal o tej uroczystości. W oznaczonym dniu osiemdziesięciu biesiadników zasiadło do stołu pod namiotem przylegającym do bawialni, której jedną ścianę rozebrano specjalnie na ten cel. Olbrzymia pieczeń z całego grzbietu wołu, zwana „polędwicą po królewsku”, zajmowała środek stołu; otaczały ją w całości upieczone barany i różne rodzaje miejscowej zwierzyny. Góry jarzyn i owoców, otwarte beczki piwa i wina, ustawione w równomiernych odstępach, uzupełniały jadłospis tej biesiady godnej zaiste Pantagruela.

„Gwiazda Południa”, umieszczona na swym cokole, otoczona zapalonymi świecami, przewodniczyła spoza pleców Johna Watkina uroczystości wydanej na jej cześć.

Usługiwało ze dwudziestu specjalnie najętych Kafrów pod komendą Matakita, który — uzyskawszy pozwolenie swego pana — ofiarował się nimi dyrygować. Wśród biesiadników, oprócz oddziału policjantów, którym pan Watkins chciał podziękować w ten sposób za opiekę, znalazły się wszystkie najważniejsze osobistości z obozu i okolicy. Byli tu więc Mathys Pretorius, Nathan, James Hilton, Hannibal Pantalacci, Friedel, Tomasz Steel i pięćdziesięciu innych. Nawet zwierzęta należące do farmy, woły, psy, a zwłaszcza strusie panny Watkins, wzięły udział w uroczystości, przyszedłszy wyżebrać nieco resztek z bankietu.

Alicja siedziała naprzeciwko ojca, na szarym końcu stołu, i ze zwykłym wdziękiem robiła honory domu. Jednakże, chociaż dobrze rozumiała, dlaczego Cyprian Méré i Jakobus Vander-gaart nie przyszli na ucztę, martwiła się potajemnie ich nieobecnością.

Młody inżynier zawsze, jak tylko mógł, unikał towarzystwa Friedla, Pantalacciego i podobnych im osobników. W dodatku od czasu dokonania swego odkrycia, znał doskonale ich niezbyt życzliwe intencje w stosunku do swej osoby. Wiedział nawet o pogroźkach, których nie szczędzili wynalazcy mogącemu doprowadzić górników do całkowitej ruiny. Postanowił więc nie pokazywać się na przyjęciu. Jakobus Vandergaart zaś odrzucił wyniośle wszelkie propozycje pojednania, chociaż John Watkins usilnie zabiegał, próbując nakłonić starego szlifierza do zgody.

Bankiet miał się ku końcowi. Jeśli wszystko odbyło się w największym porządku, to jedynie dlatego, że obecność panny Watkins powstrzymała od ekscesów nawet najbardziej nieokrzesanych gości. Mathys Pretorius posłużył jednak jak zwykle za temat do żartów Hannibalowi Pantalacciemu, który zasypywał nieszczęsnego Boera najbardziej nieprawdopodobnymi ostrzeżeniami. Mówił na przykład, że pod stołem będą puszczane sztuczne ognie... Że czekano tylko na wyjście Alicji, aby skazać najgrubszego z gości na wypicie jednym tchem dwunastu butelek dżynu... Że proponowano uświetnić ucztę wielkimi popisami bokserskimi i ogólną walką na rewolwery...

Ale przerwał mu John Watkins, który, jako przewodniczący bankietu, uderzył trzonkiem noża w

stół, ogłaszając początek tradycyjnych toastów.

Zapadła cisza. Gospodarz wyprostował swoją wysoką postać, oparł kciuki o brzeg obrusa i zaczął przemówienie głosem nieco schrypniętym wskutek zbyt częstych libacji.

Mówił, że dzień ten zostanie najpiękniejszym wspomnieniem w jego życiu, życiu górnika i kolonisty... Po ciężkich przejściach młodości widzieć się teraz w bogatym Griqualandzie, w gronie osiemdziesięciu przyjaciół zgromadzonych, by uczcić największy brylant świata — to radość, której nie zapomina się nigdy! Prawdą jest, że jutro jeden z szanownych gości, otaczających go dzisiaj, może znaleźć większy jeszcze kamień. W tym właśnie leży poezja i pikanteria górniczego życia! (Gorące oklaski). Tego szczęścia życzy swym gościom z całego serca! (Uśmiechy, oklaski). Wydaje mu się również, że zbyt wymagającym należałoby nazwać tego, kto na jego miejscu nie byłby zadowolony. Na zakończenie wezwał swych gości do wypicia za pomyślność Griqualandu, za niezachwianą stałość cen na rynku diamentowym — wbrew wszelkiej możliwej konkurencji — wreszcie za szczęśliwą podróż, czekającą „Gwiazdę Południa”, na razie do Capetown, a potem do Anglii, dokąd jedzie, by olśnić dalekie kraje swym wspaniałym blaskiem.

— Ale — rzekł Tomasz Steel — czy to bezpiecznie ekspediować do Capetown kamień tej wartości?

— O, będzie pod silną eskortą! — odpowiedział pan Watkins. — Niejeden brylant podróżował już w tych samych warunkach i szczęśliwie dobił do portu!

Wszystkie oczy zwróciły się instynktownie w stronę kominka, jakby chcąc oddać hołd niezrównanemu klejnotowi. Ale „Gwiazdy Południa” nie było już na cokole, na którym przed chwilą jeszcze migotała za plecami Johna Watkina! Zdumienie malujące się na osiemdziesięciu twarzach było tak wyraziste, że gospodarz odwrócił się momentalnie, aby sprawdzić, co było jego przyczyną.

Gdy tylko spostrzegł, co się stało, osunął się bezwładnie na fotel jak rażony piorunem. Otoczono go w jednej chwili, rozwiązano mu krawat, pryskano wodą na twarz... Ocknął się wreszcie z omdlenia.

— Brylant! — ryknął grzmiącym głosem. — Brylant! Kto wziął brylant?!

— Panowie, niech nikt nie wychodzi! — rzekł komendant oddziału policji rozkazując jednocześnie obstawić wszystkie wejścia do sali.

Goście patrzyli na siebie w osłupieniu lub ściszym głosem wymieniali uwagi. Nie minęło pięciu minut od chwili, kiedy każdy z nich widział lub przynajmniej sądził, że widzi słynny brylant. Trzeba było jednak pogodzić się z oczywistym faktem: brylant zniknął.

— Proszę, żeby wszyscy obecni zostali zrewidowani, zanim stąd wyjdą — powiedział Tomasz Steel ze zwykłą prostotą.

— Tak! Tak! — odpowiedziało całe zgromadzenie jednogłośnie.

Te słowa zdawały się wracać panu Watkinsowi iskierkę nadziei.

Komendant policji uszeregował więc wszystkich po jednej stronie sali i zaczął od tego, że sam poddał się wymaganym zabiegom. Wywrócił kieszenie podszewką do góry, zdjął obuwie, prosił, żeby każdy, kto zechce, obmacał jego ubranie. Następnie powtórzył ten sam proceder na wszystkich swoich ludziach. Wreszcie biesiadnicy przedefilowali przed nim kolejno, poddawani jak najściślejszemu badaniu.

Rewizja jednak nie dała najmniejszego rezultatu. Wtedy przystąpiono do przeszukania wszystkich kątów i zakątków sali bankietowej... Nie znaleziono nawet śladu brylantu.

— Pozostają Kafrowie usługujący do stołu — rzekł komendant policji, który nie chciał dać za wygraną.

— To jasne! Oczywiście, że to Kafrowie! — odezwały się głosy. — Przecież wiadomo, że to

złodzieje i można wszystkiego się po nich spodziewać.

Biedni Murzyni opuścili jednak salę jeszcze przed przemówieniem Johna Watkina, gdy tylko ich usługi stały się zbyteczne. Przykucnęli na dworze, tworząc krąg wokół rozpalonego ogniska i uraczywszy się mięsem pozostałym z uczyty mieli właśnie rozpocząć koncert na modłę swego kraju.

Ludzie ci nie rozumieli nawet dokładnie, czego od nich chciano, kiedy zapędzono ich z powrotem do domu i obszukano ich skąpą odzież. Zrozumieli tylko, że chodzi o kradzież jakiegoś cennego diamentu.

Okazało się jednak, że i te poszukiwania, tak jak poprzednie, nie odniosły żadnego skutku.

— Jeśli złodziej znajduje się pomiędzy Kaframi, co jest rzeczą pewną, to miał już sto razy czas ukryć swoją zdobycz w bezpiecznym miejscu — zauważył z dużą dozą słuszności jeden z zaproszonych.

— To oczywiste — odpowiedział komendant policji. — Jest tylko jeden sposób, aby zmusić go do przyznania się. Trzeba się mianowicie zwrócić do czarownika należącego do ich plemienia. To się czasami udaje...

— Jeśli pan pozwoli — rzekł Matakít, który był jeszcze w sali ze swymi towarzyszami — ja mogę spróbować!

Propozycja ta od razu została przyjęta i goście otoczyli Kafrów.

Następnie Matakít, któremu nieobca była rola czarodzieja, rozpoczął śledztwo. Przede wszystkim zażył parę niuchów tabaki, którą stale nosił przy sobie w rogowej tabakierce.

— Teraz odbędzie się próba witek — rzekł po tym wstępnym zabiegu.

Wyszedł na chwilę, aby z sąsiednich krzaków wybrać ze dwadzieścia prętów, które zmierzył bardzo dokładnie i przyciął tak, że były zupełnie równe — każdy z nich miał mniej więcej dwanaście cali angielskich. Po czym, zachowawszy jeden dla siebie, rozdał je Kafrom stojącym przed nim szeregiem.

— Pójdziecie teraz na kwadrans, gdzie się wam podoba — rzekł uroczystym tonem — i powrócicie, gdy tylko usłyszycie uderzenie gongu. Jeśli między wami znajduje się złodziej, witka jego będzie o trzy palce dłuższa.

Kafrowie rozeszli się; widoczne było, że ta przemowa wywarła na nich silne wrażenie; wiedzieli przy tym dobrze, że mając do czynienia z doraźnym trybem wymierzania sprawiedliwości, jaki stosowano w Griqualandzie, łatwo było trafić do aresztu i nie mając czasu na obronę, zostać jeszcze szybciej powieszonym.

Tymczasem goście, którzy z ciekawością śledzili szczegóły tej sceny, zaczęli naturalnie komentować ją, każdy na swój sposób.

— Złodziej nie będzie taki głupi, żeby wrócić, jeśli to jeden z nich — zauważył ktoś.

— No, to właśnie w ten sposób się zdradzi — odpowiedział inny.

— Ba, będzie sprytniejszy od Matakíta i obetnie kawałek swej witki, żeby na wszelki wypadek zapobiec temu wydłużeniu, którego się obawia.

Tymczasem piętnaście minut upłynęło i Matakít uderzył silnie w gong wzywając swych podsądnych. Wrócili wszyscy, co do jednego, ustawili się przed nim szeregiem i oddali mu witki.

Matakít zebrał je w wiązkę i stwierdził, że są zupełnie jednakowej długości. Już chciał je odłożyć i oświadczyć, że próba wypadła na korzyść jego krajan, gdy przyszło mu na myśl porównać pręty z tym, który zatrzymał dla siebie.

Wszystkie były od niego o trzy palce krótsze.

Biedni Kafrowie uważali, że przezorniej będzie zabezpieczyć się z góry przed wydłużeniem witki, które według ich przesądnych wierzeń było rzeczą zupełnie możliwą. Nie dowodziło to zresztą

całkowicie spokojnego sumienia;-zapewne w ciągu dnia każdy z nich ukradł już jakiś diament. Ogólny wybuch śmiechu powitał stwierdzenie tego nieoczekiwanego rezultatu. Matakít spuścił oczy i wydawał się w najwyższym stopniu upokorzony, że sposób, który często bywał skutecznie stosowany w jego *kraalu*, tutaj, w cywilizowanym świecie, okazał się całkowicie pozbawiony wartości.

— Proszę pana, nie pozostaje nam nic innego, jak stwierdzić naszą bezsilność! — rzekł wtedy komendant policji kłaniając się przed panem Watkinsem, który cały czas nie ruszył się ze swego fotela, pogrążony w rozpacz. — Może będziemy mieli więcej szczęścia jutro, gdy obiecamy wysoką nagrodę temu, kto naprowadzi nas na ślad złodzieja.

— Na ślad złodzieja?! — krzyknął Hannibal Pantalacci. — A dlaczego nie byłby nim właśnie ten, któremu powierzyliście sąd nad jego towarzyszami?

— O kim pan mówi? — spytał komendant.

— No, o tym Matakicie, co grając rolę czarodzieja liczył na to, że odwróci od siebie wszelkie podejrzenia!

Gdyby ktoś w tej chwili spojrział na Matakita, zauważyłby, że Kafr skrzywił się dziwnie i szybko wymknąwszy się z sali, pobiegł w stronę swej chaty.

— Tak — powtórzył Pantalacci. — On był wśród Murzynów, którzy usługiwali przy stole! To spryciarz, oszust, którego pan Méré nie wiadomo dlaczego sobie upodobał!

— Matakít jest uczciwy, ręczę za niego! — zawołała panna Watkins, gotowa bronić służącego Cypriana.

— A ty co o tym wiesz? — ofuknął ją John Watkins. — Tak! Bardzo możliwe, że to on skradł „Gwiazdę Południa”.

— Nie może być daleko stąd — odparł komendant. — Za chwilę zrewidujemy go. Jeśli brylant znajdzie się przy nim, dostanie tyle kijów, ile karatów waży ten kamień, i jeśli potem nie umrze, to powiesimy go po czterysta trzydziestym drugim uderzeniu!

Panna Watkins drżała z przerażenia. Wszyscy ci na pół dzicy ludzie przyklasnęli ohydnemu wyrokowi, wydanemu przez komendanta policji. Jakże powstrzymać te brutalne natury, pozbawione sumienia i litości?

W chwilę potem pan Watkins i jego goście byli już przed chatą Matakita. Drzwi do niej zostały wyważone. Nikogo tam jednak nie zastano i na próżno czekano na Kafa przez całą resztę nocy. Nazajutrz rano nie powrócił również i trzeba było ostatecznie stwierdzić, że opuścił Vandergaart-Kopje.

ROZDZIAŁ XII

PRZYGOTOWANIA DO WYJAZDU

Nazajutrz z rana, kiedy Cyprian Méré dowiedział się, co zaszło poprzedniego dnia na bankiecie, pierwszym jego odruchem było zaprotestować przeciw ciężkiemu oskarżeniu, które padło na jego domownika. Nie mógł uwierzyć, aby Matakít mógł popełnić tę kradzież, i pod tym względem zgadzał się całkowicie z Alicją. Prawdę mówiąc, był raczej skłonny posądzać Hannibala Pantalacciego, pana Friedla, Nathana lub każdego innego z tych ludzi, którzy wydawali mu się mocno podejrzani. Było jednak rzeczą mało prawdopodobną, aby ktoś z Europejczyków dopuścił się tego przestępstwa. Dla wszystkich nie znających pochodzenia „Gwiazdy Południa” kamień ten był diamentem naturalnym i, co za tym idzie, wartości tak olbrzymiej, iż niełatwo dałby się spieniężyć.

„A jednak — powtarzał w duchu Cyprian — to niemożliwe, żeby to zrobił Matakít!”

Ale wtedy przypomniały mu się przykrości w związku z drobnymi kradzieżami, które popełniał młody Kafr u niego w domu. Zresztą świadczyła przeciwko niemu jego obecność na sali w tym czasie, kiedy brylant ulotnił się jak pod wpływem czarów; po drugie, ta dziwna okoliczność, że w chwilę później nie znaleziono go już w chacie; wreszcie jego zupełnie niedwuznaczne zniknięcie. Nie ulegało bowiem żadnej wątpliwości, że Matakít opuścił te okolice.

Istotnie, Cyprian na próżno czekał na jego powrót, nie mogąc pogodzić się z myślą o winie swego sługi; ale Matakít się nie zjawił. Okazało się nawet, że z chaty zniknął worek zawierający jego oszczędności oraz trochę przedmiotów i narzędzi niezbędnych dla kogoś, kto wybiera się na wędrówkę po bezludnych prawie okolicach południowej Afryki. Nie można było wątpić w fakty tak oczywiste.

Okolo dziesiątej młody inżynier, zasmucony znacznie bardziej postępkiem Matakíta niż stratą brylantu, udał się na farmę Joh na Watkinsa. Zastał tam konferujących z gospodarzem Pantalacciego, Jamesa Hiltona i Friedla. W chwili gdy stanął w progu, Alicja, która zauważyła jego nadejście, zjawiała się także w bawialni, gdzie ojciec jej hałaśliwie dyskutował ze swymi trzema nieodłącznymi towarzyszami. Sprzeczali się, co należy przedsięwziąć, aby odzyskać skradziony diament.

— Niech go ścigają, tego Matakíta! — krzyczał John Watkins, rozwścieczony do ostatnich granic. — Niech go złapią i jeśli diamentu przy nim nie będzie, niech mu rozplatają brzuch, aby się przekonać, czy czasem nie połknął kamienia! Trzeba przeszukać wnętrze temu draniowi!

— Ależ, proszę pana — rzekł Cyprian żartobliwym tonem, który bynajmniej nie spodobał się farmerowi — żeby połknąć kamień tej wielkości, Matakít musiałby mieć strusi żołądek!

— A czy żołądek Kafra nie jest zdolny do wszystkiego, panie Méré? — odpalił John Watkins. — Pan, zdaje się, uważa, że jest to odpowiednia chwila i odpowiedni temat do żartów...

— Ja nie żartuję, panie Watkins — odpowiedział Cyprian bardzo poważnie. — Ale jeśli żałuję tego brylantu, to tylko dlatego, że pan pozwolił mi go ofiarować panie Alicji...

— I jestem panu za niego bardzo wdzięczna, panie Cyprianie — wtrąciła dziewczyna. — Tak jakbym go jeszcze miała w swym posiadaniu.

— Oto są mózgi kobiece! — wykrzyknął farmer. — Jest tak wdzięczna, jakby posiadała jeszcze ten brylant, który nie ma sobie równego na świecie!

— Istotnie, to już nie jest zupełnie to samo! — zauważył James Hilton.

— Och, zupełnie nie to samo — dodał Friedel.

— Przeciwnie, to jest zupełnie to samo — odpowiedział Cyprian — zważywszy, że skoro

wyprodukowałem ten kamień, potrafię wyprodukować jeszcze i drugi!

— O, panie inżynierze — rzekł Hannibal Pantalacci tonem, w którym brzmiała wyraźna groźba — sądzę, że lepiej by było, gdyby pan nie powtarzał swego doświadczenia... lepiej dla Griqualandu... i dla pana również...

— Doprawdy? — odparł Cyprian. — Sądzę, że w tej sprawie nie potrzebuję zwracać się o pozwolenie do pana.

— Ech! Macie też nad czym dyskutować w takiej chwili! — krzyknął pan Watkins. — Czy aby pan Méré jest pewien, że udałoby mu się nowa próba? Czy drugi diament pochodzący z jego pracowni miałby ten sam kolor i tę samą wagę, a co za tym idzie, i tę samą wartość co pierwszy? Czy nasz inżynier mógłby przynajmniej zaręczyć, że zdoła wyprodukować kamień nawet o wartości znacznie niższej? Czy odważyłby się twierdzić, że w tej pierwszej udanej próbie przypadek nie odegrał wielkiej roli?

Słowa Johna Watkina były zbyt rozsądne na to, aby młody inżynier mógł je pominąć nie zastanowiwszy się nad nimi; odpowiadały zresztą wielu jego dawnym wątpliwościom. Doświadczenie jego tłumaczyły jasno, niewątpliwie, zdobycze chemii współczesnej, ale czyż istotnie przypadek nie odegrał znacznej roli w tym pierwszym sukcesie? I gdyby powtórzył doświadczenie, czy mógł być pewien, że uda mu się po raz drugi? W tych warunkach należało więc za wszelką cenę schwytać złodzieja i — co było dużo ważniejsze — odzyskać skradziony przedmiot.

— A tymczasem czy nie znaleziono żadnego śladu Matakita? — spytał John Watkins.

— Żadnego — odpowiedział Cyprian.

— Czy przeszukano cały obszar dokoła obozu?

— Tak — odpowiedział Friedel — i to bardzo dokładnie. Ten gałgan ulotnił się zapewne jeszcze nocą, a stwierdzić, dokąd się udał, jest rzeczą bardzo trudną, żeby nie powiedzieć niemożliwą.

— Czy komendant policji zrobił dokładną rewizję w jego chacie? — spytał znów farmer.

— Tak — odpowiedział Cyprian. — Ale nie znaleziono tam nic, co mogłoby naprowadzić na ślad zbiega.

— Ach! — zawołał pan Watkins. — Dałbym pięćset, a nawet tysiąc funtów, żeby go tylko przyłapali!

— Rozumiem pana, panie Watkins — rzekł Hannibal Pantalacci. — Ale obawiam się, że nigdy nie odnajdziemy ani pańskiego brylantu, ani tego, kto go sobie przywłaszczył. — A to dlaczego?

— Dlatego, że gdy raz wzięł nogi za pas, to nie będzie taki głupi, żeby się po drodze zatrzymywać. Przeprowi się przez Limpopo, zaszyje gdzieś w puszczy, dojdzie do Zambezi albo do jeziora Tanganika, może aż do Buszmenów!

Czy ten spryciarz — mówiąc tak — szczerze wyrażał swoje myśli? Czy raczej zależało mu na tym, aby nie puszczono się w pogoń za Matakitem i aby on sam mógł to uczynić? Nad tym właśnie, obserwując go, zastanawiał się Cyprian. Ale pan Watkins nie był człowiekiem, który zrezygnowałby z przedsięwzięcia dlatego, że wydaje mu się ono zbyt trudne. Był gotów rzeczywiście poświęcić cały swój majątek, aby tylko odzyskać niezrównany kamień, i jego niecierpliwe, pełne wściekłości oczy wpijały się poprzez otwarte okno w zielone brzegi rzeki Vaal, jak gdyby miał nadzieję wypatrzeć zbiega na skraju lasu.

— Nie! — krzyknął wreszcie. — Tak być nie może! Muszę odzyskać mój brylant! Trzeba złapać tego drania! Ach, gdyby nie moja podagra, nie potrwałoby to długo, ręczę!

— Ojczy... — zaczęła Alicja chcąc go uspokoić.

— No, kto się tego podejmie? — zawołał John Watkins tocząc dokoła, spojrzeniem. — Kto chce pogonić za Kafrem? Nagroda będzie odpowiednia, daję na to słowo!

A ponieważ nikt się nie odzywał, dorzucił:

— Moi panowie, jest tu was czterech młodych ludzi ubiegających się o rękę mojej córki. No więc złapcie mi tego człowieka razem z moim diamentem (mówił teraz „mój diament”), a jakem Watkins, Alicję dostanie ten, kto odda mi kamień!

— Zgoda! — krzyknął James Hilton. — Jadę! — oświadczył Friedel.

— Któż by nie próbował zdobyć takiej nagrody? — szepnął Hannibal Pantalacci z fałszywym uśmiechem.

Alicja mocno poczerwieniała; czuła się głęboko upokorzona, że ojciec uczynił z niej stawkę w tej grze, i to w obecności młodego inżyniera. Na próżno starała się ukryć zmieszanie.

— Proszę pani — rzekł Cyprian zniżając głos i pochylając się przed nią z szacunkiem — i ja chciałbym stanąć do współzawodnictwa, ale czyż mogę to uczynić bez pani zezwolenia?

— Daję je panu, i to z najlepszymi życzeniami, panie Cyprianie — odpowiedziała gorąco Alicja.

— Więc jestem gotów iść choćby na koniec świata! — zawołał Cyprian zwracając się do Johna Watkina.

— Słowo daję, nie jest pan zapewne daleki od prawdy — rzekł Hannibal Pantalacci. — Myślę, że Matakitt dobrze nas przetrenuje! Sądząc po tempie, w jakim musiał uciekać, będzie jutro w Potchefstrom i dotrze do północnych granic kraju, zanim zdążymy opuścić nasze mieszkania!

— A kto nam broni wyruszyć dziś jeszcze... zaraz? — spytał Cyprian.

— Och, na pewno nie ja — odparł Pantalacci. — Niech pan jedzie, jeśli ma pan ochotę! Ale co do mnie, nie wybiorę się bez odpowiedniego zaopatrzenia. Porządny wóz z jakim tuzinem pociągowych wołów i dwa konie pod siodło to, moim zdaniem, minimum koniecznego ekwipunku w czasie ekspedycji, jaką przewiduję! A to wszystko można znaleźć dopiero w Potchefstrom!

Raz jeszcze: czy Hannibal Pantalacci mówił szczerze, czy też chodziło mu tylko o odstręczenie rywali? Trudno byłoby odpowiedzieć na to z całą pewnością. Natomiast było rzeczą oczywistą, że miał całkowitą rację. Bez takich środków lokomocji, bez takiego zabezpieczenia byłoby szaleństwem zapuszczać się w północne okolice Grinqualandu. Jednakże wóz zaprzężony w woły — Cyprian wiedział o tym dobrze — kosztował osiem do dziesięciu tysięcy franków co najmniej, gdy on tymczasem nie miał nawet całych czterech tysięcy!

— Mam pewien pomysł — rzekł James Hilton, który, jako „Afrikaner” szkockiego pochodzenia, skłaniał się mocno ku oszczędności. — Dlaczego nie mielibyśmy zorganizować tej ekspedycji we czterech, do spółki? Szansę każdego z nas pozostaną jednakowe, a koszty będą podzielone.

— Wydaje mi się to słuszne — rzekł Friedel.

— Zgadzam się — odpowiedział bez wahania Cyprian.

— W takim razie — zauważył Hannibal Pantalacci — trzeba ustalić, że każdy z nas zachowa niezależność i będzie mógł odłączyć się od towarzyszy, w razie gdyby uznał, że jest to potrzebne dla schwywania zbiega.

— To się samo przez się rozumie! — odpowiedział James Hilton. — Składamy się na kupno wozu, wołów i zapasów, ale każdy będzie się mógł odłączyć, jeśli to uzna za stosowne. I tym lepiej dla tego, kto pierwszy osiągnie cel!

— Zgoda! — odpowiedzieli Cyprian, Hannibal Pantalacci -i Friedel.

— Kiedy wyruszą? — spytał John Watkins, dla którego taka kombinacja zwiększała czterokrotnie szansę odzyskania brylantu.

— Jutro, dyliżansem do Potchefstrom — odpowiedział Friedel. — Nie ma mowy, żeby dostać się tam wcześniej w inny sposób.

— Zgoda!

Jednak Alicja wzięła Cypriana na stronę i spytała go, czy istotnie sądzi, że Matakitek jest sprawcą kradzieży.

— Proszę pani — odpowiedział młody inżynier — muszę, niestety, przyznać, że wszystkie pozory są przeciwko niemu, skoro uciekł! Ale wydaje mi się pewne, że ten Pantalacci też wygląda na kogoś, kto mógłby niejedno powiedzieć o zniknięciu brylantu. Cóż to za obwieś! Pięknego mam współnika, nie ma co mówić! Ale cóż! Trudna rada! Lepiej będzie ostatecznie mieć go pod ręką i czuwać nad każdym jego krokiem niż puścić go na samodzielne poszukiwania!

Czterej konkurenci pożegnali się wkrótce z Johnem Watkinsem i jego córką. Jak zwykle w podobnych okolicznościach, pożegnanie było krótkie i ograniczyło się do wymiany uścisku dłoni. Co mogli powiedzieć sobie rywale, którzy wyruszyli razem, wysyłając się nawzajem do wszystkich diabłów?

Wróciwszy do siebie Cyprian zastał Li i Bardika. Młody Kafr, którego zgodził do służby, od początku okazywał wiele gorli wości. Obaj z Chińczykiem gawędzili na progu. Inżynier powiadomił ich, że wyrusza w towarzystwie Friedla, Jamesa Hiltona i Pantalacciego w pogoń za Matakitem.

Li i Bardik zamienili ze sobą spojrzenie, jedno jedyne spojrzenie, po czym podeszli do Cypriana i nic nie mówiąc, co myślą o zbiegu, zawołali jednocześnie:

— Ojczulku! Zabierz nas ze sobą, bardzo o to prosimy!

— Zabrać was ze sobą? A to po co?

— Żeby ci zaparzać kawę i gotować jedzenie — rzekł Bardik.

— Żeby ci prać bieliznę — dodał Li.

— I żeby nie dać cię krzywdzić złym ludziom — podjęli znów chórem, jak gdyby się umówili.

Cyprian spojrział na nich z wdzięcznością.

— Mech i tak będzie — odpowiedział. — Zabieram was obu ze sobą, skoro sobie tego życycie.

Po czym zaszedł jeszcze do Jakobusa Vandergaarta, aby się z nim pożegnać. Staruszek, nie pochwalając ani też nie ganiać Cypriana za przyłączenie się do ekspedycji, uściskał mu serdecznie dłoń i życzył szczęśliwej podróży. Nazajutrz z rana, udając się wraz z dwoma wiernymi towarzyszami do obozu Vandergaart, by tam zająć miejsce w dyliżansie do Potchefsstrom, młody inżynier obrócił wzrok w stronę farmy, pogrążonej jeszcze we śnie.

Czy było to złudzenie? Wydało mu się, że w jednym z okien, za muślinową, białą firanką, dojrzał zwiewną postać, która, w chwili gdy się oddalał, posłała mu ręką ostatni znak pożegnania.

ROZDZIAŁ XIII

PRZEZ STEPY TRANSWALU

Dojechawszy do Potchefstrom czterej podróżni dowiedzieli się, że jakiś młody Kafr, którego rysopis odpowiadał osobie Matakita, przechodził poprzedniego dnia przez miasto. Była to szczęśliwa okoliczność, mogąca zapewnić powodzenie ścigają cym. Wyprawa zapowiadała się jednak na bardzo długą, gdyż zbieg zaopatrzył się tu podobno w lekką bryczuszkę zaprzężoną w strusia i niełatwo go będzie dogonić. Istotnie, żadne inne zwierzę nie ma takich chodów, żadne nie jest tak wytrzymałe

i szybkie. Trzeba dodać, że pociągowe strusie są wielką rzadkością nawet w Griqualandzie, gdyż tresura ich jest nader trudna. Dlatego też Cyprian i jego towarzysze nie zdołali sprokurować sobie ani jednego, gdy tymczasem Matakita uciekał na ekwipażu zdolnym wykończyć dziesięć koni, zmienianych na każdym popasie.

Pozostawało im tylko gonić Matakita z największą szybkością, na jaką mogli się zdobyć. Zbieg miał nad nimi i tę poważną przewagę, że wyruszył o wiele wcześniej. Ale, ostatecznie, siły strusia także mają granice. Matakita będzie przecież musiał zatrzymać się, a może i w inny sposób straci trochę czasu. W najgorszym wypadku dogoni się go u kresu jego podróży.

Kiedy Cyprian zaczął się ekwipować przed zamierzoną wyprawą, powińszował sobie w duchu, że zabrał Li i Bardika. W tych okolicznościach jest rzeczą niemałej wagi umieć wybrać przedmioty naprawdę niezbędne; nic tu nie może zastąpić doświadczenia, które daje znajomość pustyni. Cyprian, mimo iż mógł się poszczycić świetną znajomością rachunku różniczkowego i całkowego, nie znał jednak najprostszyc rzeczy dotyczących życia w tym kraju, a zwłaszcza tego, co nazywają tam życiem „na treku” lub „na śladach kół”. Jego towarzysze najwidoczniej nie tylko nie mieli zamiaru wspierać go dobrymi radami, ale przeciwnie — byli skłonni wprowadzać go w błąd.

Wszystko szło jeszcze jako tako, gdy chodziło o zdobycie wozu krytego brezentem, wołów do zaprzęgu i różnych zapasów. Wspólny interes nakazywał uczynić staranny wybór i James Hilton wywiązał się z zadania znakomicie. Ale było zupełnie inaczej, gdy przyszło do spraw, które każdy musiał załatwić sam dla siebie, jak na przykład kupno konia pod wierzch. Cyprian upatrzył sobie na placu targowym bardzo ładnego, ognistego trzylatka, za którego żądano dość przystępnej ceny. Wypróbował go pod siodłem i stwierdziwszy, że jest dobrze ujeżdżony, miał już wypłacić handlarzowi żadaną sumę, kiedy Bardik odciągnął go na bok i spytał:

— Jak to, ojczulku, chcesz kupić tego konia?

— Oczywiście! Nie widziałem nigdy tak pięknego wierzchowca za tak niską cenę.

— Nie powinienes go brać, nawet gdyby ci go darmo dawano — odpowiedział młody Kafr. — Ten koń nie wytrzyma nawet tygodnia podróży przez Transwal.

— Co chcesz przez to powiedzieć? Czy bawisz się ze mną w jakieś wróżby?

— Nie, ojczulku, ale Bardik zna dobrze pustynię i uprzedza cię, że ten koń nie jest zasolony.

— Nie jest zasolony? Czy chcesz, żebym kupił konia w konserwach?

— Nie, ojczulku, ale to znaczy, że ten koń nie przechodził jeszcze tutejszej choroby. Na pewno wkrótce jej dostanie i gdyby nawet z niej wyszedł, nie miałbyś z niego pożytku.

— Ach, tak? — rzekł Cyprian, którego zastanowiła przestroga Bardika. — A na czym polega ta choroba?

— To jest silna gorączka połączona z kaszlem — odpowiedział Bardik. — Należy kupować tylko

takie konie, które już przez to przeszły, co się łatwo poznaje po ich wyglądzie. Bardzo rzadko się zdarza, żeby chorowały po raz drugi.

Wobec takiej ewentualności nie było się nad czym namyślać. Cyprian przerwał momentalnie układy z kupcem i poszedł zasięgnąć informacji. Wszyscy potwierdzili to, co powiedział Bardik. Były to rzeczy tak znane tutaj, że nawet się o nich nie mówiło.

Uniknąwszy w ten sposób przykrych komplikacji, jakie mógł wywołać jego brak doświadczenia, młody inżynier stał się znacznie ostrożniejszy i zwrócił się o pomoc do miejscowego weterynarza.

Dzięki jego fachowym radom Cyprian w ciągu paru godzin znalazł wierzchowca nadającego się doskonale do tego rodzaju podróży. Był to stary, siwy i chudy koń, po prostu skóra i kości, który w dodatku miał złamany ogon. Ale wystarczyło na niego spojrzeć, aby się przekonać, że na pewno jest już „zasolony”, i chociaż w kłusie trzął porządnie, wart był niewątpliwie więcej, niż zapowiadał jego wygląd. Templar — tak brzmiało jego imię — cieszył się w mieście opinią niezwykle wytrzymałego wierzchowca. Bardik, obejrzawszy go, okazał się zupełnie zadowolony, a miał chyba prawo wypowiedać się na ten temat Młodemu Kafrowi powierzono nadzór nad wozem i powożenie wołami, w czym miał mu pomagać jego towarzysz Li.

Odpadł więc kłopot z szukaniem wierzchowców dla obu służących, co zresztą byłoby dla Cypriana zupełnie niemożliwe, zważywszy sumę, jaką musiał wyłożyć za swego własnego konia.

Sprawa broni była również dość skomplikowana. Cyprian wybrał troskliwie dwie strzelby — znakomity sztucer systemu Martini-Henry i karabin Remingtona. Broń ta nie olśniewała wytwornym wykonaniem, ale była precyzyjna i łatwa do ładowania. Jednakże, gdyby nie Chińczyk, nigdy nie przyszedłoby Cyprianowi do głowy zakupić większej ilości eksplodujących kul. Zdawało mu się, że wystarczy w zupełności zabrać z sobą pięćset do sześciuset ładunków z prochem i śrutem; był bardzo zdziwiony, kiedy się dowiedział, że zwykła ostrożność, w tym kraju dzikich zwierząt i niemniej groźnych tubylców, wymagała zaopatrzenia każdej strzelby w cztery tysiące naboju co najmniej.

Cyprian musiał też kupić dwa rewolwery z eksplodującymi kulami i wreszcie uzupełnił swe uzbrojenie wspaniałym nożem myśliwskim, który, nie znajdując nabywcy, tkwił od pięciu lat na wystawie rusznikarza w Potchefstroom.

Na kupno noża nalegał w szczególności Li, twierdząc, że okaże się on z pewnością niezbędny. Zresztą sama staranność, z jaką zajął się ostrzeniem i czyszczeniem krótkiego i szerokiego, przypominającego bagniet ostrza, wskazywała, że miał zaufanie do białej broni, wspólne wszystkim ludziom jego rasy. Ponadto słynna czerwona skrzynia stale towarzyszyła przezornemu Chińczykowi. Umieścił w niej, obok mnóstwa pudełek i różnych tajemniczych przyborów, ze sześćdziesiąt metrów giętkiego i cienkiego, ale mocno splecionego sznura, tak zwanej linki. Kiedy go pytano, co ma zamiar z tym robić, odpowiadał wymijająco:

— A czy to na pustyni nie trzeba rozwieszać bielizny, tak jak i gdzie indziej?

W ciągu dwunastu godzin wszystkie sprawunki zostały załatwione. Tylne części wozu stanowiła rodzaj głównego składu, gdzie mieściło się nieprzemakalne płótno, wełniane koce, naczynia kuchenne, pokaźny zapas konserw, jarzma, łańcuchy, zapasowe rzemienie. Przednia część, wyłożona słomą, miała służyć za miejsce do spania i za schron dla Cypriana i jego towarzyszy.

James Hilton bardzo dobrze wywiązał się ze swego zadania i zdawała się, że trafnie wybrał to wszystko, co mogło być potrzebne uczestnikom wyprawy. Był zresztą dumny ze swego doświadczenia nabytego w koloniach i raczej z chęci zaimponowania towarzyszom niż przez poczucie koleżeństwa skłonny był popisywać się tym, co wiedział o Veldzie.

Ale w takich razach Hannibal Pantalacci zawsze mu przerywał:

— Po co ma się pan dzielić swoimi wiadomościami z tym Francuzikiem? — mówił półgłosem.

— Czy panu zależy na tym, żeby wygrał wyścig? Na pańskim miejscu zachowałbym to, co wiem, dla siebie i nikomu nie pisałbym o tym słowa.

A James Hilton odpowiadał pełen szczerego podziwu:

— To bardzo słuszne, co pan mówi... Bardzo słuszne! Nigdy by mi to do głowy nie przyszło.

Cyprian za to nie omieszkął lojalnie uprzedzić Friedla o tym, czego dowiedział się w sprawie miejscowych koni, ale natknął się na drażniącą pewnośc siebie i bezgraniczny upór Niemca, który nawet słyszeć o niczym nie chciał i twierdził, że sam wie dobrze, co ma robić. Nabył więc bardzo młodego i niezwykle ognistego rumaka — tego właśnie, którego odrzucił Cyprian — i zaczął się z zapalem zaopatrywać w sprzęt rybacki, twierdząc, że dziczyzna szybko im się sprzykrzy.

Wreszcie, po ukończeniu tych przygotowań, można było wy ruszyć w drogę i karawana ustawiła się w kolejności, jaką podajemy niżej.

Wóz, zaprzężony w dwanaście rudych i czarnych wołów, szedł pierwszy pod naczelnym dowództwem Bardika, który to kroczył koło potężnych zwierząt, popędzając je ostro zakończonym kijem, to znów, chcąc odpocząć, wskakiwał na przód wozu. Tam, rozsiadłszy się na kozle, kołysał się beztrosko na wybojach o nic więcej nie dbając; wydawał się bardzo zadowolony z tego sposobu podróżowania. Czterej jeźdźcy postępowali w jednym szeregu za wozem, z wyjątkiem momentów, kiedy jeden z nich oddalał się, aby upolować kuropatkę lub przeprowadzić jakiś rekonesans.

Po krótkiej naradzie zdecydowano, że należy kierować się prosto w stronę źródeł rzeki Limpopo. Wszystkie informacje wskazywały na to, że Matakít będzie trzymał się tej drogi. Istotnie, nie mógł wybrać innej, jeśli miał zamiar jak najszybciej oddalić się od posiadłości brytyjskich. Przewaga, jaką Kafr miał nad tymi, którzy go ścigali, polegała na doskonałej znajomości terenu i na lekkości jego pojazdu. Poza tym wiedział, oczywiście, dokąd zmierza, i wybierał drogę najkrótszą, mógł też być pewien, że dzięki swym stosunkom na północy kraju znajdzie wszędzie pomoc i opiekę, wyżywienie i przytułek, a nawet sprzymierzeńców, jeśli zajdzie potrzeba. A czy można było zaręczyć, że Matakít nie skorzysta ze swego wpływu na tubylców, aby wystąpić przeciwko prześladowcom i napaść na nich z bronią w ręku? Cyprian i jego towarzysze rozumieli więc coraz lepiej konieczność trzymania się zwartą grupą i wzajemnego wspomaganie się, jeśli jeden z nich miał zebrać owoce trudnej ekspedycji.

Transwał, który zamierzali przebyć z południa na północ, jest rozległą, liczącą co najmniej trzydzieści tysięcy hektarów, krainą Afryki południowej, rozciągającą się pomiędzy rzekami Vaal i Limpopo, na zachód od Gór Smoczyc i angielskiej kolonii Natalu, kraju Zulusów i posiadłości portugalskich.

Obszar ten — całkowicie skolonizowany przez Boerów, dawnych obywateli holenderskich z Kraju Przylądkowego, którzy osadzili tu w przeciągu piętnastu czy dwudziestu lat ludność rolniczą, liczącą ponad sto tysięcy białych — obudził naturalnie chciwość Anglików i, zaanektowany przez Wielką Brytanię w roku 1877, został przyłączony do Kolonii Przylądkowej. Ale nieustanne bunty Boerów, którzy nie mogą się pogodzić z utratą niepodległości, stawiają jeszcze pod znakiem zapytania dalsze losy tego pięknego kraju .

Podróż odbywała się bez przygód. Niemal w każdej farmie, gdzie zatrzymywali się na noc, natrafiali na jakieś wieści o Matakicie. Wszędzie widziano, jak mknął szybko w wózku zaprzężonym w strusia; z początku wyprzedzał ich o trzy lub cztery dni, później o pięć lub sześć, wreszcie o siedem i osiem. Nie ulegało wątpliwości, że ekspedycja jest na jego tropie, ale jasne było również i to, że Kafr zyskiwał stale na czasie w stosunku do tych, którzy go ścigali. Niemniej jednak czterej młodzi ludzie przekonani byli, że uda im się go dogonić. Zbieg będzie wreszcie musiał się zatrzymać. Ujęcie go było więc tylko kwestią czasu.

Dotarli tak etapami aż do Bush-Veldu. Niebawem farmy stały się rzadsze i wreszcie zniknęły zupełnie. Ekspedycja znalazła się na krańcach cywilizowanego świata. Od tego miejsca trzeba już było co wieczór rozbijać obóz i rozpalać wielkie ognisko, wokół którego ludzie i zwierzęta układali się do snu. Oczywiście ktoś zawsze pozostawał na straży w pobliżu.

Krajobraz stopniowo stawał się coraz dziksz. Równiny pokryte żółtawym piaskiem, gęste, cierniste zarośla, od czasu do czasu strumienie wijące się między bagnami nastąpiły po zielonych dolinach Banken-Veldu. Niekiedy trzeba było nakładać drogi, aby ominąć istne lasy tak zwanych *thorn trees*, czyli kolczastych drzew. Są to właściwie krzewy liczące trzy do pięciu metrów wysokości, których liczne, niemal poziomo ułożone gałęzie pokrywają czterocalowe ciernie, twarde i ostre jak szty lity. Ta najdalsza część Bush-Veldu — zwana ogólnie Lion-Vel-dem, czyli „Veldem Lwów” — nie zdawała się usprawiedliwiać tej groźnej nazwy, gdyż po trzech dniach podróży nie zauważono nigdzie ani obecności, ani nawet śladów tych dzikich zwierząt.

„To zapewne nazwa tradycyjna — myślał Cyprian. — Lwy musiały się przenieść dalej, w głąb pustyni”.

Ale kiedy powtórzył swoje domysły Hiltonowi, ten zaczął się śmiać.

— Sądzi pan, że nie ma tu lwów? — spytał. — To tylko dlatego, że nie umie ich pan dojrzeć.

— Rzeczywiście! Nie dojrzeć lwa pośrodku gołej równiny! — zawołał Cyprian z ironią.

— No, więc założę się z panem o dziesięć funtów, że nim minie godzina, pokażę panu lwa, którego pan nie zauważył! — rzekł Hilton.

— Nie zakładam się nigdy, z zasady — odpowiedział Cyprian — ale chętnie zrobię to doświadczenie.

Jechali dalej jakieś dwadzieścia pięć czy trzydzieści minut i nikt już nie myślał o lwach, kiedy nagle Hilton wykrzyknął:

— Panowie, popatrzcie na to mrowisko! Tam, po prawej stronie!

— Wielka mi nowina! — odpowiedział Friedel. — Nic innego nie oglądamy od kilku dni.

Istotnie, nie ma rzeczy częściej spotykanej w Bush-Veldzie od tych pagórków z żółtej ziemi, wznoszonych przez niezliczone ilości mrówek; wraz z rzadko rozsianymi krzakami i grupami wynędzniałej mimozy są one jedynym urozmaiceniem tych monottonnych równin.

James Hilton zaśmiał się z cicha.

— Panie Méré — rzekł — jeżeli chce pan przejechać się galopem w stronę tego mrowiska, tam gdzie wskazuję palcem, to obiecuję, że zobaczy pan to, co pragnie pan zobaczyć! Tylko niech się pan zanadto nie przybliży, bo mogłoby się to źle skończyć.

Cyprian spał konia ostrogami i skierował się w stronę mniemanego mrowiska.

— Siedzi tam cała rodzina lwów — powiedział Friedel, gdy tylko Cyprian się oddalił. — Na dziesięć takich żółtawych kopców jeden jest zwykle czymś zupełnie innym niż mrowisko.

— Do diabła! — wykrzyknął Pantalacci. — I po co go pan uprzedzał, żeby się zanadto nie zbliżał?

Ale zauważywszy, że Bardik i Li go słuchają, dodał obracając swoje powiedzenie w żart:

— Francuzik dopiero miałby pietra! Byłoby się z czego pośmiać.

Pantalacci mylił się jednak. Cyprian nie był człowiekiem łatwo dostającym „pietra”, jak się tamten wyraził. O jakie dwieście kroków od celu, który mu wskazano, zrozumiał, z jakim to groźnym mrowiskiem ma do czynienia. Był to olbrzymi lew, lwica i trzy lwiatka przycupnięte kołem na ziemi jak koty i śpiące najspokojniej w blasku słońca.

Na odgłos kopyt Templara lew otworzył oczy, podniósł olbrzymi łeb i ziewnął odsłaniając dwa rzędy straszliwych zębów i czeluść paszczy, w której dziesięcioletnie dziecko mogłoby zniknąć w

całości. Po czym popatrzył na jeźdźca stojącego o jakie dwadzieścia kroków przed nim.

Na szczęście okrutny zwierz nie był głodny; w przeciwnym wypadku nie pozostałby tak obojętny.

Cyprian, z ręką na karabinie, czekał dwie lub trzy minuty, co raczy uczynić jego królewska mość. Ale, gdy zobaczył, że lew nie jest usposobiony zaczepnie, żal mu się zrobiło tej interesującej rodziny i postanowił nie zakłócać jej szczęścia. Zawrócił więc konia i odjechał do swych towarzyszy. Wszyscy, zmuszeni uznać jego zimną krew i odwagę, powitali go owacyjnie. ,

— Byłbym przegrał zakład, panie Hilton — rzekł Cyprian z prostotą.

Tego samego wieczora ekspedycja dotarła do prawego brzegu Limpopo i zatrzymała się tam na noc. Friedel, mimo przestróg Hiltona, uparł się, żeby nałowić trochę ryb i usmażyć je na kolację.

— To bardzo niezdrowo — mówił Hilton. — Trzeba panu wiedzieć, że w Bush-Veldzie nie należy nigdy siedzieć nad wodą po zachodzie słońca...

— No! No! Nie takie rzeczy widziałem! — odpowiedział Niemiec z właściwym sobie uporem.

— Ech! — wykrzyknął Pantalacci. — Cóż to może komu zaszkodzić, jeśli posiedzi sobie nad wodą godzinę albo dwie? Czy to mnie się nie zdarzało stać nieraz pół dnia po pas w wodzie, kiedy polowałem na kaczki?

— To zupełnie co innego — nie ustępował Hilton chcąc jednak przekonać Friedla.

— Zawracanie głowy! — odpowiedział Pantalacci. — Kochany panie Hilton, lepiej by pan poszukał puszek z tartym serem do makaronu. Niech pan da spokój koledze, to nałapie nam ryb na kolację! Przynajmniej będzie jakieś urozmaicenie.

Friedel poszedł nad rzekę, nie chcąc już o niczym słyszeć, i tak się zasiedział nad wędką, że była już ciemna noc, gdy zjawił się z powrotem w obozie.

Zapalony rybak z apetytem zjadł kolację i, tak jak wszystkim, szczególnie smakowały mu ryby, które sam złowił. Ale gdy położył się w wozie obok towarzyszy, zaczął się skarżyć na silne dreszcze.

Nazajutrz o świcie, kiedy wszyscy przygotowywali się do odjazdu, Friedel dostał silnej gorączki i nie był w stanie dosiąść konia. Prosił jednak, by nie przerywano podróży, zapewniając, że będzie mu doskonale na słomie w głębi wozu. Zastosowano się do jego życzenia. W południe stracił przytomność, a o trzeciej już nie żył.

Padł ofiarą złośliwej febry, która zabija ludzi z piorunującą szybkością.

W obliczu tego nagłego zgonu Cyprian nie mógł powstrzymać się od myśli, że Hannibal Pantalacci, zły doradca, ponosi tu bardzo ciężką odpowiedzialność. Ale zdawało się, że prócz niego nikomu to do głowy nie przyszło.

— Widzi pan, miałem rację mówiąc, że nie trzeba włączyć się nad wodą po nocy — skonstatował tylko filozoficznie James Hilton.

Zatrzymano się na krótko, aby pogrzebać ciało, którego nie można było zostawić na pastwę dzikich zwierząt.

Było to ciało rywala, prawie wroga, Cyprian jednak poczuł się głęboko wzruszony oddając mu tę ostatnią przysługę. Śmierć, zawsze pełna dostojeństwa i powagi, zdawała się tutaj okrywać nowym, zapożyczonym od pustyni majestatem. Stojąc samotnie w obliczu przyrody, człowiek lepiej zdaje sobie sprawę, że jest to kres nieunikniony. Z dala od rodziny, z dala od wszystkich drogich mu istot, ściga je myślą pełen melancholii. Mówi sobie, że może i on jutro tak samo padnie na tej olbrzymiej równinie i nie podniesie się więcej; że zostanie pogrzebany pod garścią piachu, nakryty prostym kamieniem i że do tego ostatniego przybytku nie będzie odprowadzała go ze łzami ani siostra, ani matka, ani przyjaciel. Przenosi więc na własną osobę trochę litości, którą wzbudził w nim los towarzysza, i wydaje mu się, że część samego siebie zamyka w tym grobie.

Nazajutrz poponurym obrzędzie zachorował koń Friedla, który szedł uwiązany do wozu. Trzeba

go było porzucić. Biedne zwierzę niedługo przeżyło swego pana.

ROZDZIAŁ XIV

NA PÓLNOC OD LIMPOPO

Trzeba było poświęcić trzy dni na badanie i sądowanie dna, zanim znaleziono bród na rzece Limpopo. Nie wiadomo zresztą, czyby go odkryto, gdyby kilku Kafrów z plemienia Makalakka, wałęsających się wzdłuż brzegu, nie podjęło się przeprowadzenia karawany. Ci Kafrowie to nieszczęśni Heloci, których szczep Beczuanów, uważający się za rasę wyższą, trzyma w niewolniczej zależności, zmusza do pracy bez żadnego wynagrodzenia i traktuje z okrutną bezwzględnością.

Bardik wykazał wkrótce niezwykle zdolności handlowe — z wyrafinowaną zręcznością wyciągnął od tych biedaków wyznanie, że mimo swej nędzy posiadają jednak trochę strusich piór ukrytych starannie w pobliskich zaroślach. zaproponował im od razu przeprowadzenie transakcji i umówił się z nimi na spotkanie wieczorem.

— A więc masz pieniądze, żeby im zapłacić za pióra? — spytał Cyprian trochę zdziwiony.

Bardik roześmiał się szeroko i pokazał mu garść mosiężnych guzików, które zbierał od miesiąca czy dwóch i nosił stale przy sobie w płóciennej sakiewce.

— Ależ to nie są pieniądze — odpowiedział Cyprian. — Nie mogę pozwolić, żebyś zapłacił tym biedakom kilkoma tuzinami starych guzików.

Ale nie było sposobu wytłumaczyć Bardikowi, na czym polegała nieuczciwość tej transakcji.

— Jeśli Makalakkowie przyjmą guziki w zamian za swoje pióra, to cóż może być w tym złego? Przecież pan wie, że pióra nic ich nie kosztowały. Nawet nie mają chyba prawa ich posiadać, skoro muszą je trzymać w ukryciu. A za to guzik jest rzeczą użyteczną, bardziej użyteczną od strusiego pióra, dlaczego więc nie miałbym im ofiarować tuzina albo i dwóch tuzinów guzików w zamian za taką samą ilość piór?

Wieczorem przy świetle pochodni odbyła się transakcja handlowa. Makalakkowie odczuwali widocznie zbawienną obawę, aby nabywca ich nie okpił, gdyż nie zadowolając się ogniskiem roznieconym przez białych, wetknęli w ziemię i podpalili całe snopy kukurydzy, które przynieśli ze sobą.

Wydobyli następnie swoje strusie pióra i przystąpili do oględzin guzików Bardika.

Zaczęła się momentalnie dysputa na temat przeznaczenia i wartości tych metalowych krążków, poparta gwałtowną gestykulacją i okrzykami.

Nikt nie rozumiał ani słowa z tego, co w swym narzeczu szybko mówili Murzyni, ale wystarczało widzieć ich twarze nabiegłe krwią, ich wymowne miny i szczerą pasję, aby być pewnym, że spór miał dla nich doniosłe znaczenie. Nagle namiętna dyskusja została przerwana w sposób nieoczekiwany.

Z gęstych krzaków, koło których odbywała się debata, wyszedł Murzyn wysokiego wzrostu, godnie udrapowany w nędzny płaszcz z czerwonego bawełnianego materiału, z czołem ozdobionym rodzajem diademu z baranich kieszek noszonego zazwyczaj przez beczuańskich wojowników. Drzewcem dzidy zaczął okładać Makalakków przyłapanych na gorącym uczynku niedozwolonych operacji handlowych.

— Lopepe! Lopepe! — krzyczeli nieszczęśnicy rozpraszając się w różne strony jak stado szczurów.

Ale z zarośli otaczających zewsząd obozowisko wyskoczyli nagle inni czarni wojownicy i

zacieśniając krąg wokół Makalakków zatrzymali ich w biegu.

Lopepe kazał sobie od razu oddać guziki. Obejrzał je dokładnie przy świetle pochodni z kukurydzy i włożył nie bez wyraźnego zadowolenia do swej skórzanej torby. Po czym podszedł do Bardika i wzięwszy mu z rąk strusie pióra, już przez niego nabyte, przywłaszczył je sobie tak jak i guziki.

Biali przyglądali się biernie tej scenie i nie bardzo wiedzieli, czy należy się w nią wmieszać, gdy Lopepe rozstrzygnął te wątpliwości, sam do nich podchodząc. Zatrzymał się o kilka kroków przed nimi i wygłosił władcym tonem dość długie przemówienie, zresztą najzupełniej dla nich niezrozumiałe.

Jedynie James Hilton, który znał parę słów w narzeczu Beczuanów, uchwycił ogólny sens przemowy i przetłumaczył ją swym towarzyszom. Wódz uskarżał się głównie na to, że pozwolono Bardikowi handlować z Makalakkami, nie mającymi prawa posiadania czegokolwiek na własność. Zakończył oznajmieniem, że konfiskuje towary przemycane nielegalnie, i zapytywał białych, czy nie mają nic przeciwko temu.

Między białymi zdania były podzielone. Hannibal Pantalacci proponował ustąpić chwilowo, aby nie drażnić beczuańskiego wodza. James Hilton i Cyprian, uznając dobre strony tego systemu, obawiali się jednak, że zbytńia pojednawczość w tej sprawie może zachęcić Lopepe do aroganckiego wystąpienia, a nawet — gdyby posunął się za daleko w swych pretensjach — doprowadzić nieuchronnie do bójki.

Naradzili się więc szybko półgłosem i zdecydowali, że zostawią wodzowi guziki, zażądają natomiast oddania piór.

James Hilton postarał się wytłumaczyć mu to częściowo gestami, częściowo za pomocą paru kafryjskich słów. Lopepe przybrał na razie dyplomatyczny wyraz twarzy, udając, że się waha. Ale świecące w mroku lufy europejskich strzelb szybko wpłynęły na jego decyzję i zgodził się oddać pióra.

Od tej chwili wódz, który okazał się naprawdę inteligentnym człowiekiem, stał się znacznie bardziej przystępny. Poczęstował trzech białych, a także Bardika i Li tabaką z wielkiej tabakiery i zasiadł z nimi przy ognisku. Kieliszek wódki, podany mu przez Pantalacciego, poprawił ostatecznie jego humor. Po półtoragodzinnym posiedzeniu, w czasie którego z obu stron panowało " prawie kompletne milczenie, wstał zapraszając całą karawanę do siebie na dzień następny. Zaproszenie zostało przyjęte i po wzajemnym uściśnięciu rąk, Lopepe opuścił z godnością obóz.

Wkrótce po jego odejściu wszyscy położyli się z wyjątkiem Cypriana, który owinąwszy się w koc, marzył wpatrzony w niebo. Noc była bezksiężycowa, ale lśniąca od pyłu niezliczo nych gwiazd. Młody inżynier nie zauważył nawet, że ogień wygasł.

Myślał o swoich bliskich, którzy nie domyślali się nawet, że niezwykła przygoda zagnała go w pustynię południowej Afryki; myślał o swej miłej Alicji, która o tej godzinie tak samo może patrzyła na gwiazdy, o wszystkich jednym słowem, którzy mu byli drodzy. Dając się tak unosić słodkim marzeniom, których poezję podnosiła jeszcze uroczysta cisza równiny, zaczął powoli pogrążyć się w sen, gdy nagle stukot kopyt, jakieś dziwne poruszenie, dolatujące od strony, gdzie stały woły, otrzeźwiło go tak, że w jednej chwili zerwał się na równe nogi.

Wydało mu się, że dostrzega w cieniu jakiś kształt niższy, bardziej krępy od sylwetek wołów, który zapewne był powodem całego tego zamieszania.

Nie zdając sobie dobrze sprawy, co by to być mogło, Cyprian chwycił bat, który znalazł pod ręką, i skierował się ostrożnie na miejsce postoju wołów. Nie omylił się: było tu istotnie między nimi jakieś obce zwierzę, które przerwało ich spokojny sen. Cyprian, niezupełnie rozbudzony i nie

zastanawiając się nad tym, co czyni, podniósł bat i na chybił trafił walnął w pysk intruza.

Przerażający ryk odpowiedział nagle na tę zaczepkę. Był to lew, którego młody inżynier potraktował tak, jakby chodziło

o zwykłego psiaka. Ledwie Cyprian zdołał wyciągnąć jeden z rewolwerów, wiszących u pasa, i odskoczyć w bok, zwierzę, które raz już rzucił się w jego stronę i chybił celu, skoczył ponownie na jego wyciągnięte ramię.

Cyprian poczuł, że ostre pazury zatapiają się w jego ciele,

i upadł na ziemię wraz z groźnym napastnikiem. Nagle rozległ się strzał. Ciało lwa zadrgało w ostatnim skurczu, zesztyniało i padło bez życia. Cyprian bowiem, nie tracąc zimnej krwi, przyłożył wolną ręką rewolwer do ucha potwora — kula eksplodująca roztrzaskała jego potężny łeb.

Tymczasem pozostali towarzysze, zbudzeni rykiem lwa i wystrzałem, zjawili się na polu walki. Wyciągnięto Cypriana przygniecionego ciężarem olbrzymiej bestii, obejrzano jego rany, na szczęście, dość powierzchowne, które Li opatrzył kilkoma szmatami umoczonymi w wódcę, po czym odstąpiono mu najlepsze miejsce w głębi wozu. Wkrótce wszyscy z powrotem usnęli pod strażą Bardika, który oświadczył, że będzie czuwał aż do rana.

Ledwo zaczęło się rozwidniać, kiedy głos Jamesa Hiltona wzywający ratunku oznajmił im, że zdarzył się jakiś nowy wypadek.

Hilton leżał ubrany na przodzie wozu, pod rozpiętą plandeką i śmiertelnie przerażony, nie śmiąc uczynić najłżejszego ruchu mówił:

— Waż owinał mi się wokoło prawego kolana, pod nogawką spodni. Nie ruszajcie się, bo zginę w jednej chwili, ale jednak pomyślcie, co się da zrobić.

Oczy jego rozszerzone były strachem, a twarz powlokła się trupią bladością. Na poziomie prawego kolana widać było rze czywiście pod niebieskim płótnem ubrania jakieś obce ciało, jakby linę okręconą wokół nogi. Położenie było groźne. Istotnie gdyby James Hilton wykonał najmniejszy ruch, waż niewątpliwie by go ukąsił.

Wśród ogólnej paniki i niezdecydowania Bardik postanowił działać. Wyciągnąwszy po cichu myśliwski nóż swego pana przybliżył się do Jamesa Hiltona bezszelestnym ruchem. Potem nachylając się i zbliżając oczy prawie do poziomu węża, przez parę sekund badał położenie niebezpiecznego gada. Chodziło mu

o to, by zmiarkować, gdzie znajduje się głowa. Nagle wyprostował się szybkim ruchem, ręka jego opuściła się błyskawicznie

i krótki cios stalowego ostrza spadł na kolano Jamesa Hiltona.

— Może pan zrzucić węża. Już nie żyje — rzekł Bardik ukazując wszystkie zęby w szerokim uśmiechu.

James Hilton usłuchał go machinalnie i potrząsnął nogą... Gad upadł na ziemię. Była to żmija z czarną głową, mająca zaledwie cal grubości, ale której najłżejsze ukąszenie jest śmiertelne. Młody Kafr uciał jej głowę ze zdumiewającą precyzją. Na spodniach Hiltona widniało niewielkie, sześciocentymetrowe zaledwie przecięcie, a pod ubraniem skóra nie była nawet drażnięta.

Rzecz dziwna: James Hilton nie pomyślał wcale, by podziękować swemu wybawcy, co oburzyło do głębi Cypriana. Teraz, gdy niebezpieczeństwo minęło, Hilton uważał, że postępek Bardika był czymś zupełnie naturalnym. Do głowy by mu nie przyszło uścisnąć czarną rękę Kafra i powiedzieć: uratowałeś mi życie.

— Pański nóż, inżynierze, jest naprawdę świetnie naostrzony — rzekł tylko, kiedy Bardik chował kordelas do pochwy; Murzyn zdawał się zresztą także nie przywiązywać wagi do tego, czego dokonał.

Sniadanie zatarło wkrótce wrażenie burzliwej nocy. Składało się tego dnia z jajecznicy z jednego tylko strusiego jaja usmażonego na maśle; wystarczyło ono jednak w zupełności, aby zaspokoić apetyt pięciu podróżnych.

Cyprian miał lekką gorączkę i rany bolały go trochę. Mimo to uparł się, by towarzyszyć Pantalacciemu i Hiltonowi do *kraalu* wodza Lopepe. Pozostawiono więc obóz pod opieką Bardika i Li, którzy zabrali się do ściągania skóry z lwa — prawdziwego olbrzyma, należącego do gatunku zwanego „lwami

o psim pysku". Trzej jeźdźcy wyruszyli sami w drogę.

Wódz becuański w otoczeniu swych wojowników czekał na nich przed wejściem do *kraalu*. Za nimi, na drugim planie, zgromadziły się kobiety i dzieci, z ciekawością przyglądając się cudzoziemcom.

Osada na ogół wyglądała nędznie, chociaż chaty były dość porządnie zbudowane. Chata wodza, obszerniejsza od innych, wyłożona wewnątrz słomianymi, matami, wznosiła się pośrodku *kraalu*.

Lopepe wprowadził tam swych gości, wskazał im trzy stołki

i sam usiadł naprzeciw nich, gdy tymczasem cała świta ustawiła się półkolem za jego plecami.

Zaczął się od wymiany zwykłych grzeczności. Ceremoniał ogranicza się najczęściej do wypicia filiżanki sfermentowanego napoju domowego wyrobu, przy czym, aby podkreślić, że ta uprzejmość nie kryje w sobie żadnych podstępnych zamysłów, gospodarz pierwszy macza w czarce swe grube wargi i potem dopiero podaje ją gościom. Odmówić wypicia napoju po tak serdecznym zaproszeniu byłoby śmiertelną zniewagą. Trzej biali połknęli więc kafryjskie piwo, chociaż Pantalacci krzywił się niemiłosiernie, wykrzykując głośno, że wolałby szklankę włoskiego wina od tych mdłych becuańskich ziółek.

Potem zaczęła się rozmowa o interesach. Lopepe chciał kupić strzelbę. Nie można było jednak spełnić jego życzenia, chociaż ofiarowywał w zamian niezgorszego konia i sto pięćdziesiąt funtów kości słoniowej. Na tym punkcie bowiem przepisy kolonialne są nader surowe i bezwzględnie zabraniają Europejczykom odstępowania jakiegokolwiek broni Kafrom mieszkającym na pograniczu. W wyjątkowych tylko wypadkach można uzyskać na taką transakcję specjalne upoważnienie gubernatora. Na pociechę trzech goście wręczyli wodzowi flanelową koszulę, stalowy łańcuch i butelkę rumu, co stanowiło wspaniały podarunek i sprawiło gospodarzowi widoczną przyjemność. Toteż Lopepe okazał się jak najbardziej skłonny do udzielenia swym gościom informacji, o które im chodziło. Zrobił to w sposób dostatecznie zrozumiały dzięki pośrednictwu Jamesa Hiltona.

Przede wszystkim okazało się, że jakiś podróżny, odpowiadający pod każdym względem rysopisowi Matakita, przechodził przez osadę pięć dni temu. Była to pierwsza od dwóch tygodni wiadomość o zbiegu i członkowie ekspedycji przyjęli ją z wielkim zadowoleniem. Młody Kafir musiał stracić parę dni na szukanie brodu przez Limpopo, a teraz kierował się na północ, w stronę gór.

Ile dni trzeba wędrować, aby dotrzeć do tych gór?

Najwyżej siedem, do ośmiu.

Czy Lopepe jest przyjacielem władcy tego kraju, w głąb którego Cyprian i jego towarzysze będą musieli się zapuścić?

Tak, Lopepe szczeni się tym. Któż zresztą nie chciałby być pełnym uszanowania przyjacielem i wiernym sprzymierzeńcem wielkiego Tonai, niezwyciężonego zdobywcy krajów kafryjskich?

Czy Tonaja dobrze odnosi się do białych?

Naturalnie, ponieważ wie, tak jak wszyscy wodzowie z tych okolic, że biali nigdy nie omieszkają pomścić zniewagi uczynionej jednemu z nich. Po co walczyć z białymi? Czyż nie są oni

wszechpotężni dzięki swym strzelbom, które same się ładują? Najlepiej jest żyć z nimi w zgodzie, dobrze ich przyjmować i uczciwie handlować z ich kupcami.

Takie były w streszczeniu informacje dostarczone przez wodza Lopepe. Jedna z nich miała istotne znaczenie: ta mianowicie, że Matakita stracił kilka dni, zanim zdołał przepłynąć się przez rzekę, i że znajdowano się w dalszym ciągu na jego tropie.

Wróciwszy do obozu Cyprian, Pantalacci i Hilton znaleźli Bardika i Li w stanie wielkiego wzburzenia.

Słudzy opowiedzieli, że złożył im wizytę cały oddział kafryjskich wojowników należących do innego szczepu niż Lopepe. Murzyni otoczyli ich, a potem poddali prawdziwemu przesłuchaniu. Po co tu przybyli? Czy czasem nie w celu szpiegowania Beczuanów, zebrania o nich wiadomości, o ich liczebności i uzbrojeniu?

Cudzoziemcy bardzo źle postępują podejmując tego rodzaju przedsięwzięcie. Oczywiście wielki król Tonaja nie ma nic jeszcze do powiedzenia, dopóki nie wtargnęli w granice jego państwa, ale może będzie patrzył na tę sprawę zupełnie inaczej, jeśli ośmielą się je przekroczyć.

Oto jaki był ogólny sens tego, co mówili. Chińczyk nie zdawał się tym szczególnie poruszony, natomiast Bardik, zazwyczaj tak spokojny, okazujący tyle zimnej krwi we wszystkich okolicznościach, wydawał się ogarnięty prawdziwym przerażeniem, którego Cyprian nie umiał sobie wytłumaczyć.

— Wojownicy bardzo źli — mówił przewracając oczami. — Wojownicy nienawidzić białych, zrobić im „kuik”.

Jest to wyrażenie używane przez wszystkich na pół cywilizowanych Kafrów dla oznaczenia gwałtownej śmierci.

Co mieli robić? Czy należało przypisywać temu wypadkowi poważniejsze znaczenie? Raczej nie, zważywszy, że wojownicy, choć byli w liczbie około trzydziestu, jak twierdzili Bardik i Li, nie uczynili im jednak nic złego i nie objawili ochoty do grabieży, mimo że zastali ich samych i bez broni. Były to prawdopodobnie gołosłowne pogróżki, którymi dzicy lubią straszyć cudzoziemców. Wystarczy zapewne zwrócić się uprzejmie do wielkiego wodza Tonai i lojalnie wytłumaczyć mu powody, które sprowadziły trzech białych do tego kraju, aby rozwiać wszystkie jego podejrzenia, gdyby je miał istotnie, i zapewnić sobie jego życzliwość.

Zdecydowano wspólnie, że należy wyruszyć w dalszą drogę. Nadzieja dogonienia Matakita i odebrania mu skradzionego brylantu usuwała w cień wszelkie inne względy.

ROZDZIAŁ XV

SPISEK

W ciągu tygodnia ekspedycja dotarła do miejscowości nie podobnej w niczym do okolic, którymi wędrowali po przekroczeniu granic Griqualandu. Znajdowali się teraz u podnóża łańcucha górskiego; według wszelkich zebranych dotąd informacji był on celem, do którego zmierzał Matakiti. Bliskość gór i liczne strumienie zasilające rzekę Limpopo miały wpływ na florę i faunę, odmienne zupełnie od tego, co widzieli na równinie. Jedna z pierwszych dolin, którą tuż przed zachodem słońca ujrzeli trzej podróżni, roztoczyła przed nimi widok pełen świeżości i powabu.

Pomiędzy szmaragdowymi łąkami wiła się rzeka o wodach tak przezroczystych, że dno jej wszędzie było widoczne. Drzewa obwieszane owocami, o różnorodnym listowiu pokrywały zbocza wzgórz otaczających dolinę. Na tym tle, oświetlone jeszcze ostatnimi promieniami słońca, w cieniu olbrzymich baobabów pasły się spokojnie stada rudych antylop, zebra i bawołów. Nieco dalej biały nosorożec ciężkim krokiem przemierzał szeroką polanę, kierując się w stronę wody i pochrząkując z zadowolenia na myśl o wytarzaniu w niej swego masywnego cielska. Z zarośli dolatywało znudzone ziewanie jakiegoś niewidzialnego drapieżnika. Porykiwał dziki osioł, a całe legiony małp goniły się w gałęziach drzew.

Cyprian i jego dwaj towarzysze zatrzymali się na szczycie wzgórza, aby się lepiej przypatrzeć temu widokowi, tak dla nich nowemu. Byli więc nareszcie w jednej z tych dziewiczych okolic, gdzie dziki zwierz — wszechwładny jeszcze pan ziemi — żyje tak szczęśliwy i wolny, że nie podejrzewa nawet istnienia niebezpieczeństwa. Zdumiewała nie tylko ilość zwierząt i zupełny ich spokój, ale też niezwykła różnorodność fauny tej części Afryki. Widok ten przypominał dziwaczne obrazy, na których malarz zgromadził w ciasnych ramach głównych przedstawicieli świata zwierzęcego.

Ludności jest tutaj niewiele. Kafrowie, wśród tych olbrzymich przestrzeni, mogą być, istotnie, jedynie skąpo rozsiani. Jest to prawie zupełne pustkowie. Cyprian, zadowolony w swoich instynktach uczzonego i artysty, czuł się jak gdyby przeniesiony w pradawną epokę megaterium i innych stworzeń przedpotopowych.

— Brakuje tylko słońi do tej całej zabawy! — zawołał.

Ale w tej samej chwili Li wyciągnął rękę i pokazał mu szare, masywne kształty, widoczne na rozległej polanie. Z daleka wyglądały na skały, tak z powodu swej nieruchomości, jak i barwy. W rzeczywistości było to stado słońi. Łąka była nimi jakby nakrapiana na przestrzeni kilku mil.

— Znasz się więc i na słońiach? — spytał Cyprian Chińczyka podczas przygotowań do nocnego postoj.

Li zmrużył swoje skośne oczka.

— Mieszkałem dwa lata na Cejlonie, gdzie byłem pomocnikiem łowców słońi — odpowiedział krótko, z tą specjalną rezerwą, z którą mówił zawsze o szczegółach dotyczących własnej biografii.

— Ach, gdybyśmy tak mogli ustrzelić jedną albo dwie sztuki! — zawołał James Hilton. — To bardzo ciekawe polowanie.

— O tak, i zwierzyna w tym wypadku warta jest zużytego prochu — dodał Hannibal Pantalacci. — Dwa kły słońia to piękna zdobycz, a moglibyśmy ich zmieścić ze trzy albo ze cztery tuziny w tyle wozu. Czy wiecie, panowie, że to wystarczyłoby na pokrycie kosztów naszej podróży?

— Ależ to jest dobra myśl, doskonała myśl! — wykrzyknął Hilton. — Dlaczegooby nie spróbować jutro rano, Zanim wyruszymy dalej?

Przedyskutowali tę kwestię i postanowili ostatecznie, że zwiną obóz o świcie i popróbują szczęścia w dolinie, gdzie zauważono słonie.

Po skończonej naradzie i szybko zjedzonej kolacji wszyscy udali się na spoczynek pod plandekę wozu, z wyjątkiem Jamesa Hiltona, na którego tej nocy wypadła kolej czuwania i podtrzymywania ognia. Przesiedział samotnie około dwóch godzin i zaczynał już po trochu drzemać, gdy poczuł nagle, że ktoś trąca go lekko w łokieć. Otworzył oczy. Hannibal Pantalacci siedział przy nim.

— Nie mogłem zasnąć i pomyślałem sobie, że lepiej będzie, gdy przyjdę dotrzymać panu towarzystwa — rzekł Pantalacci.

— To bardzo uprzejmie z pana strony, ale ja osobiście nie miałbym nic przeciwko temu, żeby się parę godzin przespać — odpowiedział przeciągając się James Hilton. — Możemy doskonale to urządzić, jeśli pan się zgodzi. Ja pójdę na pana miejsce pod budę, a pan tu zostanie.

— Nie, niech pan nie odchodzi. Chcę z panem pomówić — rzekł Hannibal Pantalacci stłumionym głosem. Obejrzał się naokoło, żeby się upewnić, czy są sami, i spytał: — Czy polował pan już kiedy na słonie?

— Tak — odpowiedział James Hilton. — Dwa razy.

— A zatem pan wie, jakie to niebezpieczne polowanie. Słoń jest tak mądry, tak przebiegły, tak doskonale wyposażony do walki! Rzadko się zdarza, żeby nie miał przewagi nad człowiekiem.

— No, no. To, co pan mówi, dotyczy niedołęgów — odrzekł Hilton. — Ale gdy się ma porządny karabin nabitý eksplodującymi kulami, to nie ma czego się obawiać.

— Ja też tak myślę — odparł Pantalacci. — Jednak zdarzają się wypadki... Gdyby na przykład przytrafiło się coś jutro naszemu Francuzowi, byłoby to prawdziwym nieszczęściem dla nauki!

— Prawdziwym nieszczęściem — powtórzył James Hilton i roześmiał się złośliwie.

— Dla nas to nieszczęście nie byłoby znów tak wielkie — ciągnął Pantalacci, zachęcony śmiechem towarzysza. — Zostałoby tylko nas dwóch ścigających Matakita i jego brylant... A we dwóch zawsze można jakoś dojść do porozumienia...

Obaj mężczyźni zamilkli, wpatrzeni w żarzące się głownie, zatopieni w swych zbrodniczych kombinacjach.

— Tak, we dwójkę zawsze można się jakoś porozumieć — powtórzył Pantalacci. — We trzech jest to o wiele trudniejsze.

Nastąpiła znów chwila milczenia.

Nagle Pantalacci podniósł głowę, starając się przebić wzrokiem otaczające ich ciemności.

— Czy pan nic nie widział? — spytał cicho. — Zdawało mi się, że jakiś cień przesunął się za tym baobabem.

James Hilton wyteżył z kolei wzrok, ale mimo że miał oczy niezwykle bystre, nie spostrzegł nic podejrzanego w pobliżu obozowiska.

— To nic — powiedział. — To chyba bielizna, którą Chińczyk rozłożył, żeby wybielała na rosie.

I rozmowa między dwoma współnikami nawiązała się znowu, ale tym razem prowadzili ją półgłosem.

— Mógłbym wyjąć niepostrzeżenie naboje z jego strzelby — rzekł Hannibal Pantalacci. — Potem, kiedy trzeba będzie zaatakować słonia, strzeliłbym stanawszy za Francuzem w taki sposób, aby zwierz go spostrzegł w tym momencie... Reszta niedługo by trwała...

— To może nie bardzo bezpieczna historia — opierał się słabo James Hilton.

— Ee, niech mi pan da tylko wolną rękę, a zobaczy pan, że to samo się zrobi — odpowiedział Pantalacci.

W godzinę później, powróciwszy na swoje miejsce pod budę obok śpiących towarzyszy,

Pantalacci nie omieszkął zapalić zapałki, aby przy jej świetle upewnić się, że nikt się stąd nie ruszył. Skonstatował, że Cyprian, Bardik i Li pogrążeni byli w głębokim śnie. Tak przynajmniej wyglądali. Ale gdyby Pantalacci był sprytniejszy, byłby może zauważył w donośnym chrapaniu Chińczyka coś sztucznego i podstępnego.

Już o świcie wszyscy byli na nogach. Hannibal Pantalacci skorzystał z chwili, kiedy Cyprian, jak co dzień rano, poszedł się umyć w pobliskim strumieniu, i wyciągnął naboje z jego strzelby. Trwało to nie więcej niż dwadzieścia sekund. Był z całą pewnością sam. W tym czasie Bardik przyrządzał kawę, a Chińczyk zdejmował bieliznę ze sławetnego sznura, przeciągniętego między dwoma baobabami; zawiesił ją tam na całą noc, aby ją poddać działaniu rosy. Z pewnością nikt nic nie zauważył.

Po wypiciu kawy wyruszono konno, zostawiając wóz i woły pod opieką Bardika. Li, uzbrojony tylko w nóż myśliwski swego pana, poprosił o pozwolenie towarzyszenia jeźdźcom.

W niespełna pół godziny myśliwi znaleźli się w miejscu, gdzie poprzedniego wieczoru widziano słonie. Ale dzisiaj, aby je odnaleźć, trzeba było posunąć się jeszcze trochę dalej, aż do wielkiej polany leżącej pomiędzy podnóżem gór a prawym brzegiem rzeki.

W świeżym i jasnym powietrzu, prześwietlonym promieniami wschodzącego słońca, na olbrzymim dywanie delikatnej trawy, pokrytej jeszcze rosą, cały ród słoni, liczący co najmniej dwieście do trzystu sztuk, spożywał spokojnie śniadanie. Młode skakały jak szalone wokół matek albo też ssały je w skupieniu. Stare, z głowami opuszczonymi do ziemi, poruszając miarowo trąbami, skubały gęstą trawę. Wszystkie prawie wachlowały się swymi wielkimi uszami, podobnymi do skórzanych płaszczy, jakby to były indyjskie *punkah*.

Trzej myśliwi byli już teraz nie dalej niż o jakie dwieście metrów od słoni. Jeśli te mądre zwierzęta, obdarzone tak świetnym słuchem i zazwyczaj tak czujne, nie zauważyły jeszcze nieprzyjaciół, to jedynie dlatego, że zbliżali się pod wiatr, zasłonięci w dodatku zwartą grupą baobabów. Mimo to jeden ze słoni zaczął już okazywać niepokój, wznosząc do góry trąbę wygiętą na kształt znaku zapytania.

— Teraz jest odpowiednia chwila — rzekł półgłosem Pantalacci. — Jeśli chcemy naprawdę coś osiągnąć, musimy stanąć w pewnej odległości jeden od drugiego. Niech każdy upatrzy sobie odpowiednią sztukę, a potem na dany znak strzelimy jednocześnie, bo po pierwszym strzale całe stado rozbiegnie się.

Projekt został przyjęty. James Hilton odszedł na prawo, Pantalacci na lewo, a Cyprian pozostał w środku. Następnie wszyscy trzej zaczęli znów posuwać się ostrożnie w kierunku polany.

W tej chwili Cyprian poczuł z najwyższym zdumieniem, że obejmuje go silnie dwoje ramion; jakiś głos szepnął mu do ucha:

— To ja, Li. Wskoczyłem na konia i siedzę za panem... Niech pan nic nie mówi. Za chwilę zobaczy pan dlaczego.

Cyprian dotarł już do krańca gęstwiny i znajdował się o jakie trzydzieści metrów od słoni. Chwytał właśnie za strzelbę, aby być w pogotowiu, kiedy Chińczyk szepnął mu jeszcze:

— Broń jest rozładowana... Ale niech się pan nic nie boi. Wszystko w porządku. Wszystko w porządku.

W tej samej chwili rozległ się gwizd — sygnał do rozpoczęcia generalnego ataku — i prawie jednocześnie huknął strzał, jeden tylko strzał, tuż za plecami Cypriana. Inżynier odwrócił się natychmiast i ujrzał Hannibala Pantalacciego, który starał się ukryć za pniem drzewa. Ale prawie jednocześnie coś ważniejszego odciągnęło w inną stronę jego uwagę.

Jeden ze słoni, widocznie ranny i rozwścieczony bólem, ruszył na Cypriana. Reszta, jak to

przewidział Pantalacci, rzuciła się do ucieczki z przeraźliwym tętentem, od którego ziemia dudniła w promieniu dwóch kilometrów.

— Stało się! — zawołał Li, wciąż obejmując kurczowo Cypriana. — Kiedy zwierz będzie się miał rzucić na pana, niech pan ściągnie Templara, żeby uskoczył w bok. A potem niech się pan kręci wkoło tego krzaka i niech słoń pana goni. Resztę biorę na siebie.

Cyprian miał zaledwie czas wykonać machinalnie te instrukcje. Olbrzymi słoń ze wzniesioną trąbą, z oczami nabiegłymi krwią, z paszczą otwartą i nastawionymi kłami parł na niego z niewiarogodną szybkością.

Templar zachował się jak stary wyga. Posłuszny naciskowi kolan jeźdźca, z nadzwyczajną precyzją wykonał w odpowiedniej chwili gwałtowny skok w prawo. Toteż rozpędzony słoń nie dosięgnął nikogo, znalazłszy się w miejscu opuszczonym właśnie przez konia i ludzi. Tymczasem Chińczyk wyciągnął bez słowa nóż z pochwy, zsunął się na ziemię i szybkim ruchem skrył się za krzakiem, który wskazał swemu panu.

— Tutaj, tutaj! Niech pan się kręci wkoło tego krzaka. Niech pan pozwoli się gonić! — krzyknął znowu.

Słoń zawrócił, bardziej jeszcze rozwścieczony doznany na początku walki niepowodzeniem. Cyprian, choć nie bardzo ro zumiał, jaki cel ma wymyślony przez Chińczyka manewr, wykonywał go bardzo dokładnie. Okrążał krzak, a za nim biegł zdyszany słoń, którego atak dwa razy jeszcze spełził na niczym wskutek nagłego skoku w bok Templara. Ale czyż tego rodzaju taktyka mogła udawać się przez dłuższy czas? Czy Li miał nadzieję, że słoń tak prędko się zmęczy? Takie pytania zadawał sobie Cyprian nie mogąc znaleźć na nie zadowalającej odpowiedzi, kiedy nagle, ku swemu wielkiemu zdziwieniu, zobaczył, że słoń upadł na kolana.

Li, który z niesłychaną zręcznością uchwycił odpowiedni moment, podpełzł po trawie aż do samych nóg zwierza i jednym ciosem myśliwskiego noża przeciął słoniowi ścięgno nad piętą, zwane u człowieka ścięgnem Achillesa. Tak czynią zwykle Hindusi w czasie polowań na słonie i zapewne Li musiał nieraz używać tego sposobu na Cejlonie, gdyż zadał cios z niesłychaną precyzją i zimną krwią. Powalony i bezbronny słoń leżał nieruchomo z głową w gęstej trawie. Broczył obficie krwią z zadanej mu rany i szybko tracił siły.

— Hura! Brawo! — krzyknęli jednocześnie Hannibal Pantalacci i James Hilton ukazując się wreszcie na polu walki.

— Trzeba go dobić kulą w oko — rzekł Hilton, który zdawał się odczuwać nieodpartą potrzebę ruchu i brania czynnego udziału w rozgrywającym się dramacie.

To rzekłszy przyłożył strzelbę do ramienia i wypalił.

Rozległ się huk wybuchu rwącego cielsko olbrzymiego zwierza. Słoniem wstrząsnął śmiertelny skurcz, po czym znieruchomiał upodabniając się do zwalonej na ziemię szarej skały.

— Koniec — zawyrokował James Hilton przybliżając się z koniem do olbrzyma, aby mu się lepiej przyjrzeć.

„Poczekajcie..”. Poczekajcie jeszcze” — zdawało się mówić przebiegłe spojrzenie Chińczyka, które rzucił swemu panu.

Istotnie niedługo trzeba było czekać na straszliwy, ale nieunikniony epilog tej sceny. James Hilton podjechał do powalonego zwierza, wychylił się w strzemiączkach i spróbował dla żartu podnieść jedno z jego wielkich uszu. Ale słoń nagłym ruchem wyprostował trąbę i uderzywszy nią lekkomyślnego myśliwca złamał mu kość pacierzową i roztrzaskał głowę, zanim widzowie, przerażeni tym potwornym rozwiązaniem, mieli czas mu przeszkodzić. James Hilton wydał tylko jeden, przedśmiertny okrzyk. W parę sekund zamienił się w krwawą masę, na którą słoń zwałił się,

aby już więcej nie powstać.

— Pewny byłem, że tylko udawał martwego — rzekł sentencjonalnie Chińczyk kiwając głową. — Słonie zawsze tak robią, gdy tylko nadarzy się okazja.

Taka była mowa żałobna nad zwłokami Jamesa Hiltona.

Jednocześnie Chińczyk kopał już swym myśliwskim nożem dół, usunąwszy darninę pokrywającą łąkę. Z pomocą Cypriana pochował tam bezkształtne szczątki jego wroga.

Wszystko to zajęło nieco czasu i słońce było już wysoko nad horyzontem, kiedy trzech mężczyzn skierowali się z powrotem do obozu. Ale jakież ogarnął ich niepokój, gdy znalazłszy się na miejscu, nie zastali tam Bardika.

ROZDZIAŁ XVI

ZDRADA

Cóż to się stało w obozie podczas nieobecności Cypriana i jego dwóch towarzyszy? Jedyne młody Kafr mógłby coś o tym powiedzieć. Czekano więc na Bardika, wołano go, szukano na wszystkie strony. Nie natrafiono jednak na żaden ślad. Śniadanie, które chłopak zaczął przyrządzać i pozostawił przy wygaśniętym palenisku, zdawało się świadczyć, że był tu jeszcze przed dwiema czy trzema godzinami.

Cyprian gubił się w domysłach, co mogło być przyczyną zniknięcia Bardika, ale nie mógł znaleźć żadnego wyjaśnienia. Wykluczone było, aby młody Kafr został zaatakowany przez jakiegoś dzikiego zwierza, gdyż nigdzie nie zauważono nie tylko śladów walki, ale nawet najmniejszego nieładu. Jeszcze mniej prawdopodobne było przypuszczenie, że Bardik zdezerterował, aby powrócić do swego kraju, co Kafrowie czynią bardzo często. Chłopiec był tak oddany, że młody inżynier odrzucił kategorycznie tę hipotezę, wysuniętą przez Hannibala Pantalacciego. Ostatecznie, mimo poszukiwań trwających pół dnia, młodego Kafra nie odnaleziono i jego zniknięcie pozostało faktem niemożliwym do wytłumaczenia.

Dzień zakończył się smutno, a wieczór był bardziej jeszcze ponury. Jakieś przekleństwo zdawało się ciążyć nad ekspedycją. Hannibal Pantalacci był nasrożony i milczący. Jego dwaj kamraci, Friedel i James Hilton, ponieśli śmierć. Pozostał teraz sam ze swoim młodym rywalem, zdecydowany bardziej niż kiedykolwiek na pozbycie się konkurenta, który przeszkadzał mu zarówno w sprawie brylantu, jak w sprawie małżeństwa. Dla Pantalacciego były to dwa zupełnie równorzędne interesy finansowe.

Cyprian, któremu Li opowiedział całą historię z wyjęciem naboju, musiał teraz śledzić dniem i nocą każde poruszenie swego towarzysza podróży. Co prawda i Chińczyk wziął chętnie na siebie część tego zadania.

Cyprian i Pantalacci spędzili wieczór paląc w milczeniu przy ognisku, po czym poszli położyć się pod budą wozu, nie życząc sobie nawet dobrej nocy. Kolej czuwania nad ogniem, trzymającym w oddaleniu dzikie zwierzęta, przypadła na Chińczyka. Nazajutrz o świcie młodego Kafra wciąż nie było w obozie. Cyprian byłby chętnie zaczekał jeszcze dobę, żeby dać swemu słudze ostatnią szansę powrotu, ale Pantalacci uparł się, aby natychmiast wyruszyć w dalszą drogę.

— Możemy doskonale obejść się bez Bardika — mówił — a jeśli opóźnimy wyjazd, narazimy się na to, że nie zdołamy dogonić Matakita.

Cyprian musiał ustąpić i Chińczyk poszedł zagonić woły i przygotować wszystko do odjazdu. Spotkał go jednak nowy, niezwykle przykry zawód: wołów również nie było. Poprzedniego wieczora leżały jeszcze w wysokiej trawie koło obozu... Teraz nie było tam ani jednego...

Wtedy właśnie oceniono w pełni, jak wielką stratę poniosła ekspedycja wskutek zniknięcia Bardika. Gdyby ten inteligentny chłopak, tak dobrze znający obyczaje miejscowych zwierząt, był na swym posterunku, nigdy by nie zapomniał uwiązać do drzew lub do pali wołów, które wyczywały poprzedniego dnia. Zazwyczaj kiedy zatrzymywali się na postój po całodziennym marszu, ostrożność ta była zbędna: woły upadały ze zmęczenia i gdy popały się nie odchodząc od wozu, układały się przy nim na noc; z rana także oddalały się najwyżej o jakie sto metrów. Ale rzecz miała się inaczej po dniu spędzonym na próżnowaniu i obżarstwie.

Widocznie woły, po przebudzeniu, zapragnęły przede wszystkim znaleźć jeszcze smaczniejszą

trawę niż ta, którą uraczyły się dnia poprzedniego. Usposobione do włóczęgi oddalały się stopniowo od obozu, tracąc go wreszcie z oczu. Prawdopodobnie wiedzione instynktem ciągnącym było do obory, skierowały się po prostu drogą powrotną do Transwalu.

Cyprian i Pantalacci, ku wielkiemu swemu rozczarowaniu, musieli więc po wytężonej kilkugodzinnej gonitwie śladami wołów dać wreszcie za wygraną.

Położenie pogorszyło się znacznie i raz jeszcze trzeba było zebrać się na naradę. Istniało właściwie tylko jedno praktyczne wyjście z sytuacji: zostawić wóz, zabrać ze sobą tyle zapasów i naboji, ile się da udźwignąć, i ruszyć w dalszą drogę konno. Przy odrobinie szczęścia może uda się jeszcze zakupić u jakiegoś kafryjskiego wodza nowy zaprząg wołów w zamian za strzelbę lub naboje. Li miał wziąć konia po Hiltonie — jak wiadomo, był to już koń bezpański.

Nacięto więc kolczastych gałęzi i nakryto nimi wóz tak, że schował się całkowicie pod tym sztucznym krzakiem. Następnie każdy ponapychał kieszenie i plecak jak największą ilością bielizny, konserw i naboji. Chińczyk musiał z żalem zrezygnować z zabrania swojej czerwonej skrzyni, ponieważ okazała się za ciężka. Nie podobna było jednak nakłonić go, by zostawił swój sznur; owinął się nim pod bluzą jak pasem.

Ukończywszy te przygotowania i rzuciwszy ostatnie spojrzenie na dolinę, gdzie zaszło tyle tragicznych wydarzeń, trzej konni ruszyli w stronę gór. Droga, którą jechali, była, jak wszystkie zresztą drogi w tym kraju, zwykłą ścieżką wydeptaną przez zwierzęta, które idąc do wodopoju wybierają zawsze najkrótszą trasę.

Minęło południe. Pod palącym słońcem Cyprian, Pantalacci i Li posuwali się w dobrym tempie aż do wieczora i kiedy wreszcie rozłożyli się obozem w głębokim jarze, pod osłoną potężnej skały, wokół ogniska z suchego drzewa — musieli przyznać, że ostatecznie strata wozu nie była niczym tragicznym.

Podróżowali tak jeszcze przez dwa dni, przypuszczając, że idą po tropach tego, którego szukali. Dopiero wieczorem drugiego dnia, trochę przed zachodem słońca, gdy kierowali się powoli ku grupie drzew, aby ułożyć się tam na noc, Li wydał nagle gardłowy okrzyk.

— Huuu! — zawołał wskazując palcem mały, czarny punkt poruszający się na horyzoncie w ostatnich blaskach zachodu.

Spojrzenia Cypriana i Pantalacciego skierowały się oczywiście w tę stronę.

— Jakiś podróżny! — zawołał neapolitańczyk.

— To Matakít we własnej osobie — rzekł Cyprian, który szybko podniósł lornetkę do oczu. — Widzę doskonale jego bryczuszkę i strusia... To on.

I podał lornetkę Pantalacciemu, aby mógł się z kolei co do tego upewnić.

— Jak pan sądzi, czy Matakít jest daleko od nas w tej chwili? — spytał Cyprian.

— O jakieś siedem lub osiem mil co najmniej... a może i o dziesięć — odpowiedział Pantalacci.

— W takim razie musimy zrezygnować z dogonienia go dziś przed postojem.

— Oczywiście — odparł Pantalacci. — Za pół godziny będzie już zupełnie ciemno i nie ma co marzyć, żeby posunąć się nawet o krok w tę stronę.

— No dobrze. Ale jutro złapiemy go na pewno, jeśli wyruszymy dość wcześnie.

— Takie jest również i moje zdanie.

Rozmawiając tak, jeźdźcy znaleźli się przy grupie drzew, gdzie zamierzali nocować, i zsiadli z koni. Wieczorny posiłek był może trochę weselszy niż w ciągu ostatnich trzech dni, ale podróżni zjedli go pośpiesznie i zaraz położyli się spać, owinawszy się w koce, z głowami na siodłach, przy ognisku obficie zaopatrzonym na całą noc. Należało bowiem wstać nazajutrz przed świtem, aby przebyć błyskawicznie ostatni etap i dogonić Matakíta.

Cyprian i Li pograżyli się wkrótce w głębokim śnie, co może nie było zbyt ostrożnością z ich strony.

Inaczej rzecz się miała z Pantalaccim. Przez dwie czy trzy godziny kręcił się na posłaniu jak człowiek opanowany jakąś natrętną myślą. Zbrodnicza pokusa znowu nie dawała mu spokoju.

Wreszcie, nie mogąc dłużej wytrzymać, wstał po cichu, podszedł do koni i osiodłał swego wierzchowca; następnie, odwiązawszy dwa pozostałe, ujął postronki i poprowadził je jak na smyczy. Bujna trawa głużyła tętent kopyt, a konie, zbudzone tak nagle, dawały się prowadzić z tępa rezygnacją. Pantalacci zeszedł z nimi na dno wąwozu, którego zbocze wybrano na miejsce postoju, uwiązał je do drzewa i wrócił do obozowiska. Obaj śpiący nawet się nie poruszyli. Pantalacci wziął swój koc, sztucer, naboje, trochę zapasów i z zimną krwią, bez żadnego wahania, zostawił swych dwu towarzyszy na pastwę losu, samych wśród pustyni.

Od zachodu słońca nie opuszczała go myśl, że zabierając konie uniemożliwi Cyprianowi i Chińczykowi pościg za Matakitem, a tym samym zapewni sobie zwycięstwo. Usadził się w siodle i ciągnąc za sobą głośno parszające konie puścił się kłusem w świetle księżyca, którego tarcza wypływała właśnie zza wzgórz. Cyprian i Li wciąż jeszcze spali. Dopiero o trzeciej nad ranem Chińczyk otworzył oczy i popatrzył na gwiazdy blednące we wschodniej części nieba.

„Czas zaparzyć kawę” — pomyślał.

Nie zwlekając odrzucił koc, wstał i zabrał się do porannej toalety, której nie zaniedbywał nigdy zarówno na pustyni, jak w mieście.

„Gdzie jest Pantalacci?” — zastanowił się nagle.

Zaczynało się już rozwidniać i zarysy przedmiotów wokół obozu stawały się coraz wyraźniejsze.

„Koni także nie widać — zauważył Li. — Czyżby nasz dzielny towarzysz...”

I domyślając się nagle, co się stało, pobiegł do kołków, do których poprzedniego wieczoru uwiązali konie. Okrążył obozowisko i w jednej chwili upewnił się, że cały ekwipunek Pantalacciego zniknął razem z nim. Sprawa była jasna.

Człowiek białej rasy prawdopodobnie nie byłby w stanie powstrzymać się od natychmiastowego zbudzenia towarzysza i zakomunikowania mu tej ważnej wiadomości. Ale Li należał do rasy żółtej i sądził, że zawsze jest dość czasu na to, aby powiadomić kogoś o nieszczęściu. Zabrał się więc spokojnie do parzenia kawy.

„To jeszcze dość uprzejmie ze strony tego łotra, że zostawił nam nasze zapasy” — powtarzał sobie w myśli.

Przecedził starannie kawę przez płócienny woreczek uszyty specjalnie w tym celu i napełnił nią dwie czarki sporządzone ze skorupy strusiego jaja; czarki te nosił zazwyczaj przyczepione do dziurki od guzika. Potem podszedł do śpiącego wciąż jeszcze Cypriana.

— Kawa gotowa, ojczulku — rzekł uprzejmie, dotykając jego ramienia.

Cyprian otworzył jedno oko, przeciągnął się, uśmiechnął do Chińczyka, usiadł i wypił dymiący płyn. Wtedy dopiero zauważył nieobecność neapolitańczyka.

— A gdzie Pantalacci? — spytał.

— Pojechał, ojczulku — odpowiedział Li tonem zupełnie naturalnym, jakby chodziło o sprawę od dawna ustaloną.

— Jak to?... Pojechał?

— Tak, ojczulku, ze wszystkimi trzema końmi.

Cyprian uwolnił się od koca i powiódł dokoła spojrzeniem. Zrozumiał wszystko. Ale był zbyt dumny, żeby okazać swój niepokój i oburzenie.

— Doskonale — rzekł. — Niech tylko ten łajdak nie wyobraża sobie, że będzie miał ostatnie

słowo.

Przeszedł się tam i z powrotem, zatopiony w myślach, zastanawiając się, co należy przedsięwziąć.

— Trzeba wyruszyć natychmiast — rzekł wreszcie do Chińczyka. — Zostawimy tu siodła, uprząż, wszystko, co byłoby niewygodne i zbyt ciężkie do dźwigania. Zabierzemy tylko broń i zapasy, które nam pozostały. Idąc dobrym krokiem, możemy posuwać się prawie równie szybko, a może nawet czasem skracać sobie drogę.

Li pośpieszył wykonać rozkaz. W parę minut koce były zwinięte, plecaki zarzucone na ramiona, wszystko, co trzeba było zostawić, zgromadzili w jednym miejscu, w gęstwinie krzaków. Po czym natychmiast ruszyli w drogę.

Cyprian miał rację mówiąc, że pod pewnymi względami podróż piesza będzie łatwiejsza. Mogli skracać drogę pokonując urwiste szczyty, na które nie wspiąłby się żaden koń. Ale za cenę jakiego zmęczenia mogli tego dokonać!

Było około pierwszej po południu, kiedy przedostali się na północną stronę łańcucha górskiego, wzdłuż którego szli od trzech dni. Sądząc z objaśnień udzielonych im przez Lopepe, musieli się znajdować niedaleko stolicy państwa Tonai. Kiedy schodzili w pierwszą dolinę, która po przejściu grani otwarła się przed nimi, Li zachichotał nagle.

— Żyrafy! — powiedział.

Cyprian popatrzył w dół i dojrzał rzeczywiście ze dwadzieścia żyraf pasących się w głębi doliny. Z daleka ładnie wyglądały ich szyje, wyprostowane jak maszty albo wyciągnięte wśród trawy jak węże, przedłużające o trzy lub cztery metry ich ciała nakrapiane żółtymi plamami.

— Można by złapać jedną z żyraf, żeby zastąpiła nam Templara — zauważył Li.

— Jechać na żyrafie? Kto widział coś podobnego?! — wykrzyknął Cyprian.

— Nie wiem, czy kto to kiedy widział — odparł Chińczyk — ale od pana zależy, żeby zobaczyć takiego wierzchowca. Niech mi pan tylko pozwoli spróbować.

Cyprian nigdy nie uważał za rzecz niemożliwą czegoś, co było dla niego czymś po prostu nowym, toteż oświadczył, że jest gotów pomóc Chińczykowi w jego przedsięwzięciu.

— Zbliżamy się do żyraf pod wiatr — rzekł Li — co jest bardzo dla nas pomyślne. Mają one doskonały węch i kiedy indziej byłyby nas dawno zwęszyły. Niech je pan zajdzie z prawej strony, a potem postraszy wystrzałem, tak żeby pobiegły ku mnie. Nic mi więcej nie trzeba, resztę biorę na siebie.

Cyprian złożył na ziemi wszystko, co mogło krępować jego ruchy, i zbrojny w strzelbę zaczął wykonywać manewr zalecony przez Chińczyka.

Li nie tracił także czasu. Zbiegł stromym zboczem w dolinę aż do ścieżki wydeptanej na jej dnie. Była to zapewne droga żyraf, sądząc po niezliczonej ilości śladów ich kopyt. Tutaj zaczął się za grubym pnem drzewa, wyciągnął linkę, z którą nie rozstawał się nigdy, i przeciął ją na dwie równe, trzydziestometrowe części. Potem, uwiązawszy spory kamień na końcu każdego kawałka sznura, co uczyniło z nich doskonałe lassa, przytwierdził drugie ich końce do najniższych gałęzi drzewa. Wreszcie owinął sobie wkoło lewego ramienia wolne końce obu sznurów, schował się za pień i czekał.

Nie upłynęło jeszcze pięciu minut, kiedy w pewnej odległości rozległ się strzał. W tej samej chwili gwałtowny, zbliżający się szybko tupot, przypominający tętent oddziału kawalerii, oznajmił, że żyrafy, tak jak to przewidział Li, uciekają w popłochu. Szły prosto na Chińczyka biegnąc po swojej zwykłej drodze i nie przeczuwając, że wróg, stojący pod wiatr, znajduje się w pobliżu.

Żyrafy były naprawdę wspaniałe, z rozdętymi nozdrzami, z małymi głowami, których ruchy

wyrażały przestrach. Li przyglądał się spokojnie pięknym stworzeniom. Miejsce zasadzki wybrane było z rozmysłem przy zakręcie drogi — zwierzęta mogły przechodzić tędy najwyżej po dwie sztuki na raz. Należało więc tylko czekać.

Na razie Li przepuścił trzy czy cztery żyrafy; następnie upatrzwszy sobie jedną, nadzwyczajnej po prostu wielkości, cisnął pierwsze lasso. Sznur gwizdnął, okręcił się wokół szyi zwierzęcia, które pobiegło jeszcze parę kroków, ale gdy linka naprężyła się i zdusiła mu krtań, musiało stanąć.

Chińczyk nie tracił czasu na obserwacje. Gdy tylko zobaczył, że pierwsze lasso nie chybiło celu, chwycił w rękę drugie i zarzucił na następną żyrafę.

Tym razem również mu się udało. Wszystko nie trwało dłużej niż pół minuty. Przerażone stado rozbiegło się teraz w różnych kierunkach, ale dwie żyrafy, na pół uduszone i słaniające się na nogach, zostały uwięzione.

— Ojczulku, chodź no tu prędzej! — wołał Chińczyk do Cypriana, który biegł w jego stronę, nie bardzo ufając w powodzenie tej całej imprezy.

Musiał jednak uwierzyć własnym oczom. Stało przed nim dwoje wspaniałych zwierząt, wielkich, silnych, tłustych, o cienkich pęcinach i lśniących zadach. Ale Cyprian, mimo że patrzył na nie z podziwem, nią mógł jednak wyobrazić sobie, aby te stworzenia mogły zastąpić wierzchowce.

— Rzeczywiście, jakże tu się utrzymać na takim pochyłym grzbiecie? Przecież zad jest co najmniej o sześćdziesiąt centymetrów niższy od przodu — mówił śmiejąc się.

— Trzeba będzie usiąść wyżej i objąć nogami nie boki, ale łopatki zwierzęcia — odpowiedział Li. — A zresztą czy to tak trudno włożyć zwinięty koc pod siodło z tyłu?

— Nie mamy siodła.

— Pójdę po pańskie za chwilę.

— A jakąż to uzdę założysz na te pyski?

— Zaraz pan zobaczy.

Chińczyk miał odpowiedź na wszystko, a czyny następowały u niego bezpośrednio po słowach. Nie nadeszła jeszcze pora obiadu, a już z części swego sznura zrobił dwa bardzo mocne kan tary, które nałożył żyrafom na łby. Biedne zwierzęta były tak wystraszone swą przygodą, a zresztą z natury tak łagodne, że nie stawiały żadnego oporu. Inne kawałki sznura miały posłużyć za cugle. Gdy wszystko było gotowe, pojmane żyrafy z łatwością dały się poprowadzić na lince. Cyprian i Li zawrócili więc do miejsca ostatniego postoju, aby zabrać siodło i inne pozostawione tam poprzedniego dnia przedmioty.

Cały wieczór zeszedł na uzupełnianiu przygotowań. Chińczyk był rzeczywiście niewiarogodnie zręczny. Nie tylko zdołał w krótkim czasie przerobić siodło Cypriana w ten sposób, że można je było umieścić poziomo na grzbiecie jednej z żyraf, ale i dla siebie wykombinował siodło z gałęzi; potem, przez zbytek ostrożności, spędził pół nocy na przełamywaniu oporu żyraf, ujeżdżając je kolejno i tłumacząc im skutecznymi argumentami, że powinny mu być posłuszne.

ROZDZIAŁ XVII

AFRYKAŃSKIE WYŚCIGI

Trzeba przyznać, że wygląd dwóch jeźdźców wyruszających w drogę następnego ranka był co najmniej dziwny. Ale w ciągu dwóch czy trzech godzin Cyprian i Li zdołali nabrać wprawy. Żyrafy po kilku nieudanych próbach oporu stały się bardzo uległe, szły w dobrym tempie i wszystko zapowiadało się jak najlepiej.

Chodziło teraz o to, żeby szybkością nadrobić cały czas stracony w ciągu kilku ostatnich dni podróży. Matakita do tej pory uzyskał już zapewne dużą nad nimi przewagę. A może Pantalacci już go dogonił? Jakkolwiek sprawa się miała, Cyprian zdecydowany był nie zaniedbać niczego, byle tylko dopiąć celu.

W ciągu trzech dni nasi kawalerzyści, a mówiąc ściślej „żyrafiści”, dotarli do okolicy zupełnie płaskiej. Posuwali się teraz prawym brzegiem dość krętej rzeki, płynącej w kierunku północnym. Był to prawdopodobnie jeden z mniejszych dopływów rzeki Zambezi. Żyrafy, ostatecznie ujarzmione, osłabione zresztą forsownym marszem i systematyczną dietą, którą zastosował w ich żywieniu Li, dawały sobą kierować z zupełną łatwością. Cyprian mógł teraz porzucić długie cugle ze sznura i kierować żyrafą jedynie za pomocą ucisku kolan.

Toteż mając więcej swobody obserwował z przyjemnością, po opuszczeniu dzikich i pustynnych okolic, które niedawno przemierzali, widoczne wszędzie ślady dość rozwiniętej cywilizacji. Od czasu do czasu napotykali pola manioku i „taro”, bardzo porządnie uprawione i nawodnione za pomocą bambusowych rur, przenoszących wodę z rzeki, i szerokie, dobrze ubite drogi. Wszystko w ogóle świadczyło tu o dobrobycie; na wzgórzach rysujących się na horyzoncie widać było białe chaty w kształcie uli, zamieszkałe przez Murzynów, z rzadka tu zresztą rozsianych.

Jednakże czuło się jeszcze bliskość pustyni, chociażby wskutek niezwykłej ilości dzikich zwierząt, przeżuwiających i innych, spotykanych co krok na tej równinie. Tu i ówdzie wielkie stada ptaków rozmaitych gatunków i różnej wielkości przysłaniały niebo. Gromady gazel i antylop przebiegały drogę; czasami potworny hipopotam podnosił łeb nad wodą, prychał hałaśliwie i zanurzał się z powrotem w rzece z hukiem pędzącego wodospadu.

Cyprian zapatrzony w to widowisko, nie spodziewał się bynajmniej ujrzeć sceny, która dziwnym trafem ukazała się jego oczom, kiedy ze swym towarzyszem znalazł się na zakręcie drogi idącej z boczem niewielkiego wzgórza. Był to ni mniej, ni więcej tylko Hannibal Pantalacci, konno, goniący co siłą Matakita we własnej osobie. Dzielili ich od siebie najwyżej mila, ale co najmniej cztery były jeszcze pomiędzy nimi a Cyprianem i Chińczykiem.

W jaskrawych promieniach słońca, padających prawie prostopadłe, na tle nagiej równiny zalanej oślepiającym blaskiem, w powietrzu oczyszczonym ostrym, wschodnim wiatrem — nie mogli mieć najmniejszych wątpliwości, że wzrok ich nie myli. Obaj byli tak zachwyceni swoim odkryciem, że pierwszym ich odruchem było uczczenie go przez prawdziwą arabską „fantazję”. Cyprian wykrzyknął radośnie „hura!”, a Li zawtórował mu swoim „huuu”, które miało zapewne to samo znaczenie. Po czym puścili wyciągniętym kłusem swoje żyrafy.

Najwidoczniej Matakita spostrzegł Pantalacciego, który stopniowo zaczynał go doganiać, ale nie mógł widzieć swego dawnego pana i swego towarzysza z kopalni, będących jeszcze zbyt daleko, na skraju równiny.

Młody Kafr na widok Pantalacciego, który bynajmniej nie był człowiekiem łatwo dającym się

ubłagać i był gotów zastrzelić go jak psa bez żadnego gadania, zaczął rozpaczliwie poganiać swego strusia.

Chyży ptak dosłownie pożerał przestrzeń. Pożerał ją nawet tak łapczywie, że w pewnej chwili potknął się o duży kamień. Wstrząs był tak gwałtowny, że oś bryczuszki, sfatygowana długą i uciążliwą podróżą, pękła i jedno z kół odleciało. Matakita i jego wehikuł rozłożyli się na środku drogi.

Nieszczęsny Kafr potłukł się okropnie. Ale strach, który go gnał, był silniejszy od tego wstrząsu i raczej podwoił się jeszcze. Matakita, przekonany, że czeka go niechybny koniec, jeśli da się złapać temu okrutnikowi, zerwał się na równe nogi, wyprzągnął w jednej chwili strusia i wskoczywszy na niego okrakiem, pogalopował dalej.

Zaczął się zawrotny wyścig, jakiego świat nie widział od czasu przedstawień w cyrkach starożytnego Rzymu, gdzie biegi strusi i żyraf bywały często jednym z numerów programu.

Podczas gdy Pantalacci gonił Matakita, Cyprian i Li puścili się w pościg za jednym i za drugim. Czyż nie byli zainteresowani, aby dogonić obydwu: młodego Kafra, aby już raz skończyć z historią skradzionego brylantu, a niktzemnego draba — aby ukarać go tak, jak na to zasługiwał?

Toteż żyrafy — puszczane cwałem przez obu jeźdźców, którzy widzieli wypadek, jaki zdarzył się Matakitowi — szły z wyciągniętymi naprzód szyjami, z otwartymi pyskami, z uszami położonymi po sobie. Popędzane ostrogami i szpicrutą, zmuszone do maksymalnego wysiłku, osiągały tempo niewiele gorsze od tempa koni pełnej krwi.

Ale i szybkość strusia graniczyła z cudem. Jego krótkie skrzydła, niezdatne do fruwania, pomagały mu jednak w biegu. Posuwał się tak błyskawicznie, że w niespełna kilka minut młody Kafr odsunął się znowu znacznie od swego prześladowcy. Tak, Matakita dobrego sobie znalazł wierzchowca! Gdyby zdołał utrzymać takie tempo przez kwadrans, byłby ostatecznie poza zasięgiem wroga, pewny, że nie wpadnie w jego pazury.

Pantalacci rozumiał dobrze, że najmniejsze opóźnienie będzie dla niego utratą przewagi, jaką zyskał nad Kafrem. Odległość między nimi już zaczynała się powiększać. Po drugiej stronie pola kukurydzy, przez które pędzili, ciągnął się jak okiem sięgnąć ciemny brzeg gęstego lasu; silny wiatr szarpał figowcami i krzewami pistacji. Jeśli Matakita zdoła tam dotrzeć i straci się go z oczu, nikt nie będzie w stanie go odnaleźć.

Cyprian i Li galopując na swych żyrafach, śledzili gonitwę ze zrozumiałym zainteresowaniem. Znaleźli się wreszcie u podnóża pagórka i gnali teraz przez pole, ale ze trzy mile jeszcze dzieliły ich od zbiega i ścigającego.

Spostrzegli jednak, że Pantalacci, za cenę niesłychanego wysiłku, zdołał znów zbliżyć się nieco do Matakita. Czy struś był już wyczerpany, czy też skaleczył się może o jakąś gałąź lub skałę, w każdym razie bieg jego stał się znacznie wolniejszy. Pantalacci znalazł się wkrótce o jakie trzysta stóp od Kafra. Ale Matakita dopadł wreszcie lasu i zniknął w nim jak duch. W tej samej chwili Pantalacci, gwałtownie wyrzucony z siodła, zwałił się na ziemię, a jego koń popędził na oślep przez pole.

— Matakita nam uciekł! — krzyknął Li.

— Tak. Ale tego łotra Pantalacciego mamy w rękę — odpowiedział Cyprian.

I obaj ponagliłi jeszcze swoje żyrafy.

W pół godziny potem, przemierzwszy prawie całe pole kukurydzy, znaleźli się o jakie pięćset kroków od miejsca, gdzie upadł Pantalacci. Najważniejszą rzeczą było dowiedzieć się, czy zdołał się podnieść i dotrzeć do lasu, czy też leżał tam ciężko ranny, może nawet zabity...

Okazało się, że nie ruszył się z miejsca. Cyprian i Li zatrzymali się o sto kroków od niego. Oto,

co się stało.

Pantalacci, w zapale gonitwy, nie zauważył rozpiętej przez Kafrów olbrzymiej sieci na ptaki, które stale mszczą im zbiory, i w tę właśnie sieć się zaplątał.

Nie była to zaiste mała siateczka. Bok jej liczył co najmniej pięćdziesiąt metrów długości. Pod nią znajdowało się już parę tysięcy ptaków najróżniejszych gatunków, różnych rozmiarów i o różnym upierzeniu, między innymi z pół tuzina olbrzymich sępów, które spotyka się czasem w południowej Afryce. Wtargnięcie człowieka pomiędzy tę skrzydlatą rzeszę wywołało zrozumiałe poruszenie.

Pantalacci, z początku nieco oszołomiony upadkiem, usiłował po chwili się podnieść. Ale stopy, nogi i ręce miał tak zaplątane w sieci, że nie był w stanie od razu się od niej uwolnić. Nie miał jednak czasu do stracenia. Toteż szamotał się gwałtownie, ciągnąc sieć z całych sił, podnosząc ją, wrywając paliki, którymi przytwierdzono ją do ziemi; jednocześnie ptaki, tak duże jak i małe, robiły to samo, aby się uwolnić. Ale im namiętniej walczył Pantalacci, tym dokładniej zaplątywał się w mocne oka olbrzymiej sieci.

Czekało go jednak ostateczne upokorzenie. Jedna z żyraf dobiegła właśnie do niego, a na niej siedział nie kto inny, jak Li. Chińczyk zeskoczył na ziemię i z chłodną złośliwością pomyślał, że najlepszym sposobem ujęcia więźnia będzie ostateczne zamknięcie go w pułapce; wobec tego pośpieszył odzepić najbliższy bok sieci z zamiarem złożenia jej na pół. Ale w tej samej chwili stała się rzecz zupełnie nieoczekiwana. Wiatr zadał nagle z niesłychaną gwałtownością, drzewa zgięły się niemal do ziemi, jakby przed wpływem straszliwej trąby powietrznej. Tymczasem Pantalacci, dzięki swym rozpaczliwym wysiłkom, zdołał już wyrwać sporo palików przytrzymujących dolną część sieci; teraz, widząc, że grozi mu natychmiastowe ujęcie, zaczął szamotać się jeszcze zacieklej.

I wtedy niezwykle silne uderzenie wichury oderwało do reszty sieć. Ostatnie więzy trzymające ją pękły, a pierzasta gromada, którą więziła, zerwała się do lotu z ogłuszającym wrzaskiem. Małe ptaki zdołały uciec, ale wielkie, których pazury zaplątane były w oka sieci, nie mogły się tak łatwo oswobodzić. Mając jednak wolne skrzydła zaczęły bić nimi powietrze i zgodny wysiłek tych wszystkich mięśni, złączone ruchy tych napowietrznych wiosł, wspomagane jeszcze przez wichurę, stworzyły potęgę, dla której ciężar stukilogramowy nie znaczył więcej niż piórko.

Tak więc splątana, skręcona, pozwijana, szarpana przez wiatr sieć uniosła się w górę na dwadzieścia pięć czy trzydzieści metrów razem z Hannibalem Pantalaccim, którego ręce i nogi były w niej uwięzione.

Cyprian nadjechał właśnie w tej chwili i mógł już tylko biernie asystować przy porwaniu swego wroga w strefy niebieskie.

Jednak sępy, widocznie zmęczone tym pierwszym wysiłkiem, wyraźnie zaczęły zniżać lot opisując w powietrzu wielki łuk. W parę sekund znalazły się nad brzegiem lasu, rozciągającym się na zachód od pola kukurydzy. Dotknęły niemal szczytów drzew na trzy czy cztery metry nad ziemią, wreszcie raz jeszcze wzbiły się w górę.

Cyprian i Li patrzyli ze zgrozą na nieszczęśnika zawieszzonego w sieci, tym razem — wskutek niesłychanych wysiłków olbrzymich ptaków i potęgi wichury — na wysokości przeszło stu pięćdziesięciu stóp.

Nagle, pod wpływem szarpaniny Pantalacciego, kilka oczek w sieci pękło. Przez chwilę jeszcze wisiał na rękach, czepiając się sznurów... Ale wkrótce puścił je i spadł jak bezwładna masa roztrzaskując się na ziemi. Sieć uwolniona od jego ciężaru podskoczyła raz jeszcze w górę i opadła o parę mil dalej, gdy tymczasem sępy wzbiły się wysoko w powietrze.

Kiedy Cyprian pośpieszył mu z pomocą, jego wróg już nie żył... Poniósł śmierć w okolicznościach doprawdy straszliwych.

Z czterech rywali, którzy w tym samym celu puścili się w pogoń przez równiny Transwalu, Cyprian pozostał sam jeden.

ROZDZIAŁ XVIII

STRUŚ OBDARZONY LUDZKĄ MOWĄ

Po tej okropnej katastrofie Cyprian i Li mieli tylko jedno pragnienie: oddalić się czym prędzej od miejsca, gdzie nastąpiła. Postanowili więc posuwać się wzdłuż lasu w kierunku północnym. Po godzinnym przeszło marszu dotarli do łożyska prawie całkowicie wyschniętego strumienia, które przecinało gęstwinę i pozwalało się w nią zapuścić.

Tam czekała ich nowa niespodzianka. Strumień wpadał do sporego jeziora okolonego bujną roślinnością, zakrywającą je dotychczas przed oczyma naszych podróżnych. Cyprian miał ochotę zawrócić znów na południe, idąc wzdłuż jeziora, ale brzeg okazał się miejscami tak urwisty, że trzeba było wyrzec się tego zamiaru. Poza tym, gdyby się cofnęli, musieliby się wyrzec wszelkiej nadziei odnalezienia Matakita.

Jednakże po drugiej stronie jeziora widniały niewielkie wzgórza, łączące się szeregiem falistych wzniesień z dość wysokimi górami. Cyprian sądził, że gdyby się dostali na owe szczyty, mogliby, objąwszy wzrokiem większą przestrzeń, zorientować się lepiej w okolicy i co za tym idzie, ułożyć plan działania na najbliższą przyszłość.

Zaczęli więc *okrążyć* jezioro. Brak jakiegokolwiek ścieżki utrudniał niezmiernie to zadanie, tym bardziej że musieli często prowadzić żyrafy za uzdę. Toteż zużyli przeszło trzy godziny, aby przebyć odległość liczącą siedem lub osiem kilometrów w prostej linii. Wreszcie, gdy dotarli do punktu leżącego mniej więcej naprzeciwko miejsca, skąd wyruszyli, noc już zapadła. Byli tak zmęczeni, że postanowili tutaj się zatrzymać. Ale możliwości ich były obecnie tak ograniczone, że nie mogli marzyć o urządzeniu sobie wygodnego noclegu. Jednakże Li zajął się wszystkim ze zwykłą starannością, po czym podszedł do swego pana.

— Ojczulku — rzekł swoim łagodnym, dodającym otuchy głosem — widzę, że jest pan bardzo zmęczony. Nasze zapasy są prawie całkowicie wyczerpane. Niech mi pan pozwoli pójść poszukać jakiejś wsi, gdzie nie odmówią nam z pewnością pomocy.

— Chcesz mnie opuścić, Li! — wykrzyknął Cyprian.

— Nie ma innej rady, ojczulku — odpowiedział Chińczyk. — Wezmę jedną żyrafę i pojedę na północ. Stolica tego Tonai, o którym nam mówił Lopepe, nie musi być daleko; już ja się postaram, żeby tam pana dobrze przyjęli. A potem wrócimy do Griqualandu, gdzie już nie potrzebuje pan bać się tych łotrów.

Młody inżynier zastanowił się nad propozycją uczynioną przez wiernego Chińczyka. Z jednej strony, rozumiał, że jeśli Makit w ogóle mógł być odnaleziony, to jedynie w tej okolicy, gdzie widzieli go poprzedniego dnia. Wobec tego nie powinni się stąd oddalać. Z drugiej strony, musieli rzeczywiście odnowić zapasy, obecnie już nie wystarczające. Cyprian więc zdecydował się, choć z żalem, na rozstanie z Li. Umówili się, że inżynier będzie czekał na swego służącego czterdzieści osiem godzin, nie ruszając się z miejsca. W ciągu czterdziestu ośmiu godzin Chińczyk na swojej śmigłej żyrafie mógł objechać spory szmat kraju i zdążyć z powrotem do obozowiska.

Gdy tylko doszli do porozumienia, Li nie chciał tracić ani chwili czasu. O wypoczynek niewiele się troszczył. Mógł doskonale obejść się bez snu! Pożegnał się więc z Cyprianem, wskoczył na swoją żyrafę i zniknął w mrokach nocy.

Po raz pierwszy od wyjazdu z Vandergaart-Kopje Cyprian znalazł się zupełnie sam na pustyni. Ogarnął go głęboki smutek, a kiedy owinął się w koc i ułożył do snu, nie mógł się powstrzymać od

snucia najbardziej ponurych przewidywań. Był sam, prawie całkowicie pozbawiony zapasów i naboji. Co stanie się z nim w tym nieznanym kraju, o kilkaset mil od wszelkich cywilizowanych okolic? Schwytanie Matakita było obecnie rzeczą nader wątpliwą. Czy było mu przeznaczone zginąć tak marnie jak tamci? Takie były smętne rozmyślenia Cypriana. Po jakimś czasie zdołał jednak usnąć.

Gdy się zbudził, świeżość poranka i wypoczynek nocny wlały w niego nieco otuchy. Postanowił, że zanim Chińczyk powróci, on spróbuje wdrapać się na wysokie wzgórze, u którego stóp spędził noc. Sądził, że będzie mógł ogarnąć wzrokiem sporą połać kraju, a może nawet za pomocą lornetki odkryć jakiś ślad przejścia Matakita. Ale, by to wykonać, musiał się rozstać ze swoją żyrafą, gdyż żaden przyrodnik nie mógłby zaliczyć tych zwierząt do gatunku wspinającego się po skałach. Cyprian więc uwolnił ją od kantara, tak pomysłowo wykonanego przez Chińczyka, i przywiązał ją za nogę do drzewa, wokół którego rosła gęsta i bujna trawa; sznur był dość długi, aby mogła paść się swobodnie.

Ukończywszy te przygotowania Cyprian przerzucił strzelbę przez jedno ramię, koc przez drugie, na pożegnanie poklepał po przyjacielsku żyrafę i zaczął wspinać się pod górę.

Wyprawą okazała się mozolna i trwała bardzo długo. Przez cały dzień Cyprian wdrapywał się na urwiste zbocze, obchodził występy skał i niedostępne iglice. Często musiał próbować na nowo od wschodu lub od południa wdrzeć się tam, gdzie nie podobna było dotrzeć od północy czy od zachodu. Gdy nadeszła noc, był zaledwie w połowie drogi na szczyt i musiał odłożyć dalszy ciąg wspinaczki na dzień następny.

Wyruszył o świcie, ale przedtem upewnił się, obejrawszy uważnie miejsce postoju, że Li jeszcze nie powrócił. O godzinie jedenastej rano znalazł się wreszcie na wierzchołku góry.

Czekało go tam gorzkie rozczarowanie. Niebo pokryło się chmurami i gęste mgły czepiały się niższych części zboczy. Daremnie Cyprian wyteżał wzrok starając się zapuścić go w sąsiednie doliny. Cała okolica tonęła w bezkształtnych oparach, przez które nie podobna było nic dostrzec.

Cyprian uparł się czekać, mając wciąż nadzieję, że się rozjaśni i że będzie mógł objąć wzrokiem szersze horyzonty. Na próżno. Wydawało mu się nawet, że chmury zgęstniały jeszcze ku wieczorowi. Gdy zaczęła zbliżać się noc, deszcz ostatecznie się rozpadał.

Młody inżynier został więc zaskoczony tą prozaiczną przeszkodą, jaką jest zmiana pogody, właśnie tu, na nagim szczycie płaskowzgórza, gdzie nie było ani drzewa, ani nawet występu skalnego mogącego służyć za schronienie. Nic, tylko goła i wysuszona ziemia, a wokoło zapadająca szybko noc i drobny, gęsty deszcz, który pomału przenikał wszystko — koc, ubranie — i docierał aż do skóry.

Sytuacja stawała się krytyczna, a jednak trzeba było się z nią pogodzić. Próbować zejść na dół byłoby w tych warunkach szaleństwem. Cyprian wołał już przemoknąć do nitki, licząc na to, że nazajutrz wysuszy się w gorących promieniach słońca.

Kiedy minęła pierwsza chwila przygnębienia, zaczął sobie tłumaczyć, że ten deszcz, odświeżający prysznic po tylu dniach spiekoty, nie był nawet nieprzyjemny. Tyle że pociągał za sobą przykrą konieczność zjedzenia obiadu jeśli nie na surowo, to przynajmniej na zimno. W taką pogodę nie można było marzyć nie tylko o roznieceniu ognia, ale nawet o zapaleniu zapalniczki. Cyprian musiał się zadowolić otworzeniem puszek z duszoną wołowiną, którą pochłoniął w tej prymitywnej postaci.

W godzinę lub dwie potem, zdrętwiały od wilgoci, zdołał jednak usnąć z głową opartą na dużym kamieniu, na którym położył ociekający wodą koc. Kiedy się zbudził z nadejściem dnia, poczuł, że ma silną gorączkę.

Rozumiejąc, że będzie zgubiony, jeśli pozostanie dłużej pod tym prysznicem — ulewa nie ustawała bowiem ani na chwilę — Cyprian Zdobył się na wielki wysiłek, wstał i opierając się na

strzelbie, jak na lasce, zaczął schodzić ze szczytu góry.

W jaki sposób dotarł na dół? Zapewne sam nie umiałby tego powiedzieć. To staczał się po ociekających wodą zboczach, to znów ześlizgiwał wzdłuż wilgotnych gładów; potłuczony, zdyszany, oślepiiony przez deszcz, wyczerpany gorączką, zdołał jednak posuwać się naprzód i około południa dotarł do miejsca, gdzie zostawił żyrafę.

Żyrafy jednak nie było — widocznie uciekła zniecierpliwiona samotnością, a może i przyciśnięta głodem, gdyż wyskubała doszczętnie trawę w promieniu linki, którą była przywiązana. Zapewne, nie mając już trawy, wzięła się do sznura, przegryzła go i odzyskała wolność.

Cyprian bardziej odczułby to nowe niepowodzenie, gdyby był w normalnym stanie zdrowia. Ale straszliwe zmęczenie i wyczerpanie nie pozostawiły mu dość sił, aby się mógł martwić. Kiedy stanął w obozie, zdobył się zaledwie na wyjęcie suchej odzieży z nieprzemakalnego worka, który na szczęście odnalazł. Przebrał się i złamany wysiłkiem padł na ziemię w cieniu wielkiego baobabu.

Zaczął się dla niego dziwny okres półsnu, gorączki, majaczeń, gdzie plątały się wszystkie pojęcia, gdzie czas, przestrzeń, odległość nie miały już realnego znaczenia. Czy była noc, czy dzień? Pogoda, czy deszcz? Czy był tu od dwunastu, czy od sześćdziesięciu godzin? Czy żył jeszcze, czy był już martwy? Nic o tym nie wiedział. Przed oczyma jego wyobraźni przesuwały się kolejno to pełne uroku marzenia, to najstraszliwsze koszmary.

Paryż, Akademia Górnicza, dom rodzinny, farma przy Van-dergaart-Kopje, panna Watkins, Hannibal Pantalacci, Hilton, Friedel i całe legie słoni, Matakity i stada fruujących ptaków rozsiane po bezkresnym niebie, wszystkie wspomnienia, wszystkie doznania, wszystkie jego antypatie i to, co było mu drogie, zderzało się w jego umyśle jakby wśród chaotycznej walki. Do , tych gorączkowych majaków dołączały się chwilami wrażenia pochodzące z zewnątrz. Najokropniej było, kiedy raz, wśród ogłuszającego wycia szakali, miauczenia dzikich kotów, chichotu hien, choremu, bredzącemu w malignie wydało się, że słyszy strzał, po którym nastąpiła wielka cisza. Po czym piekielny koncert znów się rozpoczął i trwał do samego rana.

Zapewne pośród tych majaczeń Cyprian mógł być przejść, nie zdając sobie z tego sprawy, od gorączkowych snów do wiecznego spoczynku, gdyby pewne, na pozór zupełnie niepojęte i dziwaczne zdarzenie nie stanęło w poprzek normalnego biegu wypadków.

Z rana deszcz nie padał i słońce znajdowało się już dość wysoko nad horyzontem, gdy Cyprian otworzył oczy. Patrzył, wprawdzie bez szczególnego zainteresowania, na wielkiego strusia, który podszedł do niego i zatrzymał się w odległości paru kroków.

„Czyżby to był struś Matakita?” — zapytywał się Cyprian idąc za myślą, która nie opuszczała go od tak dawna.

Odpowiedział mu sam ptak, we własnej osobie. A co dziwniejsze, odpowiedział mu doskonałą francuszczyzną.

— Nie myślę się! Tak, to Cyprian Méré. Kochany przyjacielu, co, u diabła, tu robisz?

Struś mówiący po francusku, znający jego imię — były to rzeczy niewątpliwie zdolne wprowadzić w zdumienie umysł normalnie funkcjonujący i zmysły będące w dobrym stanie. Ale Cyprian nie był bynajmniej zaskoczony tym niewiarogodnym zjawiskiem i uważał je za zupełnie, naturalne. Nie takie rzeczy widział we śnie przez całą poprzednią noc. Wydało mu się to po prostu dalszym ciągiem jego chorobliwych majaków.

— Jest pan źle wychowany, panie strusiu! — odpowiedział. — Z jakiej racji mówi pan do mnie „ty”?

Głos jego był urywany, charakterystyczny dla ludzi mających silną gorączkę. Struś wydał się tym bardzo przejęty.

— Cyprianie, przyjacielu! Jesteś chory i sam, tu, na pustyni! — zawołał klękając przy nim.

Było to zjawisko fizjologiczne równie zdumiewające u ptaka jak mowa, gdyż klękanie bywa mu zazwyczaj zakazane przez samą przyrodę. Ale Cyprian pod wpływem gorączki nie dziwił się w dalszym ciągu. Uważał nawet za rzecz zupełnie naturalną, że struś wyciągnął spod lewego skrzydła skórzaną butelkę z zimną wodą zmieszaną z koniakiem i przyłożył mu ją do ust.

Zaczął się dopiero zdumiewać, gdy w pewnej chwili to niezwykle stworzenie zrzuciło z siebie jakąś osobliwą powłokę po krytą piórami, która wydawała się dotąd jego własną skórą, a potem długą szyję zakończoną ptasią głową. I wtedy struś, uwolniony od tych sztucznych ozdób, ukazał mu się w postaci rosnącego, tęgiego młodzieńca: był to nie kto inny, tylko słynny na obu półkulach myśliwy — Pharamond Barthes.

— No tak, to ja! — zawołał. — Czyż nie poznałeś mojego głosu od pierwszych słów, które do ciebie powiedziałam? Dziwi cię mój strój? To taki podstęp myśliwski, którego nauczyłem się od Kafrów, żeby móc podchodzić strusie i łatwiej do nich trafiać z łuku. Ale mówmy o tobie, mój biedaku. Skąd się tu wzięłeś, chory i opuszczony? To niesłychany przypadek, że natrafiłem na ciebie włócząc się w tych stronach. Nie wiedziałem nawet, że jesteś w tym kraju.

Cyprian, nie mając wcale sił do rozmowy, mógł dać przyjacielowi zaledwie parę lakonicznych wyjaśnień dotyczących swej sytuacji. Zresztą Pharamond Barthes wiedział, że przede wszystkim należy pośpieszyć choremu z pomocą, której dotychczas był pozbawiony, i zabrał się do tego, jak tylko umiał najlepiej.

Jako myśliwy, zebrał wielki zasób doświadczeń związanych z życiem na pustyni, a od Kafrów nauczył się niezwykle skutecznej metody leczenia miejscowej febry, na którą cierpiał jego kolega.

Pharamond Barthes zaczął od wykopania głębokiego rowu, który wypełnił drzewem, sporządziwszy rodzaj komina umożliwiającego dopływ powietrza. Gdy drzewo w rowie zostało spalone, zamienił się on w istny piec chlebowy. Pharamond Barthes ułożył tam Cypriana, owinąwszy go starannie w koc, tak że tylko głowa była odkryta. Po upływie niespełna dziesięciu minut wystąpiły u chorego obfite poty, wzmocnione jeszcze kilkoma filiżankami naparu, który lekarz z przypadku przyrządził ze znanych mu ziół. Cyprian wkrótce zasnął w tej łaźni, i to naprawdę dobroczynnym snem.

Gdy chory zbudził się o zachodzie słońca, czuł się o tyle lepiej, że upomniał się o jedzenie. Pomysłowy przyjaciel miał odpowiedź na wszystko: podał mu natychmiast świetny rosół z najsmakowitszych kąsków upolowanej przez siebie zwierzyny i z kilku starannie dobranych korzeni. Skrzydełko pieczonego dropia i szklanka wody z koniakiem dopełniły obiadu, który powrócił Cyprianowi nieco sił i rozproszył ostatecznie mgły zaciemniające jego świadomość. Mniej więcej w godzinę po tym pierwszym posiłku rekonwalescenta Pharamond Barthes, który również podjadł sobie nieźle, zasiadł koło młodego inżyniera i zaczął mu opowiadać, skąd wziął się tutaj, sam i w tak dziwnym przebraniu.

— Ty wiesz — mówił — do czego jestem zdolny, kiedy mam w perspektywie jakiś nowy rodzaj polowania. Otóż przez sześć miesięcy zastrzeliłem tyle słoni, zebrał, żyraf, lwów i wszelkich innych zwierząt, nie wspominając już o pewnym orle-ludożercy, największej chluby moich zbiorów, że parę dni temu przyszła mi chętka na urozmaicenie moich łowieckich rozkoszy. Dotychczas podróżowałem zawsze z eskortą moich Basutów, trzydziestu dzielnych chłopców, którym płacę po woreczku szklanych paciorków miesięcznie i którzy poszliby w ogień za swego pana i władcę. Ale ostatnio gościłem u Tonai, wielkiego wodza tego kraju. Chciałem, aby mi pozwolił polować na swoich ziemiach — a jest to przywilej, którego strzeże równie zazdrośnie jak szkoccy lordowie — i dlatego zgodziłem się wypożyczyć mu moich Basutów z czterema strzelbami na jakąś wyprawę, którą

planował przeciwko jednemu ze swych sąsiadów. To uzbrojenie dało mu absolutną przewagę i odniósł nad wrogiem przyniatające zwycięstwo. Stąd wywiązała się między nami głęboka przyjaźń, przypieczętowana wymianą krwi, czyli że nawzajem wysaliśmy sobie parę kropel krwi z przedramienia. Od tej pory złączeni jesteśmy z Tonają na śmierć i życie. Pewny, że nikt nie będzie mnie niepokoić na całym obszarze jego posiadłości, wyruszyłem przedwczoraj, żeby zapolować na lamparty i strusie. Jeżeli chodzi o lamparty, to zeszłej nocy udało mi się zastrzelić jednego i dziwiłbym się nawet, gdybyś nie słyszał harmideru, który poprzedził ten wyczyn. Wyobraź sobie, że rozpiąłem rodzaj namiotu obok zabitego wczoraj bawołu w nadziei, że zjawi się w nocy wymarzony przeze mnie lampart. I rzeczywiście, ten zuch, zwabiony zapachem świeżego mięsa, nie omieszkął stawić się na spotkanie. Licho jednak nadało, że ze dwieście czy trzysta szakali, hien i dzikich Kotów miało ten sam pomysł co on. Stąd najbardziej niemelodyjny koncert, który musiałeś chyba słyszeć.

— Naturalnie, że słyszałem! — odpowiedział Cyprian. — Myślałem nawet, że został wydany na moją cześć.

— Wcale nie, mój kochany — rzekł Pharamond Barthes. — To było na cześć zabitego bawołu, leżącego w głębi doliny, którą widzisz tu na prawo. Kiedy się rozwidniło, z ogromnego przeżuwacza nie zostało nic prócz kości. Pokażę ci to: wspaniały preparat anatomiczny. Zobacysz także mojego lamparta — najwspanialszy okaz, jaki udało mi się upolować w Afryce. Już zdarłem z niego skórę i suszę ją na drzewie.

— Ale co znaczyło to dziwne przebranie, które miałeś dziś rano? — spytał Cyprian.

— To był kostium strusia. Tak jak ci mówiłem, Kafrowie często używają tego podstępu, żeby podchodzić te ptaki, które są bardzo czujne. Trudno inaczej do nich strzelać. Odpowiesz mi na to, że mam przecież świetny sztucer. Tak, to prawda. Ale cóż chcesz! Przyszła mi do głowy fantazja, aby zapolować na sposób kafryjski, i dzięki temu miałem szczęście znaleźć cię w bardzo odpowiedniej chwili, nieprawdaż?

— Tak, w bardzo odpowiedniej, istotnie. Wiesz, Pharamond, myślę, że gdyby nie ty, nie byłoby mnie już na tym świecie — odpowiedział Cyprian ściskając serdecznie dłoń przyjaciela.

Wyszedł już ze swej łaźni i leżał wygodnie na pościeli z liści, pieczołowicie przygotowanym przez towarzysza u stóp baobabu.

Pocziwy Pharamond nie poprzestał na tym. Udał się do sąsiedniej doliny, przyniósł stamtąd namiot, który zawsze zabierał ze sobą, i po kwadransie rozpiął go nad chorem.

— A teraz — rzekł — chciałbym poznać twoją historię, Cyprianie. Oczywiście, jeśli opowiadanie nie zmęczy cię zanadto.

Cyprian czuł się dość silny, aby zaspokoić zrozumiłą ciekawość Barthesa. Opowiedział mu, dość pobieżnie zresztą, co zdarzyło się w Griqualandzie, dlaczego opuścił ten kraj, ażeby gonić za Matakitem i jego brylantem, jakie były najważniejsze zdarzenia w czasie tej wyprawy. Opowiedział o śmierci Pantalacciego, Hiltona i Friedla, o zniknięciu Bardika i wreszcie, że czeka teraz na swego służącego Li, który miał się z nim tu spotkać.

Pharamond Barthes słuchał z wyteżoną uwagą. Zapytany, czy nie natknął się czasem na Bardika, którego Cyprian opisał mu dokładnie, odpowiedział przecząco.

— Ale — dodał — znalazłem za to jakiegoś bezpańskiego konia, który mógłby okazać się twoim.

I zaraz opowiedział Cyprianowi, w jakich okolicznościach ten koń wpadł w jego ręce:

— Akurat dwa dni temu polowałem ze swymi Basutami w górach na południe stąd, kiedy nagle widzę wychodzącego z wąwozu doskonałego, nie osiodłanego siwka. Miał tylko uździennicę i postronek, który włókł się za nim. Widać było, że zwierzę nie wie, co ma ze sobą począć. Ale zawołałem go, pokazałem mu garść cukru i sam przyszedł do mnie. I oto już koń był w potrzasku:

światne zwierzę, odważne, ogniste i zasolone jak szynka.

— To mój... To Templar! — zawołał Cyprian.

— No więc, przyjacielu, Templar jest do twojej dyspozycji — odpowiedział Pharamond Bartes.
— Bardzo się cieszę, że mogę ci go oddać. A teraz śpij już, dobranoc! Jutro skoro świt opuścimy to rozkoszne miejsce,

I łącząc dobry przykład ze słuszną zasadą Pharamond Barthes owinał się kocem i ułożył obok Cypriana.

Nazajutrz z rana zjawił się Li z zapasami. Zanim Cyprian się zbudził, Pharamond Barthes opowiedział Chińczykowi o wszystkim, co zaszło, i poleciwszy mu, aby czuwał nad swym panem, udał się po konia, którego strata tak bardzo zmartwiła swego czasu młodego inżyniera.

ROZDZIAŁ XIX

TAJEMNICZA GROTA

Po śniadaniu Cyprian czuł się na tyle silny, aby wsiąść na konia i zaraz wyruszyć w drogę. Pharamond Barthes umieścił cały bagaż za siodłem Templara, wziął go za uzdę i skierował się w stronę stolicy Tonai. Po drodze Cyprian opowiedział przyjacielowi bardziej szczegółowo o najważniejszych wydarzeniach, które spotkały ekspedycję od chwili opuszczenia Griqualandu. Kiedy doszedł do ostatniego zniknięcia Matakita i dokładnie opisał jego wygląd, Pharamond Barthes zawołał:

— A to heca! Zdaje mi się, że będę ci mógł dostarczyć wiadomości o twoim złodzieju, jeśli nie o brylancie.

— Jak to? Co to znaczy? — spytał Cyprian zdziwiony.

— To znaczy — odparł Barthes — że moi Murzyni schwytali wczoraj młodego Kafra włóczącego się po okolicy i wydali go, ze związanymi rękami i nogami, mojemu przyjacielowi Tonai. Mam wrażenie, że nie doznał serdecznego przyjęcia, bo Tonaja bardzo boi się szpiegów, a ten Kafr, należący do wrogiego szczepu, został oczywiście posądzony o szpiegostwo. Ale, jak dotychczas, zostawili go jeszcze przy życiu. Na szczęście biedaczysko umie parę magicznych sztuczek i może uchodzić za czarodzieja.

— Ach, teraz już nie wątpię, że to Makit! — zawołał Cyprian.

— No, może sobie powiedzieć, że miał szczęście — dodał myśliwy. — Tonaja wymyślił dla swych wrogów wielce urozmaicone tortury, nie pozostawiające nic do życzenia. Ale, powtarzam ci, że możesz być spokojny o twego dawnego sługę. Na razie bronią go jego umiejętności wróżbiarskie i na pewno zobaczymy go dziś jeszcze w dobrym zdrowiu.

Wieczorem ujrzeli wreszcie stolicę władcy Tonai, rozłożoną amfiteatralnie na wzgórzach zamykających horyzont od północy. Było to prawdziwe miasto, liczące dziesięć do piętnastu tysięcy mieszkańców, z równo wytyczonymi ulicami, z obszernymi, niemal eleganckimi chatami; wszystko wywierało wrażenie ładu i dostatku. Pałac królewski, otoczony wysokim ostrokołem i strzeżony przez czarnych wojowników uzbrojonych w lance, zajmował jedną czwartą całej powierzchni stolicy. Na widok Pharamonda Barthesa opuszczono wszystkie bariery i obaj z Cyprianem zostali natychmiast przeprowadzeni przez szereg obszernych dziedzińców do sali przyjęć, gdzie „niezwyciężony zdo bywca” siedział w otoczeniu licznych dworzan, wśród których nie brakowało ani oficerów, ani strażników.

Pharamonda Barthesa, którego nie widział od kilku dni, władca przyjął nadzwyczaj serdecznie, a przez wzgląd na niego tak samo odniósł się do Cypriana, przyjaciela swego wiernego sojusznika. Dowiedziawszy się, że nowy gość niedomaga, Tonaja kazał mu przydzielić jeden z najlepszych pokoi w pałacu i podać znakomitą kolację.

Zgodnie z pouczeniem Barthesa nie poruszono od razu sprawy Matakita, odkładając ją na dzień następny. Nazajutrz Cyprian czuł się już na siłach, aby stanąć przed królem. Cały dwór zgromadził się w wielkiej sali pałacu. Tonaja i obaj jego goście znaleźli się pośrodku kręgu dostojników i Pharamond Barthes rozpoczął pertraktacje w miejscowym narzeczu, którym władał dość biegle.

— Moi ludzie pojмали niedawno i przyprowadzili ci pewnego młodego Kafra — powiedział do króla. — Otóż okazuje się, że jest on sługą mego towarzysza, wielkiego mędrca Cypriana Méré, który, ufając twej wspaniałomyślności, zwraca się do ciebie z prośbą, abyś mu go zwrócił. Ja zaś,

jako jego i twój przyjaciel, ośmielam się poprzeć tę słuszną prośbę.

Od pierwszych słów Tonaja uważał za stosowne przybrać dyplomatyczny wyraz twarzy.

— Wielki biały mędrzec jest miłym dla mnie gościem — odpowiedział. — Ale co chce mi ofiarować w zamian za mego więźnia?

— Doskonałą strzelbę, dziesięć razy po dziesięć naboii i woreczek szklanych paciorków — odpowiedział Pharamond Barthes.

Szmer pełen uznania przebiegł przez tłum, zachwycony wspaniałością tej propozycji. Jeden tylko Tonaja, zachowując nadal dyplomatyczną rezerwę, udał, że nie jest bynajmniej olśniony.

— Tonaja jest wielkim władcą — rzekł prostując się na swym królewskim stołku — i bogowie opiekują się nim. Miesiąc temu zesłali mu Pharamonda Barthesa na czele dzielnych wojowników i broń, żeby mu pomóc zwyciężyć nieprzyjaciół. A więc teraz, jeżeli Pharamond Barthes sobie tego życzy, ów sługa będzie zwrócony swemu panu i włos mu z głowy nie spadnie.

— A gdzie on jest w tej chwili? — spytał myśliwy.

— W świętej grocie, gdzie straż strzeże go dniem i nocą — odpowiedział Tonaja.

Pharamond Barthes szybko przetłumaczył tę rozmowę Cyprianowi i poprosił króla, aby pozwolił mu łaskawie pójść wraz z towarzyszem po więźnia do wymienionej groty. Na te słowa jednak zgromadzenie zareagowało pomrukiem pełnym niezadowolenia. Żądanie Europejczyków wydało im się niesłychane. Nigdy jeszcze pod żadnym pozorem cudzoziemiec nie został dopuszczony do tajemniczej groty. Według ogólnie przyjętych wierzeń państwo Tonai rozpadłoby się w gruzy, gdyby biali ludzie ją poznali.

Ale król nie lubił, żeby dwór mieszał się do jakichkolwiek jego decyzji. Toteż, powodowany przekorą, właściwą tyranom małego kalibru, postanowił wskutek owego pomruku zgodzić się na to, czego w innych okolicznościach byłby prawdopodobnie odmówił.

— Tonaja dokonał wymiany krwi ze swym sprzymierzeńcem Pharamondem Berthesem — odpowiedział stanowczo — i nie potrzebuje niczego przed nim ukrywać. Czy ty i twój przyjaciel umiecie dochować tajemnicy?

Pharamond Barthes skinął głową na znak potwierdzenia.

— A więc — ciągnął murzyński król — przysięgnijcie, że nie dotkniecie żadnego z przedmiotów w grocie. Przysięgnijcie, że kiedy stamtąd wyjdziecie, zachowacie się we wszystkich okolicznościach tak, jakbyście nie wiedzieli o istnieniu jaskini. Przysięgnijcie, że nigdy nie będziecie próbowali ponownie się tam dostać ani nawet odnaleźć drogi do tego miejsca. Przysięgnijcie wreszcie, że nikomu nie powiecie o tym, co tam zobaczycie.

Pharamond Barthes i Cyprian, wyciągnąwszy przed siebie ręce, powtórzyli słowo po słowie przysięgę, której żądał od nich król.

Zaraz potem Tonaja wydał po cichu parę rozkazów. Cały dwór powstał, a wojownicy ustawili się w dwa szeregi. Służba przyniosła dwa kawałki cienkiego płótna, którymi przewiązano oczy cudzoziemcom. Wreszcie król we własnej osobie zasiadł między nimi w wielkim, trzciniowym palankinie niesionym przez parę tuzinów Kafrów i orszak ruszył w drogę.

Wędrówka trwała dość długo, co najmniej dwie godziny. Barthes i Cyprian zorientowali się po wstrząsach, jakich doznawał palankin, że znaleźli się w okolicy górzystej. Następnie chłód powietrza i echo, które budziły kroki orszaku, odbijając się o zbliżone do siebie ściany, wskazywały, że dostali się do jakiegoś podziemnego przejścia. Wreszcie zapach żywicznego dymu, muskającego ich twarze, pozwolił im się domyślić, że zapalono pochodnie, aby oświetlić drogę. Marsz trwał jeszcze przez jakiś kwadrans, po czym postawiono palankin na ziemi. Tonaja poprosił gości, by wysiedli, i rozkazał zdjąć im z oczu przepaski.

Pod wpływem olśnienia, którego doznaje się powracając do światła po dłuższym przebywaniu w ciemności, Pharamond Barthes i Cyprian sądzili w pierwszej chwili, że podlegają halucynacji, tak dalece widok roztaczający się przed ich oczyma był wspaniały i niespodziewany.

Znajdowali się pośrodku olbrzymiej groty. Piasek pod ich stopami zmieszany był z drobnymi okruchami złota. Sklepienie, wysokie jak strop gotyckiej katedry, ginęło w głębokich mrokach, których wzrok nie mógł przebić. Ściany tej naturalnej budowli pokryte były stalaktytami o niesłychanym bogactwie i różnorodności barw, które w świetle pochodni mieniły się tęczowymi blaskami, pały jak żar w ognisku lub promieniały jak zorza polarna. Najbardziej olśniewające kolory, najdziwniejsze kształty, rozmiary najbardziej nieoczekiwane cechowały tę nieprzebraną wprost ilość kryształów.

- Olbrzymie głązy ametystów, ściany z sardoniku, całe ławice rubinów, sople szmaragdów, kolumnady szafirów, gęste i wysokie jak świerkowe lasy, góry lodowe z akwamaryn, żyrandole z turkusów, zwierciadła z opali, występy skalne z różowego alabastru i lapis-lazuli o złotych żyłkach — wszystko, co w królestwie minerałów jest najbardziej drogocenne, najrzadsze, naj bardziej przezroczyście i olśniewające, złożyło się na materiał budowlany tego zdumiewającego wnętrza.

Cyprian Méré nie miał już żadnych wątpliwości: został przeniesiony do jednego z tych tajemniczych zbiorników, których istnienie od dawna podejrzewał, gdzie skąpa natura zgromadziła i skryzalizowała te cenne kamienie, jakie zazwyczaj, nawet w najbogatszych kopalniach, daje człowiekowi jedynie w postaci drobnych okruchów. Przez chwilę miał pokusę, aby się przekonać, czy nie śni, i przechodząc koło olbrzymiego bloku kryształu potarł go pierścieniem, który miał na palcu. Przekonał się jednak, że żadna rysa nie wystąpiła. Grota zawierała więc prawdziwe diamenty, rubiny, szafiry i inne drogie kamienie w ilościach tak olbrzymich, że obliczenie ich wartości według cen rynkowych byłoby zupełnie niemożliwe.

Jedynie astronomiczne liczby mogłyby w przybliżeniu dać o niej pojęcie, co byłoby zresztą i tak trudne do ustalenia. Ukryte przed okiem ludzkim, leżące bezużytecznie pod ziemią znajdowały się tu bogactwa wartości trylionów i kwadrylionsze w miliardów.

Czy Tonaja zdawał sobie sprawę z bajecznych skarbów, które miał do swej dyspozycji? Było to mało prawdopodobne. Nawet Pharamond Barthes, słabo obeznany z tymi sprawami, zdawał się nie przypuszczać ani przez chwilę, że te przepiękne kryształy są drogimi kamieniami. Zapewne murzyński król uważał się po prostu za właściciela i strażnika osobliwej groty, której istnienie musiało być zachowane w tajemnicy w związku z jakimś proroctwem lub innym przekazywanym tradycją zabobonem.

Pogląd ten zdawał się potwierdzać jeszcze jeden fakt: Cyprian zauważył w kątach groty stosy ludzkich kości. Czy było tu cmentarzysko członków szczepu czy też — przypuszczenie to, choć potworne, wydawało się jednak dość prawdopodobne — grota służyła w przeszłości, a może i teraz jeszcze, do jakichś strasznych obrzędów, kto wie, czy nie związanych z ludożerstwem.

Do tej ostatniej opinii skłaniał się Pharamond Barthes i podzielił się nią po cichu z przyjacielem. — Tonaja zaręczał mi — dodał — że od czasu gdy panuje, podobne praktyki nie mają miejsca. Ale przyznaję, że widok tych kości naruszył mocno zaufanie, jakie w nim pokładałem.

I pokazał Cyprianowi stos kości, jakby niedawno dopiero tu rzuconych, na których wyraźne były ślady ognia.

Wrażenie to miało się jeszcze pogłębić za chwilę.

Król i obaj jego goście znaleźli się teraz na samym końcu groty, przed podziemiem, przypominającym boczne krypty w bazylikach. Za kratą zamykającą wejście siedział w drewnianej klatce więzień. Klatka miała rozmiary zaledwie wystarczające na to, by nieszczęśliwy mógł w niej

przykucnąc; było aż nadto widoczne, że chciano go utuczyć na jakąś przyszłą biesiadę.

Był to Matakít.

— To pan? To pan, ojczulku?! — wykrzyknął nieszczęsny Kafr, gdy tylko poznał Cypriana. — Och, zabierzcie mnie stąd! Uwolnijcie mnie! Już wolę wrócić do Griqualandu, żeby mnie tam nawet mieli powiesić, niż siedzieć tu, w tej klatce, jak kurczak, czekając na okropne męczarnie, na które chce mnie skazać okrutny Tonaja, zanim mnie pożre!

Powiedział to z taką rozpaczą, że Cyprian poczuł się głęboko wzruszony.

— Dobrze — odparł. — Mogę uzyskać dla ciebie wolność, ale nie wyjdiesz z tej klatki, dopóki nie oddasz mi diamentu.

— Diamentu? Ojczulku! — krzyknął Matakít. — Nie mam go! Nigdy go nie miałem! Przysięgam panu... przysięgam!

W słowach jego było tyle niekłamanej szczerości, że Cyprian nie mógł mu nie uwierzyć. Od początku zresztą trudno mu było przypuścić, że Matakít istotnie popełnił tę kradzież.

— Ale w takim razie — spytał — jeśli nie ukradłeś diamentu, dlaczego uciekłeś?

— Dlaczego, ojczulku? — powtórzył Matakít. — Bo kiedy moi towarzysze przeszli szczęśliwie przez próbę witek, wszyscy od razu powiedzieli, że nikt inny nie mógł być złodziejem, tylko ja, i że wymyśliłem cały ten fortel, żeby odwrócić od siebie podejrzenia. A w Griqualandzie, jeśli chodzi o Kafra, to prędzej go zdążą skazać i powiesić niż wybadać! Wie pan o tym dobrze, ojczulku. I taki strach mnie ogarnął, że uciekałem przez cały Transwał, jakbym naprawdę był winien.

— Wydaje mi się, że ten biedak mówi prawdę — zauważył Barthes.

— Ja także w to nie wątpię — odpowiedział Cyprian. — Może istotnie miał rację uciekając przed sprawiedliwością wymierzaną w Griqualandzie. — I zwróciwszy się do Matakíta dodał: — Myślę, że naprawdę jesteś niewinny. Ale w Vandergaart-Kopje nie uwierzą nam z pewnością. Czy chcesz mimo to ryzykować powrót?

— Tak!... Zaryzykuję wszystko, byle tylko nie siedzieć tu dłużej! — wykrzyknął Matakít, najwidoczniej opanowany śmiertelnym przerażeniem.

— Załatwimy jakoś tę sprawę — rzekł Cyprian. — Właśnie mój przyjaciel, Pharamond Barthes, tym się zajmuje.

Rzeczywiście, myśliwy nie tracąc czasu odbywał już poważną konferencję z Tonają.

— Mów szczerze. Czego żadasz w zamian za swego jeńca? — spytał murzyńskiego króla.

— Potrzeba mi czterech strzelb, dziesięć razy po dziesięć naboii do każdej z nich i cztery woreczki z paciorkami. To chyba nie za dużo?

— Naturalnie, że za dużo, ale Pharamond Barthes jest twoim przyjacielem i zrobi wszystko, żebyś był zadowolony.

Zastanowił się przez chwilę i dodał jeszcze:

— Słuchaj, Tonaja. Dostaniesz te cztery strzelby, czterysta naboii i cztery woreczki paciorków. Ale za to dostarczysz nam wozu i wołów, zapasów i straży honorowej, która nas przeprowadzi przez cały Transwał.

— Załatwione! — odpowiedział Tonaja, zupełnie zadowolony. Potem dodał pochylając się z tajemniczą miną do ucha Pharamonda:

— Woły już są. To ich własne woły, które moi ludzie spotkali, kiedy wędrowały same, chcąc wrócić do obory. Złapali je i przyprowadzili do mojego *kraalu*. Udało mi się, co?

Więzień został natychmiast uwolniony. Cyprian, Pharamond Barthes i Matakít, rzuciwszy jeszcze jedno spojrzenie na wspaniałości grot, dali sobie potulnie zawiązać oczy i wrócili do pałacu Tonai, gdzie wieczorem odbyła się wielka uczta dla przypieczętowania układu.

Następnie uradzono, że po powrocie Matakita nie ukaże się od razu na terenie kopalni, tylko ukryje się gdzieś w pobliżu i powróci na służbę do młodego inżyniera dopiero wtedy, gdy będzie mu można zapewnić całkowite bezpieczeństwo. Jak się wkrótce przekonamy, nie był to wcale zbytek ostrożności.

Nazajutrz Pharamond Barthes, Cyprian, Li i Matakita wyruszyli pod opieką solidnej eskorty w stronę Griqualandu. Ale łudzić się już nie mogli. „Gwiazda Południa” była nieodwołalnie stracona i pan Watkins nie będzie mógł nigdy posłać jej do Londynu, aby lśniła tam pomiędzy najpiękniejszymi klejnotami Anglii.

ROZDZIAŁ XX

POWRÓT

Nigdy jeszcze John Watkins nie był w tak fatalnym humorze, jak po wyjeździe czterech konkurentów, którzy puścili się w pogoń za Matakitem. Zdawało się, że każdy upływający dzień, każdy tydzień dodawał mu nowych trosk, zmniejszając wciąż szansę odzyskania bezcennego brylantu. Przy tym brak mu było zwykłych jego kompanów, Jamesa Hiltona, Friedla i Pantalacciego, a nawet i Cypriana, którego przyzwyczał się widzieć ciągle koło siebie. Pocieszał się jedynie swoim dżynem, choć trzeba przyznać, że dodatkowe porcje alkoholu bynajmniej nie wpływały łagodząco na jego charakter.

Mieszkańcy farmy rzeczywiście mieli powody do niepokoju o los członków ekspedycji. Bardik, który — jak się okazało — został porwany przez oddział Kafrów, zdołał im uciec i po kilku dniach wrócił do Griqualandu. Opowiedział on panu Watkinsowi o śmierci Friedla. Nie wróżyło to nic dobrego dla pozostałych uczestników wyprawy.

Toteż Alicja czuła się bardzo nieszczęśliwa. Z rzadka zaglądała do strusi i nawet Dada nie mógł jej rozśmieszyć swą żarłocznością. Korzystał z tego, żeby połykać bezkarnie, bez sprzeciwu z niczyjej strony, najbardziej różnorodne i nieoczekiwane przedmioty.

Pannę Watkins dręczyła teraz podwójna obawa, która rosła stopniowo w jej wyobraźni: po pierwsze, że Cyprian nie powróci nigdy z tej przeklętej ekspedycji, a po drugie, że Hannibal Pantalacci, najbardziej zniechęcony z jej konkurentów, odzyska „Gwiazdę Południa” i zażąda obiecanej nagrody. Myśl, że mogłaby być zmuszoną do poślubienia tego nikczemnego oszusta, budziła w niej nieprzeparty wstręt, zwłaszcza od czasu kiedy poznała bliżej i nauczyła się cenić człowieka tak wartościowego jak Cyprian Méré. Myślała o tym we dnie, śniła o tym po nocach i świeże jej policzki bladły, a niebieskie oczy powlekały się coraz ciemniejszą chmurą.

Od trzech miesięcy czekała tak, milcząca i pełna troski. Pewnego wieczoru siedziała przy osłoniętej abazurem lampie, koło ojca, który zdrzemnął się nad swoim dzbankiem dżynu. Schyliwszy głowę nad haftem, zastępującym jej chwilowo zaniebana muzykę, oddawała się smutnym dumaniom. Nagle lekkie pukanie do drzwi przerwało tok jej myśli.

— Proszę — rzekła ze zdziwieniem, zastanawiając się, kto mógł przyjść na farmę o tej porze.

— To tylko ja, proszę pani! — zawołał jakiś głos, na którego dźwięk zadrżała; był to głos Cypriana.

Tak, powrócił wreszcie, mizerny, wychudzony, opalony, z długą brodą, z jaką nikt go tu jeszcze nie widział, w ubraniu zniszczonym przez uciążliwe marsze, ale zawsze pełen życia, rycerskości, ze śmiejącymi się oczyma i ustami. Alicja wstała wydając okrzyk zdumienia i radości. Jedną rękę przycisnęła do serca, jakby chciała powstrzymać jego gwałtowne uderzenia, drugą wyciągnęła do młodego inżyniera, który pochwyił ją w swe dłonie. W tej chwili pan Watkins ocknął się z drzemki, otworzył oczy i zapytał, co się stało. Przez parę minut jeszcze nie mógł się zorientować w sytuacji. Ale zaledwie powróciła mu iskierka świadomości, natychmiast wyrwał mu się okrzyk — prawdziwy krzyk serca:

— A diament?!

Niestety, diamentu nie było.

Cyprian opowiedział pokrótce rozliczne perypetie wyprawy.

— Nasza podróż powrotna była bardzo powolna, choć łatwa i pozbawiona przygód — mówił. —

Eskorta opuściła nas dopiero na granicy Transwalu, gdzie pożegnał nas również Pharamond Barthes ze swymi Murzynami, żeby się udać do Durbanu. Wreszcie, po czterdziestu dniach drogi przez Veld, jesteśmy tutaj i wiemy o brylancie tyle samo, co przed wyjazdem.

— W takim razie, dlaczego ten Matakít lak uciekał? — spytał pan Watkins, który wysłuchał całego opowiadania z wielkim zainteresowaniem, nie rozczulając się zresztą zbytnio nad losem trzech konkurentów, którzy nie mieli już nigdy powrócić.

— Matakít uciekał, bo cierpiał na chorobę zwaną strachem — odpowiedział młody inżynier.

— Czyż nie ma już sprawiedliwości w Griqualandzie? — rzekł farmer wzruszając ramionami.

— Och panie Watkins! Ta sprawiedliwość zbyt często lubi wydawać doraźne wyroki. Naprawdę, nie mogę potępić tego biedaka, niesłusznie posądzonego o kradzież, że chciał uniknąć pierwszej fali wzburzenia, wywołanego zniknięciem brylantu.

— Ani ja! — dodała Alicja.

— W każdym razie, powtrzymam panu, że Matakít jest niewinny, i liczę na to, że zostawią go teraz w spokoju.

— Hm... — bąknął pan Watkins, który nie wydawał się do głębi przekonany argumentami Cypriana. — Czy raczej nie sądzi pan, że ten spryciarz udawał strach, aby ująć przed policją?

— Me, jest niewinny. Moje przekonanie w tym względzie jest niewzruszone — rzekł Cyprian oschle. — Zdaje mi się, że okupiłem je dość drogo.

— Och, może pan trwać przy swojej opinii! — krzyknął John Watkins. — Ja pozostanę przy mojej.

Alicja widząc, że dyskusja łatwo może przejść w kłótnię, pospieszyła ją przerwać:

— Czy pan wie, panie Cyprianie, że podczas pańskiej nieobecności pana działka okazała się znakomita, a pański wspornik Tomasz Steel zaczyna już zaliczać się do najbogatszych górników w Vandergaart-Kopje?

— Rzeczywiście, nic o tym nie wiedziałem. Pierwsze kroki skierowałem do pani i nie mam pojęcia, co się działo podczas mojej nieobecności.

— A może pan jest jeszcze bez obiadu?! — krzyknęła Alicja, wiedzona instynktem dobrej gospodyni.

— Tak, przyznaję się do tego — odpowiedział Cyprian rumieniąc się, choć właściwie nie było ku temu powodu.

— W takim razie, nie może pan odejść nic nie zjadłszy, panie Méré. Jest pan przecież rekonwalescentem... i po tak uciążliwej podróży. Przecież już jest jedenasta godzina.

Nie słuchając jego protestów pobiegła do kredensu i wróciła niosąc tacę przykrytą białą serwetą, na której stało parę talerzy z zimnym mięsiwem i smakowity torcik brzoskwiniowy własnej 'roboty.

Położyła szybko nakrycie przed mocno zażenowanym Cyprianem. Widząc, że waha się, czy napocząć wspaniałą pasztet ze strusia, spytała:

— Czy ukroić panu kawałek? — i spojrzała na niego ze swoim czarującym uśmiechem.

Niebawem farmer, zachęcony apetycznym wyglądem tyłu przysmaków, poprosił również o talerz i o kawałek pasztetu. Alicja usłużyła mu pospiesznie, a potem zasiadła koło nich i chrupała migdały, jedynie, jak twierdziła, dla dotrzymania im towarzystwa.

Zaimprovizowana kolacja upłynęła w nadzwyczaj miłym nastroju. Młody inżynier nigdy chyba nie wykazał tak wilczego apetytu. Pan Watkins wkrótce znów zasnął.

— Aco pani robiła przez te trzy miesiące? — spytał Cyprian Alicji. — Pewno zapomniiała już pani wszystkiego, czego nauczyła się pani z chemii.

— Nie, proszę pana, myli się pan! — odpowiedziała panna Watkins z lekką wymówką w głosie.

— Poświęciłam bardzo dużo czasu studiom, a nawet pozwoliłam sobie zrobić parę doświadczeń w pańskim laboratorium. Stanowczo bardzo lubię chemię i mówiąc szczerze, naprawdę nie rozumiem, jak mógł pan porzucić tak piękną naukę, żeby zajmować się górnictwem albo wędrować po Veldzie.

— Pani jest okrutna. Przecież pani dobrze wie, dlaczego przestałem zajmować się chemią.

— Nic nie wiem — odpowiedziała Alicja rumieniąc się — i uważam, że bardzo źle pan postąpił. Na pana miejscu próbowałabym znowu wytwarzać diamenty. To znacznie szlachetniejsze zajęcie niż szukanie ich pod ziemią.

— Czy mam to rozumieć jako rozkaz? — spytał Cyprian lekko drżącym głosem.

— O, nie — odparła panna Watkins z uśmiechem. — To najwyżej pfośba... Ach, panie Méré — ciągnęła dalej, chcąc naprawić wrażenie, jakie mógł sprawić jej trochę żartobliwy ton — gdyby pan wiedział, jaka byłam nieszczęśliwa myśląc o tym, na co się pan naraża, myśląc o tych wszystkich trudach i niebezpieczeństwach! Nie znałam szczegółów całej tej wyprawy, ale sądzę, że zdawałam sobie sprawę, czym ona była. Myślałam sobie, czy taki człowiek jak pan, uczony, zdolny do prowadzenia najwspanialszych prac, dokonywania wielkich odkryć, czy taki człowiek powinien narażać się na to, żeby marnie zginąć na pustyni od ukąszenia węża czy też w pazurach lwa, zginąć bez żadnego pożytku dla nauki i dla ludzkości... To była zbrodnia, żeśmy pana puścili. I miałam rację tak myśląc. Bo czyż to nie cud, że pan powrócił? Bez pańskiego przyjaciela, pana Barthesa, którego niech Bóg błogosławi...

Nie dokończyła, ale dwie wielkie łzy, które ukazały się w jej oczach, wyraziły najlepiej jej myśl. Cyprian był również głęboko wzruszony.

— Oto łzy cenniejsze dla mnie od wszystkich brylantów świata. Mogłyby zatrzeć wspomnienie większych jeszcze trudów — rzekł z prostotą.

Było już po północy, kiedy Cyprian zdecydował się wrócić do siebie. Czekąca go paczka listów z Francji, ułożona starannie na biurku przez pannę Watkins. Młody inżynier, przejrząwszy je, stwierdził, że przynosiły same pomyślne wiadomości, i odetchnął z ulgą. Wszyscy bliscy byli zdrowi. Z ministerstwa przesyłano mu jak najgorętsze pochwały z powodu jego pracy o formacji złóż diamentowych. Będzie mógł przedłużyć swój pobyt w Griqualandzie o pół roku, jeżeli uzna, że będzie to z pożytkiem dla nauki.

Ranek dnia następnego upłynął mu na odwiedzaniu przyjaciół. Przede wszystkim zaszedł do Tomasza Steela, któremu istotnie powodziło się doskonale. Poczciwy górnik przyjął współnika z wielką radością. Cyprian umówił się z nim, że Bardik i Li będą pracować w szybie jak dawniej. On sam jednak zdecydował się nie próbować już szczęścia w kopalni, która była mu zawsze tak nieżyczliwa. Stosując się do prośby Alicji, postanowił raz jeszcze wziąć się do badań z zakresu chemii.

Rozpoczął więc na nowo życie w laboratorium. Nie chciał przy tym wyrzec się drogi, na której tak dobrze mu się powiodło, i postanowił powtórzyć raz jeszcze pierwsze doświadczenie. Miał ku temu powody, i to powody — trzeba przyznać — dość poważne.

Otóż od czasu gdy sztuczny diament trzeba było uznać za definitywnie stracony, pan Watkins, który myślał kiedyś poważnie o małżeństwie Cypriana z Alicją, teraz nigdy o tym nie wspominał. Prawdopodobnie jednak, gdyby młody inżynier zdołał wyprodukować znowu kamień paromilionowej wartości, farmer powróciłby do swych poprzednich projektów. Dlatego właśnie Cyprian postanowił bez zwłoki przystąpić do pracy, czego nie ukrywał przed górnikami z Vandergaart-Kopje, a w każdym razie ukrywał za mało.

Wyszukawszy więc nową rurę o wielkiej wytrzymałości, rozpoczął próby w tych samych, co poprzednio, warunkach.

— A jednak — mówił do Alicji — żeby otrzymać skryształizowany węgiel, czyli diament, brakuje mi rozpuszczalnika, który przez wyparowanie czy. ochładzanie wpływałby na krystalizację węgla. Jeśli chodzi o glin, takim rozpuszczalnikiem okazał się dwusiarczek węgla. A zatem należy szukać go przez analogię także dla węgla, a nawet dla ciał podobnych, jak bor i krzem.

Jednakże, mimo braku takiego rozpuszczalnika, praca posuwała się naprzód. W zastępstwie Matakita, który przez ostrożność nie pokazywał się jeszcze w obozie, Bardik zajmował się podtrzymywaniem ognia dniem i nocą. Zadanie to wypełniał z takim samym zapałem jak jego poprzednik.

Cyprian przewidywał, że po przedłużonym obecnie pobycie w Afryce południowej będzie musiał natychmiast wracać do Europy. Toteż w wolnych chwilach postanowił wykonać jeszcze pewną pracę, którą planował od dawna, nie mając czasu jej się poświęcić. Chodziło mianowicie o dokładne zbadanie pewnego spadku terenu, położonego na północo-wschód od doliny, spadku, który, według jego przypuszczeń, mógł być kanałem dla wód w odległej epoce, kiedy w tych okolicach tworzyły się pokłady diamentów.

A więc w pięć czy sześć dni po powrocie z Transwalu zajęty był właśnie tymi badaniami. Robił je z tą samą dokładnością, która cechowała każdą jego pracę. Od godziny już ustawiał tyczki miernicze i ustalał punkty orientacyjne według bardzo szczegółowego planu, który nabył w Kimberley. Ale, rzecz osobliwa, za każdym razem wynikała z jego obliczeń duża omyłka, a w każdym razie niezgodność z planem. Wreszcie nie mógł już zaprzeczyć oczywistej prawdzie: dane planu były fałszywe; długości i szerokości geograficzne zostały błędnie wyznaczone.

Ściśle o dwunastej w południe dla oznaczenia długości geograficznej miejsca, gdzie się znajdował, Cyprian posłużył się doskonałym zegarkiem naregulowanym według paryskiego obserwatorium. Był zupełnie pewny nieomyłności swej busoli i przy rzędu do pomiarów odchylenia magnetycznego, toteż musiał skonstatować, że mapa, według której kontrolował swoje obliczenia, była zupełnie fałszywa na skutek poważnego błędu w ustaleniu stron świata.

Istotnie, na mapie tej północ, oznaczona zwyczajem brytyjskim skrzyżowanymi strzałkami, była w rzeczywistości niemal dokładnie północo-północo-wschodem, wskutek tego wszystkie dane mapy zniekształcone były w tej samej proporcji.

— Już wiem, co to takiego! — wykrzyknął nagle młody inżynier. — Osły dardaneelskie, które wykonały to arcydzieło, zapomniały po prostu wziąć pod uwagę odchylenia igły kompasu, spowodowanego magnetyzmem ziemskim. W tym miejscu odchylenie wynosi nie mniej niż dwadzieścia dziewięć stopni na zachód. Wynika z tego, że wszystkie ich wyznaczenia szerokości i długości geograficznych, jeśli mają być prawdziwe, powinny być przesunięte w kierunku zachodnim opisując łuk wokół środka mapy liczący dwadzieścia dziewięć stopni. Należy przypuszczać, że Anglia nie przysłała do tych pomiarów swoich najzdolniejszych geometrów.

I śmiał się sam do siebie z tego niedopatrzienia.

— No, powiedzmy. *Errare humanwm est*. Niechaj pierwszy rzuci kamieniem na owych mierniczych ten, kto sam nigdy, ani razu się nie pomylił.

Cyprian nie miał jednak żadnego powodu trzymać w tajemnicy poprawki, jaką trzeba było wprowadzić przy ustalaniu planu terenów diamentowych w całym okręgu. Toteż tego samego jeszcze dnia, spotkawszy Jakobusa Vandergaarta w drodze powrotnej na farmę, powiedział mu o tym.

— To ciekawe — dodał — że taki duży błąd w obliczeniach geodezyjnych, dotyczący planów całego okręgu, nie został dotąd przez nikogo zasygnalizowany. Pociąga on za sobą konieczność wprowadzenia dużych poprawek we wszystkich mapach tego kraju.

Stary szlifierz popatrzył na Cypriana jakoś dziwnie.

— Czy to prawda, co pan mówi?! — zawołał żywo.

— Oczywiście.

— I byłby pan gotów poświadczyć to w sądzie?

— Nawet przed dziesięcioma sądami, gdyby zaszła potrzeba.

— I nie będzie można zaprzeczyć temu, co pan twierdzi?

— Na pewno nie, skoro wystarczy wykazać, na czym polega omyłka. Do licha! Jest przecież zupełnie oczywista. Pominięcie odchylenia magnetycznego w obliczeniach terenowych!

Jakobus Vandergaart odszedł bez słowa i Cyprian wkrótce zapomniał, z jakim napięciem wysłuchał wiadomości, że błąd w obliczeniach geodezyjnych zniekształcił wszystkie plany okręgu.

W parę dni później, gdy Cyprian poszedł odwiedzić starego szlifierza, zastał drzwi zamknięte. Na tabliczce zawieszanej u klamki widniały słowa świeżo wypisane kredą: „Właściciel wyjechał za interesami”.

ROZDZIAŁ XXI

WYROK TAJNEGO TRYBUNAŁU

W ciągu następnych dni Cyprian był bardzo zajęty śledzeniem kolejnych faz swego nowego doświadczenia. Na skutek pewnych zmian w budowie pieca, dających lepszy ciąg, diament powinien przypuszczalnie wytworzyć się znacznie prędzej niż podczas pierwszej próby.

Panna Watkins żywo interesowała się przedsięwzięciem, którego była — trzeba przyznać — częściowo inspiratorką. Toteż często towarzyszyła młodemu inżynierowi, który kilka razy dziennie odwiedzał piec. Lubiła przyglądać się, przez wąskie otwory pozostawione między cegłami, płomieniom huczącym wewnątrz paleniska.

John Watkins interesował się nie mniej od córki, chociaż dla innych powodów, fabrykacją diamentów. Nie mógł doczekać się chwili, kiedy posiadzie znów kamień milionowej wartości. Oba wiał się tylko, że doświadczenie nie uda się powtórnie; przypuszczał, że za pierwszym razem przypadek odegrał dużą rolę w sukcesie osiągniętym przez młodego inżyniera.

Ale gdy farmer i jego córka zachęcali wynalazcę do prowadzenia i ulepszania fabrykacji diamentów, rzecz miała się wręcz przeciwnie, jeśli chodziło o tutejszych górników. Choć nie żyli już Hannibal Pantalacci, James Hilton i Friedel, zostawili jednak kompanów, mających na tę sprawę zupełnie podobne zapatrywania. Nathan, za pomocą podstępnych manewrów, bezustannie podjudzał właścicieli szybów przeciwko młodemu inżynierowi. Gdyby fabrykacja diamentów została wkrótce zastosowana na skalę przemysłową, byłby to koniec handlu brylantami naturalnymi i innymi drogimi kamieniami. Wyprodukowano już białe szafiry, czyli „koryndony”, ametysty, topazy, a nawet szmaragdy, gdyż wszystkie są kryształami glinu rozmaicie zabarwionymi pod działaniem kwasów. Już to było niezmiernie groźne dla handlowej wartości tych kamieni — ich cena miała wyraźne tendencje niżkowe. A gdyby jeszcze zaczęto produkować seryjnie brylanty, byłaby to ostateczna ruina kopalni w Afryce południowej i w innych krajach.

Wszystkie te argumenty powtarzane nieraz po pierwszym doświadczeniu młodego inżyniera podjęto obecnie ze zdwojoną zawziętością. Górnicy odbywali narady nie wróżące nic dobrego dla przedsięwzięcia Cypriana. Ale on nie przejmował się tym wcale, zdecydowany przeprowadzić swe doświadczenie do końca, bez względu na to, co ludzie mówią, a nawet, co zamierzają uczynić. Pracował dalej bez najmniejszego wahania, bez obawy, ale panna Watkins, zdając sobie sprawę z tego, co naokoło się dzieje, zaczęła drżeć o młodego uczonego. Wyrzucała sobie teraz, że popchnęła go na tę drogę. Przecież liczyć na opiekę miejscowej policji byłoby zupełnym nonsensem.

Alicja bała się więc bardzo i trwogi tej nie umiała ukryć przed młodym inżynierem. Cyprian uspokajał ją, jak tylko mógł, dziękując jej jednocześnie za tyle troski o niego. W zainteresowaniu dziewczyny jego osobą widział dowód serdecznego uczucia, które zresztą nie było już między nimi tajemnicą. Cyprian cieszył się, że jego niebezpieczne przedsięwzięcie zmusza pannę Watkins do większej otwartości... i odważnie pracował dalej.

— To, co teraz robię, panno Alicjo, to dla nas obojga — powtarzał.

Ale panna Watkins, obserwując, co mówiono na kopalni, żyła w nieustannym przerażeniu. Przeciwko Cyprianowi rosła fala wzburzenia, które z pewnością nie miało się ograniczyć do narzekania, a nawet pogroźek, ale musiało przejść wreszcie do czynów.

Istotnie, pewnego wieczora, kiedy Cyprian poszedł jak zwykle zajrzeć do swego pieca, znalazł całą instalację zburzoną. Okazało się, że podczas nieobecności Bardika zjawiała się gromada ludzi,

k którzy korzystając z ciemności zniszczyli w parę minut to, co kosztowało tyle dni pracy. Budowla została zburzona, palenisko rozbite, ogień zgaszony, wszystkie przyrządy połamane i rozrzucone. Nie pozostało nic z całego sprzętu, w który młody inżynier włożył tyle starania.

— Nie! — krzyknął. — Nie ustąpię i jutro złożę skargę na tych nikczemników, którzy zniszczyli moje mienie. Zobaczymy, czy jest jeszcze sprawiedliwość w Griqualandzie!

Nie mówiąc nic nikomu, nie zawiadamiając nawet panny Watkins o tym, co zaszło, aby oszczędzić jej nowego powodu do obaw, Cyprian udał się do swej chaty i położył się z mocnym postanowieniem złożenia nazajutrz skargi, gdyby nawet musiał dotrzeć do samego gubernatora.

Spał może od dwóch czy trzech godzin, kiedy zbudził się nagle, słysząc, że drzwi się otworzyły. Do pokoju wtargnęło pięciu ludzi w maskach, uzbrojonych w rewolwery i fuzje. Świecąc sobie latarkami z wypukłym szkłem, zwanymi „wole oczy”, stanęli w milczeniu wokół łóżka.

Cyprianowi nawet na chwilę nie przyszło do głowy, że mógłby wziąć ma serio to dość ponure widowisko. Wziął je raczej za żart i roześmiał się, choć co prawda nie bardzo miał na to ochotę, uważając, że dowcip jest w ogromnie złym guście. Ale nagle jakaś dłoń uderzyła go brutalnie po ramieniu i jeden z zamaskowanych ludzi, rozłożywszy papier, który trzymał w ręce, zaczął czytać głosem nie wróżącym nic dobrego:

„Cyprianie Méré!

Zawiadamiamy cię, że Tajny Trybunał w Vandergaart-Kopje, liczący dwudziestu dwu członków i działający dla wspólnego dobra osady, dzisiejszej nocy, o godzinie dwunastej dwadzieścia pięć, jednomyślnie skazał cię na karę śmierci.

Udowodniono ci, że przez swój niewczesny i szkodliwy wynalazek zagrażasz interesom, a nawet życiu tych pracowników i ich rodzin, którzy zarówno w Griqualandzie, jak i gdzie indziej wydobywają, szlifują i sprzedają diamenty.

Trybunał orzeka, że wynalazek ten musi być unicestwiony i że śmierć jednego człowieka jest lepszym rozwiązaniem sprawy niż śmierć tysięcy istot ludzkich.

Trybunał zdecydował, że pozostawi ci się dziesięć minut, abyś się przygotował na śmierć, oraz że będziesz mógł wybrać rodzaj śmierci. Wszystkie twoje papiery zostaną spalone, z wyjątkiem niezapieczętowanego listu, jeśli zechcesz napisać go do swych bliskich, a mieszkanie twoje będzie zrównane z ziemią.

Tak niechaj się stanie wszystkim zdrajcom!"

Słuchając tego wyroku Cyprian poczuł się mocno zachwiany w swym pierwotnym mniemaniu, że nic mu nie grozi. Zapytywał sam siebie, czy tej ponurej komedii, zważywszy panujące tutaj dzikie obyczaje, nie należy traktować poważniej, niż mu się zdawało. Człowiek trzymający go za ramię rozchwiał ostatnie jego wątpliwości.

— Wstawać natychmiast! — rzekł grubiańsko. — Nie mamy czasu do stracenia.

— To zwykły mord! — odpowiedział Cyprian wyskakując z łóżka i chcąc się czymś przyodziać.

Był bardziej oburzony niż przejęty grozą i starał się skoncentrować całą swoją myśl na tym, co go spotykało, z tak zimną krwią, z jaką by się zabierał do rozwiązania jakiegoś matematycznego problemu. Kim byli ci ludzie? Nie mógł tego odgadnąć nawet po dźwięku ich głosu. Nie ulegało wątpliwości, że ci, któ rych znał osobiście — jeżeli znajdowali się tutaj — przezornie zachowywali milczenie.

— Czy wybrałeś już rodzaj śmierci? — spytał zamaskowany człowiek.

— Nie mam zamiaru niczego wybierać i mogę tylko zaprotestować przeciwko ohydnej zbrodni, którą macie zamiar popełnić — odpowiedział Cyprian pewnym głosem.

— Protestuj, ile ci się podoba. I tak będziesz wisiał. Czy chcesz coś napisać?

— Niczego nie powierzę mordercom.

— No, to marsz! — rozkazał szef bandy.

Dwóch ludzi stanęło z obu stron młodego inżyniera i orszak skierował się do wyjścia. Ale w tej chwili stała się rzecz niespodziewana. Jakiś człowiek wpadł do pokoju i rzucił się pomiędzy oprawców.

Był to Matakít. Młody Kafr, który często kręcił się nocą w okolicy obozu, wiedziony instynktem, poszedł w ślad za zamaskowanymi ludźmi, kiedy skierowali się do chaty Cypriana, aby siłą wyważyć w niej drzwi. Słyszał wszystko, co zostało tam powiedziane, i zrozumiał, jakie niebezpieczeństwo grozi jego panu. Momentalnie — nie zastanawiając się nad tym, co mogło wyniknąć z jego wtargnięcia — roztrącił górników i rzucił się do stóp Cypriana.

— Ojczulku! Dlaczego ci ludzie chcą ciebie zabić?! — krzyczał czepiając się swego pana, mimo wysiłków zamaskowanych ludzi, którzy starali się go odciągnąć.

— Dlatego, że udało mi się zrobić sztuczny diament — odpowiedział Cyprian ściskając ze wzruszeniem rękę Matakíta.

— Och, ojczulku! Jak ja się wstydzę, jak mi żal, że to zrobiłem! — powtarzał płacząc młody Kafr.

— Co ty mówisz?! — zawołał Cyprian.

— Tak. Przyznam się do wszystkiego, skoro chcą ciebie zabić! — krzyknął Matakít. — Tak... To mnie trzeba zabić... bo to ja wsadziłem ten wielki diament do kotła.

— Zabierzcie tego krzykacza! — rzekł herszt bandy.

— Ależ mówię wam, że to ja wsadziłem diament do aparatu! — powtarzał Matakít wyrwijając się. — Tak... Oszukałem ojczulka... Chciałem, żeby myślał, że doświadczenie mu się udało.

Protestował z tak rozpaczliwą energią, że wreszcie zaczęto go słuchać.

— Czy mówisz prawdę? — spytał Cyprian zarazem zdziwiony i zawiedziony tym, co usłyszał.

— Ależ tak... Naturalnie, że tak. Prawdę mówię.

Siedział teraz na ziemi i wszyscy słuchali go, gdyż to, co wyznał, miało decydujące znaczenie dla całej sprawy.

— W dniu katastrofy na kopalni — zaczął Matakít — kiedy zostałem zasypywany, znalazłem właśnie ten wielki diament... Trzymałem go w ręce i rozmyślałem, jakby go ukryć, kiedy ściana zwała się na mnie, żeby mnie ukarać za tę zbrodniczą myśl. Gdy oprzytomniałem, znalazłem kamień w łóżku, na którym ojczulek kazał mnie położyć. Chciałem mu oddać kamień, ale wstyd mi było przyznać się, że jestem złodziejem, i czekałem odpowiedniej okazji... Właśnie wkrótce potem ojczulek zaczął próby z robieniem diamentów i powierzył mi podtrzymywanie ognia. A tu, drugiego dnia, kiedy byłem sam w laboratorium, aparat pękł z okropnym trzaskiem; o mało nie zabiły mnie odłamki! Wtedy pomyślałem, że ojczulek będzie się bardzo martwił, że całe doświadczenie się nie udało... Więc wsadziłem ten wielki diament, ładnie oblepiony gliną, do pękniętej rury i prędko wszystko zreperowałem po wierzchu, żeby ojczulek nic nie zauważył... Potem czekałem, nic nie mówiąc, a kiedy ojczulek znalazł diament, to strasznie się ucieszył!

Potężny wybuch śmiechu, którego nie mogli powstrzymać zamaskowani ludzie, był odpowiedzią na ostatnie słowa Matakíta. Cyprian za to nie śmiał się wcale: gryzł wargi ze wstydu i złości.

Nie podobna było wątpić w słowa Kafra. Jego opowieść była najwidoczniej prawdziwa! Cyprian gorączkowo szukał w swych wspomnieniach lub po prostu w wyobraźni jakichś podstaw, aby jej zaprzeczyć. Ale na próżno mówił sobie: „Diament naturalny, poddany działaniu takiej temperatury, byłby się ulotnił...” Prosty, zdrowy rozsądek odpowiadał mu, że gliniana powłoka otaczająca kamień mogła ochronić go całkowicie lub częściowo od działania żaru. Może temu

właśnie działaniu zawdzięczała „Gwiazda Południa” swój czarny kolor? Może nawet stopiła się i skryształizowała z powrotem wewnątrz owej powłoki?

Wszystkie te myśli kłębiły się w głowie młodego inżyniera z zawrotną szybkością. Był po prostu osłupiały!

— Przypominam sobie teraz doskonale, że w dniu katastrofy widziałem grudę gliny w ręku Kafra — zauważył jeden z zamaskowanych ludzi, kiedy śmiechy trochę przycichły. — Tak mocno ścisnął ją w palcach, że nie podobna było mu jej odebrać.

— Ee, co tam. Nie ma już co do tego najmniejszej wątpliwości — rzekł ktoś inny. — Czy to jest w ogóle możliwe zrobić diament? Byliśmy głupi, żeśmy się na to nabrali! To tak, jakby ktoś próbował zrobić gwiazdę!

I znowu wszyscy zaczęli się śmiać. Cyprianowi z całą pewnością więcej cierpienie przysparzała ich wesołość niż poprzednie ich okrucieństwo. Wreszcie, po krótkiej, odbytej szeptem naradzie całej piątki herszt zwrócił się do Cypriana:

— Jesteśmy zdania, że należy uchylić wyrok wydany na ciebie, Cyprianie Méré. Zwolnimy cię. Ale pamiętaj, że wyrok ten zawsze wisi nad tobą. Wystarczy jedno słowo, jeden znak, aby zawiadomić policję, a koniec z tobą!... Wiesz teraz, czego się trzymać. Do widzenia!

To rzekłszy skierował się wraz z towarzyszami do wyjścia. Pokój pograżył się w ciemności. Cyprian mógłby pomyśleć, że był igraszką jakiegoś koszmaru. Ale głośnie szlochanie Matakita, który leżał na ziemi z głową ukrytą w dłoniach i zanosił się od płaczu, nie pozwalało mu wątpić, że to, co się tu przed chwilą zdarzyło, rozegrało się na jawie.

A więc to była prawda. Uszedł śmierci, ale za cenę jakże okropnego upokorzenia. On, inżynier górnik, on, absolwent politechniki paryskiej, znakomity chemik, sławny już geolog, dał się nabrać na naiwny fortel prostego Kafra! A raczej swojej własnej próżności, swemu śmiesznemu zarozumiałstwu zawdzięczał tę bezprzykładną kompromitację! Posunął zaślepienie tak daleko, że nawet dorobił teorię do swej metody wytwarzania kryształów. Czy można było bardziej się ośmieszyć? Czyż nie jest rzeczą jasną, że jedynie przyroda, pracując przez wieki całe, zdolna jest dokonać takiego dzieła?

A jednak kogóż nie zmyliłyby w tym wypadku pozory! Spodziewał się zwycięstwa, przygotował wszystko, by je osiągnąć, logiczne więc było, że w nie uwierzył! Niezwykłe rozmiary diamentu przyczyniły się również do podtrzymania w nim złudzeń... Nawet taki Despretz z pewnością by je podzielił... Czy podobne omyłki nie zdarzały się już nieraz? Czyż na przykład najbardziej doświadczeni numizmatycy nie brali fałszywych medali za autentyczne?

Nagle pewna myśl zmroziła mu krew w żyłach.

„A mój raport do Akademii?! Oby tylko te łotry go nie porwały!”

Zapalił świecę. Nie! Na szczęście raport leżał na swoim miejscu. Nikt go nie widział! Cyprian odetchnął z ulgą dopiero wtedy, kiedy spalił dokument.

Przez ten czas Matakita rozpaczał dalej w sposób tak rozdzierający, że trzeba go było jakoś pocieszyć. Nie było to zbyt trudne. Po pierwszych życzliwych słowach „ojczulka” biedny chłopak zdał się powracać do życia. Cyprian zapewnił go, że nie ma do niego żalu i że mu wybaczają, ale pod warunkiem, iż taka rzecz nigdy już więcej się nie powtórzy.

Matakita poprzysiągł na wszystko, co uważał za najświętsze, a ponieważ młody inżynier udał się na spoczynek, Kafr uczynił to samo. Tak skończyła się ta scena, mogąca mieć nader tragiczne rozwiązanie. Ale niebezpieczeństwo ominęło jedynie Cypriana — sprawa -przedstawiała się zupełnie inaczej, jeśli chodzi o Matakita.

Istotnie, nazajutrz, gdy rozeszła się wiadomość, że „Gwiazda Południa” była ni mniej, ni więcej

tylko diamentem naturalnym, że diament ten został znaleziony przez młodego Kafra, który doskonale zdawał sobie sprawę z jego wartości — wszystkie dawne podejrzenia odżyły z podwójną siłą. John Watkins podniósł wielki krzyk: tylko Matakít mógł ukraść ten bezcenny kamień! Przecież sam się przyznał, że już raz miał zamiar go sobie przywłaszczyć. Jasne więc było, że skradł go na dobre w czasie przyjęcia.

Cyprian na próżno protestował i ręczył za uczciwość Kafra: nikt nie chciał go słuchać, co wymownie świadczyło, jak dalece Matakít miał rację uciekając z Griqualandu i jak nierozsądnie postąpił wracając tutaj. Wtedy młody inżynier, nie chcąc ustąpić, wysunął niespodziewanie argument, mający w jego mniemaniu definitywnie obronić Matakíta.

— Wierzę w jego niewinność — rzekł do Johna Watkina — a zresztą, gdyby nawet ukradł ten kamień, ostatecznie mnie to tylko obchodzi. Czy był to brylant naturalny, czy sztuczny, należał do mnie, zanim ofiarowałem go panie Alicji...

— Ach tak? Należał do pana? — powtórzył pan Watkins dziwnie ironicznym tonem.

— Oczywiście — ciągnął Cyprian. — Czyż nie został znaleziony na mojej działce, przez Matakíta, który był na służbie u mnie?

— Wszystko to prawda — odpowiedział farmer — i właśnie dlatego kamień powinien należeć do mnie. Na zasadzie naszej umowy trzy pierwsze duże diamenty znalezione w pańskim szybie miały zostać moją własnością.

Cyprian, zupełnie oszołomiony, nic na to nie odpowiedział.

— Czyż moje pretensje nie są słuszne? — spytał pan Watkins.

— Całkowicie słuszne — zgodził się inżynier.

— A zatem będę panu bardzo wdzięczny, jeśli poświadczy mi pan to na piśmie, na wypadek gdybyśmy zdołali odzyskać kamień, który fen łajdak skradł tak bezczelnie.

Cyprian wziął kartkę papieru i napisał:

„Stwierdzam, że diament, znaleziony w moim szybie przez Kafra będącego u mnie na służbie, zgodnie z umową dotyczącą dzierżawy działki jest własnością pana Johna Stapletona Watkina.

Cyprian Méré"

Każdy przyzna, że była to okoliczność niweczająca wszystkie marzenia młodego inżyniera. Gdyby słynny brylant został kiedykolwiek odnaleziony, należałoby już nie tytułem podarunku, lecz jako niezaprzeczalna własność do Johna Watkina i znowu przepaść, którą te wszystkie miliony miały zasypać, otwierała się pomiędzy Cyprianem i Alicją. Poza tym, jeżeli wystąpienie farmera szkodziło sprawie dwojga zakochanych, to bardziej jeszcze zagrażało Matakítowi. Znaczyło to bowiem, że nikt inny tylko John Watkins został przez niego skrzywdzony! John Watkins został okradziony! A John Watkins nie był człowiekiem skłon nym do zrezygnowania ze swych pretensji, z chwilą gdy wiedział, że ma winowajcę pod ręką.

Toteż biedny Murzyn został zaaresztowany, osadzony w więzieniu i w ciągu niespełna dwunastu godzin, mimo gorącej mowy obrończej Cypriana, skazany na powieszenie, jeśli nie zdecyduje się lub nie zdoła zwrócić „Gwiazdy Południa". Cyprian nie wiedział już, co czynić, żeby ratować nieszczęsnego chłopca, w którego niewinność wierzył mimo wszystko.

ROZDZIAŁ XXII

NOWY RODZAJ KOPALNI

Panna Watkins dowiedziała się w końcu o wszystkim, co zaszło: zarówno o scenie z zamaskowanymi ludźmi, jak i o gorzkim zawodzie, którego doznał młody inżynier.

— Ach, panie Cyprianie — rzekła, kiedy opowiedział jej tę całą historię — czyż życie pana nie jest warte więcej od wszystkich brylantów na świecie?!

— Kochana moja Alicjo...

— Zapomnijmy już o tym i niech pan wyrzeknie się na przyszłość tego rodzaju doświadczeń.

— Czy pani mi to nakazuje? — spytał Cyprian.

— Tak! Tak! — odpowiedziała. — Nakazuję panu zaprzestać, tak jak przedtem kazałam panu rozpocząć pracę na nowo... skoro zgadza się pan odbierać ode mnie rozkazy.

— I pragnę je skrupulatnie wykonywać! — odpowiedział Cyprian ujmując dłoń panny Watkins.

Ale gdy powiadomił dziewczynę o wyroku, jaki zapadł w sprawie Matakita, przerażyła się znowu. Najbardziej przygnębiła ją świadomość, że główną rolę odegrał w tym jej ojciec. Ona również wierzyła w uczciwość biednego Kafra i tak jak Cyprian gotowa była zrobić wszystko, aby go ratować. Ale jak wziąć się do tego, a zwłaszcza jak wzruszyć Johna Watkina losem nie szczęśnika, którego ten bezwzględny oskarżyciel obciążył tak niesprawiedliwymi zarzutami?

Trzeba dodać, że farmer nie zdołał wyciągnąć z Matakita żadnego zeznania ani groźbą szubienicy, ani obietnicą ułaskawienia. Skutkiem tego pan Watkins, straciwszy ostatecznie nadzieję odzyskania „Gwiazdy Południa”, wpadł w straszliwą złość. Nie można było po prostu do niego przystąpić. Jednak Alicja chciała raz jeszcze przemówić do ojca. Nazajutrz po wyroku pan Watkins, korzystając z tego, że podagra dokuczała mu mniej niż zazwyczaj, zabrał się do porządkowania swych papierów. Hebanowe, inkrustowane biurko z wypukłą klapą, przy którym siedział, było prześlicznym, starym, meblem, pamiętającym jeszcze czasy panowania holenderskiego; trafiło do tego zapadłego kąta po wielu zapewne smutnych przygodach. Pan Watkins przeglądał akty kupna, umowy i listy, Alicja zaś siedziała z głową pochyloną nad haftem, nie zwracając uwagi na swego strusia Dade, który jak zwykle pełen godności spacerował po pokoju, wyglądał przez okno lub wlepiął swe wielkie, prawie ludzkie oczy to w pana Watkina, to w jego córkę. Nagle farmer wydał okrzyk zniecierpliwienia, a dziewczyna podniosła oczy znad roboty.

— Ta bestia jest niemożliwa! — złościł się pan Watkins. — Złapała mi zwitek pergaminu... Dada! Chodź tu! Oddaj to w tej chwili!

Ale słowa te zmieniły się natychmiast w istny potok wymysłów.

— Ach, wstrętne bydlę! Połknął! Dokument pierwszorzędnej wagi! Oryginał aktu stwierdzającego prawo do eksploatacji Vandergaart-Kopje. To nie do zniesienia! Ale ja mu to wydrę z gardła, choćbym go miał udusić!...

John Watkins zerwał się, czerwony ze złości, nie panując nad swym wzburzeniem. Zaczął gonić strusia, który okrążywszy kilka razy pokój, uciekł wreszcie przez otwarte drzwi na dwór.

— Ojczy! — wołała Alicja zrozpaczona nową psotą swego ulubieńca. — Niech się ojciec uspokoi! Błagam! Proszę mnie posłuchać! Jeszcze się ojciec rozchoruje!

Ale wściekłość pana Watkina dosięgła szczytu. Ucieczka strusia doprowadziła go do ostateczności.

— Nie — mówił zduszonym głosem — tego już za wiele! Raz trzeba z tym skończyć! Przecież nie

wyrzeknę *się* najważniejszego mojego dokumentu... Wsadzę mu kulę w łeb i nauczę rozumu tego złodzieja. A papier wydostanę, nie ma co gadać.

Alicja biegała za ojcem cała we łzach.

— Ojcze, błagam, zlituj się nad tym nieszczęsnym stworzeniem. Czy ten papier jest rzeczywiście taki ważny? Czy nie można dostać kopii? Czy chcesz naprawdę zrobić mi taką przykrość i zabić w moich oczach biednego Dada za tak drobne przewinienie?

Ale John Watkins nie chciał o niczym słyszeć i rozglądał się naokoło szukając swej ofiary. Ujrzał wreszcie ptaka, w chwili gdy ten kierował się w stronę domku zajmowanego przez Cypriana. Natychmiast farmer chwycił strzelbę, złożył się i wycelował do strusia. Ale Dada, jakby odgadując ponury spisek, który przeciw niemu uknuto, schronił się szybko za domem.

— Czekaaj, czekaaj! Już ja cię dogonię, przekłeta bestio! — wrzasnął John Watkins ruszając w stronę ptaka.

Alicja, coraz bardziej przerażona, podążyła za ojcem w nadziei, że zdoła go jeszcze ubłagać.

Znaleźli się więc oboje przed chatą młodego inżyniera, obeszl ją naokoło, ale strusia nie było. Dada stał się niewidzialny. Jednak zdawało się niepodobieństwem, żeby zdążył już zejść ze wzgórze, gdyż spostrzeżliby go wtedy w okolicach farmy. Musiał więc wejść do domu przez jedne z otwartych po drugiej stronie drzwi.

Tak przynajmniej sądził John Watkins. Toteż zawrócił i zastukał do wejścia od frontu.

Otworzył mu sam Cyprian.

— Pan Watkins! Panna Alicja! Jakże mi miło widzieć państwa u siebie — powiedział, zdziwiony trochę tą niespodziewaną wizytą.

Farmer, sapiąc jak miech kowalski, wytłumaczył mu całą sprawę w paru słowach, ale z niebywałą wściekłością.

— No, to poszukamy winowajcy! — powiedział Cyprian zapraszając Johna Watkina i Alicję do środka.

— Ręczą panu, że długo nie będą się z nim patyczkował! — powtarzał farmer wymachując strzelbą jak tomahawkiem.

W tej samej chwili błagalne spojrzenie dziewczyny powiedziało Cyprianowi, jaką rozpacz budziła w niej projektowana egzekucja. Toteż natychmiast powziął dość prostą decyzję — postanowił, że struś się nie odnajdzie.

— Li — zawołał po francusku do Chińczyka, który właśnie wszedł do pokoju — myślę, że struś jest u ciebie! Weź go na linkę, wyprowadź zrecznie z domu, a ja tymczasem pójdę z panem Watkinsem w przeciwną stronę.

Niestety, ten świetny plan nie dał się zrealizować ze względów zasadniczych. Struś schronił się właśnie w tym pokoju, od którego zaczęto poszukiwania. Stał tam, kuląc się, chowając głowę pod krzesło, ale mimo to widoczny jak słońce na niebie.

Pan Watkins rzucił się na nieszczęsnego ptaka.

— Ach, gałganie jeden! Będiesz miał za swoje! — krzyknął.

Jednak, pomimo całego zacierzwienia, zawahał się chwilę przed niestosownością swego czynu: strzelać do zwierzęcia w domu, który, na razie przynajmniej, nie był jego domem! Alicja płacząc odwróciła się, żeby nic nie widzieć z tej okropnej sceny. Jej szczere zmartwienie natchnęło nagle Cypriana doskonałą myślą.

— Panie Watkins — powiedział szybko — chodzi panu tylko o ten dokument, nieprawdaż? Otóż sądzę, że wcale nie trzeba zabijać Dady, aby go odzyskać. Wystarczy otworzyć strusowi żołądek, z którego papier na pewno jeszcze nie wyszedł. Czy pozwoli mi pan dokonać tej operacji?

Studiowałem swego czasu zoologię i sędzę, że dam sobie dość dobrze radę z takim chirurgicznym zabiegiem.

Czy perspektywa tej wiwisekcji dogadzała mściwym instynktom farmera, czy też złość już go opuściła, czy może wzruszył się mimo wszystko zmartwieniem córki — dość że ustąpił i zgodził się na to polubowne załatwienie sprawy.

Zaznaczył tylko, że nie myśli tracić swego dokumentu. Jeśli nie znajdzie się on w żołądku, będzie go szukał dalej, musi go mieć za wszelką cenę.

Operacja nie była wcale tak łatwa, jak się początkowo wszystkim zdawało, gdy patrzyli na pełną rezygnacji postawę biednego Dady. Nawet niewielki struś obdarzony jest kolosalną wprost siłą. Z całą pewnością, zaledwie dotknie go lancet przypadkowego chirurga, pacjent się zbuntuje, wpadnie we wściekłość i zacznie się szamotać jak szalony. Przewidując to Cyprian zawołał do pomocy Li i Bardika.

Postanowiono, że najpierw trzeba strusia związać. Przydały się do tego sznury, których Li miał zawsze spory zapas w swoim pokoju. Pętlami i węzłami unieruchomiono nogi i dziób nieszczęsnego Dady, nie pozostawiając mu żadnej możliwości oporu. Cyprian jednak nie poprzestał na tym. Przez wzgląd na wrażliwość panny Watkins chciał zaoszczędzić strusiuwi wszelkich cierpień i owiązał mu głowę szmatą umoczoną w chloroformie. Skończywszy te przygotowania, wziął się do operacji nie bez pewnych obaw co do jej skutków. Alicja, przejęta, blada jak ściana, wycofała się do sąsiedniego pokoju.

Cyprian przede wszystkim wymacał ręką miejsce poniżej szyi ptaka, aby dobrze zdać sobie sprawę z położenia żołądka. Nie było to rzeczą trudną, gdyż organ ten tworzył w górnej części klatki piersiowej obszerny worek, twardy i nie uginający się pod palcami jak otaczające go miękkie części.

Skóra na szyi została ostrożnie rozcięta scyzorykiem. Była luźna i obwisła jak u indyka, pokryta rzadkim, szarym puchem, łatwo dającym się rozchylić. To pierwsze nacięcie nie spowodowało prawie wcale krwawienia; ranę otarto starannie mokrą szmatką.

Następnie Cyprian zbadał położenie paru najważniejszych tętnic i odsunął je cienkimi, drucianymi haczykami, które dał do trzymania Bardikowi. Potem przeciął białą, mieniącą się perłowo tkankę, pokrywającą obszerną jamę poniżej obojczyków, i wkrótce obnażył żołądek ptaka. Wyobraźcie sobie żołądek kurczęcia ustokrotniony tak pod względem objętości jak gru bości i wagi, a będziecie mieli pojęcie, czym był ten potężny zbiornik.

Żołądek Dady przedstawiał się jak duży, brązowy worek, silnie rozciągnięty przez pokarm i obce ciała, które żarłoczny ptak połknął w ciągu dnia, a może i dawniej jeszcze. Wystarczyło spojrzeć na ten mięsisty, zdrowy, mocny organ, aby mieć pewność, że można go naruszyć bez żadnych obaw. Uzbrojony w myśliwski nóż, który podał mu Li, wyostrzywszy go uprzednio należycie, Cyprian dokonał głębokiego cięcia.

Do otworu łatwo było teraz wprowadzić dłoń i sięgnąć w głąb żołądka. Natychmiast odnaleziony został dokument, nad którego stratą tak rozpaczał pan Watkins. Zwinięty był w kulę, trochę pognieciony, ale zupełnie nie zniszczony.

— Są tu jeszcze *inne* rzeczy — rzekł Cyprian zanurzwszy znowu rękę w otworze, skąd tym razem wyciągnął kulę z kości słoniowej.

— Kula do cerowania panny Alicji! — zawołał. — I pomyśleć, że Dada połknął ją przeszło pięć miesięcy temu! Oczywiście, nie mogła przejść przez dolny otwór żołądka.

Oddawszy kulę Bardikowi, wrócił do swych poszukiwań; grzebał w żołądku ptaka jak archeolog w terenach dawnego obozu rzymskiego.

— Mosiężny świecznik! — zawołał ze zdumieniem, wyciągając jednocześnie ten skromny

przedmiot domowego użytku, zgnieciony wprawdzie, spłaszczony, pokryty ciemnym nalotem, ale dający się łatwo rozpoznać. W tym miejscu Bardik i Li zaczęli śmiać się tak głośno, że nawet Alicja, która weszła przed chwilą do pokoju, musiała podzielić ogólną wesołość.

— Jakież monety! Klucz! Rogowy grzebień! — wymieniał Cyprian dalsze pozycje inwentarza.

Nagle pobladł. Palce jego natrafiły na przedmiot o szczególnym kształcie... Nie! Nie mogło być wątpliwości! A jednak nie śmiał uwierzyć w tak niezwykle przypadek... Wreszcie wyciągnął rękę z otworu i podniósł do góry przedmiot, który znalazł w tej chwili... Z ust Johna Watkina wyrwał się przeraźliwy okrzyk.

— „Gwiazda Południa”!

Tak. Słynny Brylant został odnaleziony. Był nietknięty, nie stracił nic ze swego blasku i w świetle padającym z okna lśnił jak cały gwiazdozbiór.

Rzecz szczególna jednak: wszyscy obecni zauważyli od razu, że kamień zmienił barwę z czarnej na różową. Był teraz prześlicznego, różowego koloru, co uwydatniało jeszcze — jeśli to możliwe — jego przejrzystość i blask.

— Czy pan nie sądzi, że to zmniejszy cenę brylantu? — spytał z niepokojem pan Watkins, gdy tylko zdołał przemówić, zdumienie bowiem i radość w pierwszej chwili zatamowały mu oddech.

— O nie, bynajmniej! — odpowiedział Cyprian. — Przeciwnie, jest to jeszcze jedna cenna właściwość tego kamienia. Dzięki niej można go zaliczyć do rzadkiej kategorii „diamentów-kameleonów”. Najwidoczniej nie jest chłodno w żołądku Dady; te zmiany zabarwienia, o których nieraz donoszono towarzystwom naukowym, są zwykle spowodowane nagłą zmianą temperatury.

— Ach! Niebu niech będzie chwała! Jesteś nareszcie, mój skarbie! — powtarzał pan Watkins ściskając brylant w dłoni, jakby dla upewnienia się, że wszystko to nie jest snem. — Niewdzięczna gwiazdo! Za wiele sprawiłaś mi zmartwienia przez swoje zniknięcie, żebym miał teraz kiedykolwiek wypuścić cię z ręki!

I podnosił ją do oczu, pieścił wzrokiem, zdawało się, że gotów jest ją połknąć za przykładem Dady. Tymczasem Cyprian, wzięwszy od Bardika igłę nawleczoną mocnymi nićmi, starannie zaszył żołądek strusia, następnie uczynił to samo z cięciem na szyi i wreszcie uwolnił ptaka z krępujących go więzów. Dada, kompletnie przybity, z opuszczoną głową, nie przejawiał wcale chęci do ucieczki.

— Czy pan myśli, że on z tego wyjdzie? — spytała Alicja, bardziej przejęta cierpieniami ulubieńca niż odnalezieniem brylantu.

— Jak to: czy z tego wyjdzie? — powtórzył Cyprian. — Czyż ryzykowałbym operację, gdybym nie był pewien, że się uda?

Nie! Za trzy dni nie będzie już śladu po tym wszystkim, a ręczę, że nie miną dwie godziny, gdy Dada zacznie na nowo zapełniać tę dziwną sakwę, którą dopiero co opróżniliśmy.

Alicja, uspokojona tą obietnicą, podziękowała młodemu inżynierowi spojrzeniem, które opłacało mu sownie wszystkie poprzednie trudy.

W tej chwili pan Watkins, przekonawszy się wreszcie, że jest naprawdę przy zdrowych zmysłach i że istotnie odzyskał swoją cudowną gwiazdę, odwrócił się od okna i rzekł uroczystym tonem:

— Panie Méré! Oddał mi pan wielką przysługę i nie wiem doprawdy, w jaki sposób będę mógł kiedykolwiek odwdziżyć się panu.

Serce Cypriana zaczęło bić gwałtownie.

Odwdziżyć się! Przecież pan Watkins mógł to zrobić w sposób bardzo prosty! Czyż było mu tak trudno dotrzymać słowa i oddać mu córkę, którą obiecał temu, kto mu zwróci „Gwiazdę Południa”? Czyż w istocie nie było tak, jakby Cyprian odnalazł ją w głębi Transwalu? Oto, co myślał młody inżynier, ale był zbyt dumny, aby tę myśl głośno wypowiedzieć. Zresztą był prawie pewien, że farmer

sam na nią wpadnie. Jednak John Watkins nic o tym nie wspomniał; skinąwszy na córkę opuścił mieszkanie Cypriana i udał się do siebie.

Oczywiście wkrótce potem Matakít odzyskał wolność. Mało jednak brakowało, aby biedaczysko życiem nie przypłacił żarłoczności Dady. Miał doprawdy niezwykle szczęście!

ROZDZIA

ODWET

John Watkins, najbogatszy obecnie farmer Griqualandu, wydawszy swego czasu słynny bankiet na cześć narodzin „Gwiazdy Południa”, nie mógł teraz uczynić nic lepszego, jak znowu urządzać przyjęcie z powodu jej zmartwychwstania. Jednak tym ra zem — możecie być tego pewni — zachowano wszelkie środki ostrożności i Dada nie został zaproszony na uroczystość.

Uczta, która się odbyła następnego dnia po południu, osiągnęła szczyt wspaniałości. Od samego rana John Watkins powołał wszystkie rezerwy swych gości, zamówił u rzeźników całe góry mięsa, które wystarczyłyby na nakarmienie pułku piechoty, zgromadził w spiżarni wszystkie zapasy, wszystkie pudełka konserw, wszystkie butelki wina i najróżniejszych trunków, jakich mogły mu dostarczyć okoliczne restauracje. Już od czwartej po południu stoły były nakryte w sali bawialnej, butelki uszeregowane równiutko na bufecie, a ćwiartki wołowe i combry baranie piekły się na rożnach.

O szóstej zaczęli napływać postrojeni goście. O siódmej ton rozmów podniósł się do tego stopnia, że nawet głos trąby nie byłby w stanie zagłuszyć potwornego hałasu. Był tam Mathys Pretorius, który uspokoił się zupełnie od czasu, gdy przestał się obawiać złośliwych figłów Hannibala Pantalacciego, Tomasz Steel, promieniejący siłą i zdrowiem, pośrednik Nathan, farmerzy, górnicy, kupcy i oficerowie policji.

Cyprian, na rozkaz Alicji, nie mógł odmówić wzięcia udziału w uczcie, skoro ona sama musiała być na niej obecna. Ale smutek dręczył ich serca. Nie ulegało już wątpliwości, że pan Watkins, będąc obecnie pięćdziesięciokrotnym milionerem, nie myśli wcale o wydaniu córki za jakiegoś inżynierka, „który nie umie nawet fabrykować diamentów”. Tak! W ten sposób wyrażał się teraz samolubny jegomość o młodym uczonym, któremu w rzeczywistości zawdzięczał swą obecną fortunę.

Uczta toczyła się dalej w wielce nieskrępowanym nastroju.

Przed szczęśliwym farmerem — a nie za nim, jak poprzednio — „Gwiazda Południa”, złożona na poduszeczek z niebieskiego aksamitu, pod ochroną szklanego klosza i metalowej klatki, migotała w świetle otaczających ją świec. Wzniesiono już wiele toastów na cześć jej piękna, jej niesłychanej przejrystości, jej niezrównanego blasku.

Panował upał nie do zniesienia. Panna Watkins, pogrążona w swych myślach i osamotniona wśród tego tłumu, zdawała się nic nie słyszeć. Patrzyła na Cypriana, równie przygnębionego jak ona, i lzy cisnęły jej się do oczu. Nagle trzykrotne, głośnie stuknięcie do drzwi sali przerwało gwar rozmów i brzęk kieliszków.

— Proszę! — zawołał John Watkins swym ochryplym głosem. — Ktokolwiek przychodzi w tej chwili, zjawia się w samą porę, jeśli dręczy go pragnienie.

Drzwi się otworzyły. Na progu ukazała się wysoka, koścista postać Jakobusa Vandergaarta. Biesiadnicy popatrzyli po sobie, zdziwieni tą niespodziewaną wizytą. Przyczyna wrogich stosunków między dwoma sąsiadami tak dobrze była wszystkim znana, że stłumiony szmer przebiegł naokoło stołu. Każdy spodziewał się jakiegoś ważnego wydarzenia. Na sali zaległa głęboka cisza. Wszystkie oczy zwróciły się na starego, siwowłosego szlifierza, a on, stojąc ze skrzyżowanymi ramionami, w kapeluszu na głowie, odziany w swój długi, czarny, odświętny surdut, wydawał się wcieleniem ducha odwetu.

Pan Watkins poczuł, że ogarnia go nieokreślona trwoga; wstrząsnął nim tajemny dreszcz. Widać

było, że pobladł, mimo szkarłatnych plam, którymi długie lata pijaństwa powlokły na stałe jego policzki. Bronił się jednak przed tym uczuciem, z którego nie umiał jasno zdać sobie sprawy.

— Oho, sąsiedzie — rzekł zwracając się pierwszy do Jakobusa Vandergaarta — od bardzo dawna już nie zaszczycił mnie pan swoją wizytą! Jakież to pomyślny wiatr przywiał pana dzisiaj?

— Wicher sprawiedliwości, sąsiedzie! — odpowiedział zimno starzec. — Przyszedłem oznajmić panu, że prawo wreszcie zwyciężyło i prawda zajaśniała pełnym blaskiem po siedmioletnim zaćmieniu. Przychodzę panu powiedzieć, że wybiła godzina zadośćuczynienia: z powrotem obejmuję w posiadanie moją własność. Kopalnia, zwana zawsze moim imieniem, znów legalnie do mnie należy, tak jak nie przestawała nigdy należeć w obliczu sprawiedliwości! Johnie Watkins, wyzuł mnie pan z mojego mienia! Dzisiaj prawo wywłaszcza pana i skazuje na oddanie mi tego, co mi pan zabrał!

O ile John Watkins przestraszył się z początku nagłym uka zaniem się Jakobusa Vandergaarta i nieokreśloną groźbą, którą zdawało się to zwiastować, o tyle w tej chwili, kiedy miał do czynienia z realnym niebezpieczeństwem, jego gwałtowna i krwista natura pchała go, aby otwarcie stawić mu czoło. Toteż rozparłszy się w fotelu zaczął się śmiać w sposób wyrażający najgłębszą pogardę.

— Ten pocziwiec oszalał! — rzekł zwracając się do swych gości. — Zawsze wiedziałem, że ma źle w głowie, ale okazuje się, że od jakiegoś czasu jeszcze mu się pogorszyło!

Cały stół przyklasnął temu grubiaństwu. Jakobus Vandergaart nawet nie drgnął.

— Zaraz zobaczymy, kto będzie miał ostatnie słowo — rzekł poważnie, wyciągając jakiś papier z kieszeni. — Johnie Watkins, wie pan doskonale, że mocą ostatecznego wyroku, potwierdzonego w apelacji i którego nawet sama królowa nie mogłaby unieważnić, zostały panu przyznane tereny leżące w tym okręgu na zachód od dwudziestego piątego stopnia długości geograficznej, a mnie te, które znajdują się na wschód od tego południka.

— Tak jest istotnie, czcigodny pleciugo! — krzyknął John Watkins. — I dlatego właśnie lepiej byś pan zrobił kładąc się do łóżka, jeśli jesteś chory, zamiast niepokoić uczciwych ludzi, siedzących sobie spokojnie przy obiedzie i nic nikomu niewinnych.

Jakobus Vandergaart rozwinął papier, który trzymał w ręku.

— Oto jest oświadczenie komisji katastralnej — rzekł nieco łagodniejszym tonem — podpisane przez gubernatora i wciągnięte do ksiąg hipotecznych w Victorii pod datą przedwczorajszą. Akt ten stwierdza, że do tej pory wszystkie plany Griqualandu zawierały istotny błąd. Polegał on na tym, że geometrzy, którym dziesięć lat temu powierzono dokonanie pomiarów okręgu, nie wzięli pod uwagę odchylenia spowodowanego magnetyzmem ziemskim przy określaniu północy. Z powodu tego błędu, po wtarzaniu, wszystkie mapy i plany oparte na dawnych obliczeniach są fałszywe. Na skutek wprowadzonej obecnie poprawki dwudziesty piąty stopień długości geograficznej zostaje przesunięty na naszym równoleżniku o przeszło trzy mile na wschód. Dzięki tej poprawce, obecnie oficjalnie stwierdzonej, odzyskuję na własność kopalnię Vandergaart-Kopje, przyznaną panu, gdyż zdaniem wszystkich sędziów, łącznie z najwyższym trybunałem, wyrok przez nich wydany nie traci nic ze swej mocy. Oto, co chciałem panu oznajmić!

Nie wiadomo, czy farmer nie zrozumiał dokładnie tego, co powiedział stary szlifierz, czy też uparcie nie chciał zrozumieć, dość że i teraz usiłował zbyć jego słowa wybuchem pogardliwego śmiechu. Ale tym razem śmiech ten zabrzmiał fałszywie i nikt ze zgromadzonych naokoło stołu mu nie zawtórował.

Wszyscy świadkowie tej sceny ze zdumieniem wpatrywali się w Jakobusa Vandergaarta. Zdawali się być pod silnym wrażeniem jego powagi, jego pewności siebie, niezachwianego przekonania, którym tchnęła cała jego postać. Pośrednik Nathan pierwszy dał wyraz ogólnym uczuciom.

— To, co mówi pan Vandergaart, nie wygląda wcale na nedorzecznosc — rzekł zwracając się do Johna Watkina. — Ostatecznie błąd w obliczeniu długości geograficznej mógł rzeczywiście zostać popełniony. Może byłoby lepiej, zanim się w tej sprawie wypowiemy, poczekać na dokładniejsze informacje.

— Czekać na informacje?! — wykrzyknął pan Watkins uderzając pięścią w stół. — Co mi po informacjach? Kpię sobie z waszych informacji! Czy jestem tu u siebie, tak, czy nie? Czyż nie zostałem uznany za właściciela kopalni przez nieodwołalny wyrok sądu, co potwierdza nawet ten stary krokodyl? Więc cóż mnie reszta może obchodzić? A jeśli ktoś chce mi przeszkadzać w spokojnym użytkowaniu mojej własności, zrobię to, co już raz zrobiłem: zwrócę się do sądu i zobaczymy, kto wygra!

— Sąd już wypełnił swoje zadanie — odpowiedział Jakobus Vandergaart z niezmiennym spokojem. — Wszystko teraz zależy od odpowiedzi na konkretne pytanie: czy dwudziesty piąty stopień długości geograficznej przechodzi, czy nie przechodzi po linii wytyczonej przez plany katastralne. Otóż oficjalnie zostało stwierdzone, że istnieje w tym względzie błąd, i jako nieunikniony tego rezultat kopalnia wraca do mnie.

To rzekłszy Jakobus Vandergaart pokazał oficjalne stwierdzenie, które miał w ręku, zaopatrzone we wszystkie możliwe znaczki stemplowe i pieczęcie.

John Watkins w sposób widoczny tracił pewność siebie. Kręcił się na krześle, próbował się śmiać, ale mu się to nie udawało. W tej chwili oczy jego padły przypadkiem na „Gwiazdę Południa”. Zdawało się, że widok ten przywrócił mu nieco otuchy.

— A gdyby nawet tak było — zawołał — gdybym miał wbrew wszelkiej sprawiedliwości wyrzec się kopalni, która została mi przyznana legalnie i którą eksploatuję w spokoju od siedmiu lat, co mnie to ostatecznie obchodzi! Czyż nie zostanie mi na pociechę choćby ten jeden, jedyny klejnot, który mogę schować do kieszeni od kamizelki i uchronić od wszelkich niebezpieczeństw?

— Tu także myli się pan, Johnie Watkins — odpowiedział sucho Vandergaart. — „Gwiazda Południa” jest obecnie moją własnością z tego samego tytułu, co wszystkie inne produkty kopalni znajdujące się u pana, tak jak umeblowanie tego domu, jak wino w tych butelkach, jak mięso, które pozostało na półmiskach! Wszystko, co tu jest, należy do mnie, ponieważ jest owocem wyrządzonej mi krzywdy... I nie sądźcie, abym nie umiał się zabezpieczyć!

Jakobus Vandergaart klasnął w swoje długie, chude ręce. Natychmiast w drzwiach zjawili się policjanci w czarnych mundurach, a za nimi komornik, który wszedł pospiesznie do sali i kładąc dłoń na oparciu krzesła, rzekł:

— W imieniu prawa ogłaszam prowizoryczne zajęcie wszystkich ruchomości i wszystkich przedmiotów wartościowych znajdujących się w tym domu.

Wszyscy powstali z miejsc z wyjątkiem Johna Watkina. Farmer, zupełnie zdruzgotany, zagłębiony w swoim wielkim, drewnianym fotelu, wyglądał jak rażony piorunem. Alicja rzuciła mu się na szyję i przemawiając do niego czule, próbowała go pocieszyć.

Jakobus Vandergaart nie spuszczał oczu z przeciwnika. W jego wzroku było zresztą więcej litości niż nienawiści. Jednocześnie rzucał spojrzenia na „Gwiazdę Południa”, błyszczącą piękniej niż zwykle wśród całej tej kłęski.

— Ruina!... Ruina!...

Te słowa jedynie mogły się teraz wydostać z drżących ust pana Watkina. W tej chwili Cyprian wstał i rzekł uroczystym tonem:

— Panie Watkins, skoro majątkowi pana zagraża nieuchronna katastrofa, niech mi pan pozwoli widzieć w tym wydarzeniu jedyną możliwość zbliżenia się do pańskiej córki... Mam zaszczyt prosić

pana o rękę panny Alicji Watkins!

ROZDZIAŁ XXIV

SPADAJĄCA GWIAZDA

Oświadczyzny młodego inżyniera wywarły piorunujące wrażenie. Chociaż na pół dzika natura gości pana Watkinsa nie grzeszyła zbyt subtelną, wszyscy przyklasnęli z zapałem temu wystąpieniu. Tak daleko posunięta bezinteresowność wzruszyła ich do głębi.

Alicja, spuściwszy oczy, z bijącym sercem, stała w milczeniu koło ojca. Ją jedną prawdopodobnie nie zdziwiły słowa młodzieńca. Nieszczęsny farmer, przytłoczony ciosem, który przed chwilą spadł na niego, uniósł nieco głowę. Znał Cypriana dostatecznie, aby wiedzieć, że oddając mu córkę zapewnia jej szczęście i przyszłość, ale nie chciał jeszcze ani jednym gestem dać *do* zrozumienia, że nie widzi przeszkód do tego małżeństwa.

Cyprian stał bardzo zmieszany, żałował teraz, że nie zapanował nad sobą, że dał się ponieść uczuciom i wystąpił publicznie z oświadczeniami. Zdawał sobie sprawę, że było to trochę niestosowne. Ogólne, zrozumiałe zakłopotanie przerwał Jakobus Vandergaart podchodząc do farmera.

— Johnie Watkins — rzekł — nie chcę nadużywać mego zwycięstwa. Nie należę do tych, co deptają powalonego wroga. Upomniałem się o swoje, bo sądzę, że każdy człowiek ma do tego prawo. Ale wiem z doświadczenia — to samo powtarzał też i mój adwokat — że bezwzględne stosowanie litery prawa może czasami graniczyć z niesprawiedliwością. Nie chciałbym, aby niewinni ludzie ponosili karę za grzechy, których nie popełnili. Jestem zresztą sam na świecie i blisko mi już do grobu. Co przysłoby mi z bogactwa, gdybym nie mógł się nim podzielić. Johnie Watkins, jeśli zgodzi się pan połączyć tych dwoje młodych, poproszę ich, aby przyjęli ode mnie w posagu „Gwiazdę Południa”, z którą ja, prawdę mówiąc, nie miałbym co robić... Zobowiązuję się również uczynić ich moimi spadkobiercami i wyrównać w ten sposób, w miarę możliwości, mimowolną krzywdę wyrządzoną pańskiej córce.

Po tych słowach wszystkie spojrzenia skierowały się na Johna Watkinsa. Oczy jego nagle napęłniły się łzami i zakrył je drżącą dłonią.

— Jakobusie Vandergaart! — zawołał wreszcie, nie będąc w stanie tłumić dłużej gwałtownych uczuć, które nim miotały.— Tak!... Szlachetny z pana człowiek i mścisz się wspaniałomyślnie za zło, które ci wyrządziłem, zapewniając szczęście tych dwojga dzieci.

Ani Alicja, ani Cyprian nie mogli zdobyć się na odpowiedź, przynajmniej na głośną odpowiedź, bo ich spojrzenia dostatecznie jasno wyrażały uczucia obojga.

Starzec wyciągnął rękę do swego dawnego wroga, a pan Watkins uściskał ją gorąco.

Oczy wszystkich obecnych były wilgotne, nie wyłączając oczu starego policjanta o siwych włosach, który dotychczas robił wrażenie czegoś tak zaszuszonego jak suchar okrętowy. John Watkins wydawał się zupełnie odmieniony. W twarzy jego było teraz tyle życzliwości i słodyczy, ile przed chwilą malowało się na niej bezwzględności i uporu. A surowa twarz Jakobusa Vandergaarta przybrała swój zwykły wyraz: tchnęła dobrocią i spokojem.

— Zapomnijmy o wszystkim — zawołał — i wypijmy za szczęście młodej pary, oczywiście, jeżeli pan komornik pozwoli naruszyć wino, które zajął przed chwilą!

— Komornik musi czasami zabraniać sprzedaży trunków wysokowych — odpowiedział urzędnik uśmiechając się. — Ale nie sprzeciwia się nigdy ich spożyciu.

Po tej żartobliwej uwadze butelki zaczęły krążyć na nowo

i nastrój najszczerzej serdeczności zapanował na sali.

Jakobus Vandergaart, siedząc po prawej stronie Johna Watkina, zaczął układać plany na przyszłość.

— Wszystko sprzedamy i pojedziemy razem z dziećmi do Europy — mówił. — Zamieszkamy gdzieś niedaleko od nich, na wsi, i jeszcze się doczekamy pięknych dni.

Alicja i Cyprian siedzieli koło siebie i rozmawiali cicho po francusku. Sądząc z ożywienia obojga, rozmowa ta była również bardzo interesująca.

Na sali było coraz goręcej. Ciężki, przytłaczający upał wysuszał wargi biesiadników. Wszyscy robili wrażenie baterii naładowanych elektrycznością, gotowych do wyrzucenia z siebie snopa iskier. Na próżno pootwierano wszystkie okna i drzwi. Najłżejszy nawet powiew nie poruszał płomieni świec.

Wszyscy czuli, że takie ciśnienie atmosferyczne musi zakończyć się straszliwą burzą z piorunami i potokami deszczu, jedną z tych burz, które w Afryce południowej przypominają istne rozpętanie żywiołów. Na taką burzę czekano, wyglądano jej

z upragnieniem.

Nagle błyskawica rzuciła zielonawe światło na twarze obecnych i prawie jednocześnie huk grzmotu przewalił się nad domem, oznajmiając, że koncert się zaczyna. W tej samej chwili gwałtowny podmuch wiatru wtargnął do sali i zgasił wszystkie świece. Natychmiast otworzyły się upusty niebieskie i zaczął się prawdziwy potop.

— Czy słyszeliście państwo, zaraz po uderzeniu piorunu, taki dziwny, suchy trzask? — spytał Tomasz Steel, gdy w pośpiechu zamykano okna i zapalano z powrotem świece. — Tak jakby szkło pękło.

Wszystkie oczy zwróciły się instynktownie ku „Gwieździe Południa”... Brylant zniknął.

Jednak i żelazna klatka, i szklany klosz tkwiły na swoim miejscu. Było rzeczą oczywistą, że nikt nie mógł dotknąć klejnotu. Zjawisko to zdawało się graniczyć z cudem.

Cyprian nachylił się pośpiesznie nad stołem i stwierdził, że na niebieskiej, aksamitnej poduszczyce leży zamiast brylantu garstka szarego proszku. Nie mógł powstrzymać okrzyku zdumienia i w paru słowach wytłumaczył zgromadzonym, co zaszło:

— „Gwiazda Południa” rozpadła się! — zawołał.

Wszystkim w Griqualandzie wiadomo, że jest to choroba właściwa tutejszym diamentom. Nie mówi się o tym, gdyż właściwość ta znacznie obniża ich wartość, ale faktem jest, że pod wpływem jakichś jeszcze nie zbadanych procesów, zachodzących między cząsteczkami kryształu, najpiękniejsze z miejscowych kamieni pękają nieraz jak petardy. Nie zostaje z nich wtedy nic, prócz odrobiny proszku, zdatnego co najwyżej do celów przemysłowych.

Młody inżynier był najwidoczniej o wiele bardziej przejęty naukową stroną zagadnienia niż olbrzymią stratą materialną, którą spowodował ten wypadek.

— Najbardziej zdumiewające — rzekł wśród ogólnego osłupienia — jest nie to, że kamień pękł, ale że czekał z tym aż do dnia dzisiejszego. Zazwyczaj diamenty rozpadają się wcześniej, najwyżej w ciągu dziesięciu dni po oszlifowaniu. Nieprawdaż, panie Vandergaart?

— Tak jest istotnie. Pierwszy raz w życiu widzę, żeby kamień pękł w trzy miesiące po oszlifowaniu — rzekł starzec z westchnieniem. — No, trudno. Takie było widocznie przeznaczenie „Gwiazdy Południa”, że nie miała należeć do nikogo — dodał. — Ale gdy pomyślę, że aby uniknąć katastrofy, wystarczyło lekko posmarować brylant tłuszczem...

— Naprawdę?! — wykrzyknął Cyprian z zadowoleniem człowieka znajdującego nareszcie wytłumaczenie zagadki. — W takim razie wszystko jest jasne. Kruchy diament pokrył się zapewne w

żołądka Dady ochronną warstwą, która go ustrzegła do dziś dnia. Doprawdy! Lepiej by zrobiła nasza gwiazda, gdyby pękła cztery miesiące temu i oszczędziła nam włóczęgi po całym Transwalu.

W tej chwili zauważono, że John Watkins, który widocznie poczuł się niedobrze, zaczął kręcić się gwałtownie na fotelu.

— Jak wy możecie spokojnie mówić o podobnej klęsce? — rzekł wreszcie, zaczerwieniony z oburzenia. — Wszyscy tu gadacie o tych pięćdziesięciu milionach, które poszły z dymem, jakby chodziło o głupiego papierosa.

— To dowodzi, że jesteśmy filozofami! — odpowiedział Cyprian. — Trzeba zresztą odnosić się ze spokojem mędrca do tej sprawy, skoro nie ma innego wyjścia.

— Bądźcie sobie filozofami, jeśli chcecie, ale pięćdziesiąt milionów to jest pięćdziesiąt milionów i na ulicy się ich nie znajduje. Ach, panie Vandergaart, oddał mi pan dziś wielką przysługę, wcale o tym nie wiedząc! Sądzę, że i ja byłbym pękł jak kasztan w ogniu, gdyby „Gwiazda Południa” jeszcze do mnie należała.

— Cóż pan chce? — rzekł Cyprian patrząc z czułością na świeżą twarzyczkę Alicji, siedzącej obok niego. — Zdobyłem dzisiaj wieczoru brylant tak cenny, że strata tamtego nie ma już dla mnie znaczenia!

Jednakże nagromadzenie tych wszystkich wypadków, ciężkie przejścia, utrata majątku, po której nastąpiła utrata „Gwiazdy Południa” — odbiły się na zdrowiu Johna Watkina. Musiał położyć się do łóżka, chorował parę dni, gasł w oczach. Ani pieczołowitość córki, ani starania Cypriana, ani nacechowane męską energią upomnienia Jakobusa Vandergaarta, który całymi dniami przesiadywał u wezglowia farmera, starając się podtrzymać go na duchu, nie były w stanie złagodzić skutków okrutnego ciosu. Na próżno zacny stary szlifierz opowiadał choremu o swych planach na przyszłość. Na próżno mówił mu o kopalni, jako o wspólnej ich własności, zasięgając jego rady we wszystkim i dopuszczając go do udziału w swych projektach. Farmer, zraniony w swej dumie, w swej manii posiadacza, w swym egoizmie, we wszystkich swych nawykach — czuł, że jest stracony.

Pewnego wieczoru przyciągnął do siebie Alicję i Cypriana, połączył ich dłonie i nie wymówiwszy słowa oddał ostatnie tchnienie. Nie *przeżył* nawet dwóch tygodni od chwili utraty swej ukochanej gwiazdy.

W kilka tygodni potem, ku ogólnemu zadowoleniu, odbył się cichy ślub Cypriana Méré i Alicji Watkins. Alicja była teraz żoną Cypriana... Czegóż więcej mogła jeszcze pragnąć? Zresztą okazało się, że młody inżynier jest bogatszy, niż sądziła i niż on sam mógł przypuszczać.

Oto skutkiem znalezienia „Gwiazdy Południa” szyb jego osiągnął bardzo wysoką wartość. W czasie gdy podróżował po Transwalu, Tomasz Steel eksploatował nadal z dużym powodzeniem działkę, toteż raz po raz napływały korzystne oferty na kupno części należącej do Cypriana. Przed wyjazdem do Europy sprzedał ją więc za sumę; wynoszącą sto tysięcy franków gotówką.

Alicja i Cyprian pojechali niebawem do Francji, ale przedtem postarali się zabezpieczyć przyszłość Chińczyka Li, Bardika i Matakita. W spełnieniu tego dobrego uczynku wziął chętnie udział również Jakobus Vandergaart.

Stary szlifierz odstąpił kopalnię pewnemu towarzystwu, na czele którego stał dawny pośrednik Nathan, i po korzystnym zlikwidowaniu wszystkich interesów podążył do Francji za swymi przybranymi dziećmi. Dzięki pracowitości Cypriana, jego niezaprzeczalnym zasługom i przyjęciu, jakiego doznał po powrocie w środowisku naukowym, młoda para miała zapewnione nie tylko szczęście osobiste, ale i dobrobyt.

Tomasz Steel powrócił do Lancashire z dwudziestoma tysiącami funtów szterlingów, ożenił się, poluje na lisy jak jaki dżentelmen i co wieczór wypija butelkę porto; nie jest to co prawda najlepsza

rozrywka, jaką mógł sobie wymyślić.

Vandergaart-Kopje daleka jest jeszcze od wyczerpania i jej przeciętna roczna produkcja wynosi stale jedną piątą diamentów eksportowanych z Kolonii Przylądkowej. Ale żaden górnik nie miał już potem szczęścia — lub może nieszczęścia — znalezienia w tej kopalni drugiej „Gwiazdy Południa”.

Przygotowano na podstawie bookini.pl